

<http://foia.org.pl>

STEFAN ŻEROMSKI

URODA ŻYCIA

POWIEŚĆ W DWUCH TOMACH

TOM I.

INSTYTUT
BADAŃ ICHNIO-ARCHAICZNYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KRAKÓW
SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“

299

URODA ŻYCIA

TOM I.

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO.

- ANDRZEJ RADEK CZYLI „SYZYFOWE PRACE“. Powieść. Wydanie nowe. 1910. Kor. 4.—.
- ARYMAN MŚCI SIĘ. — GODZINA. Wydanie drugie. 1911. Kor. 2:40.
- DUMA O HETMANIE. Wydanie trzecie. Inicjały i okładka E. Okunia. 1909. Kor. 5:20.
- DZIEJE GRZECHU. Powieść. 2 tomy. Wydanie trzecie. 1911. Kor. 7:80.
- LUDZIE BEZDOMNI. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911. Kor. 5:20.
- OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910. Kor. 3:50.
- POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. wieku. 3 tomy. Wydanie nowe. 1912. Kor. 7:80.
- POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie nowe. 1911. Kor. 2:60.
- PROMIEN. Powieść. Wydanie czwarte. 1910. Kor. 2:60.
- SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907. 20 hal.
- SULKOWSKI. Tragedya. Wydanie drugie. 1910. Kor. 6.—.
- UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910. Kor. 2:60.
- ZMIERZCH — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907. 16 hal.

UTWORY MAURYCEGO ZYCHA.

- ECHA LEŚNE. 1905. Kor. 2.—.
- ROZDZIÓBIA NAS KRUKI, WRONY. Wydanie trzecie, z rysunkami St. Janowskiego. 1905. Kor. 4.—.
- SŁOWO O BANDOSIE. 1908. Kor. 1:25.

J. KATERLI.

- RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910. Kor. 4.—.

144.

STEFAN ŻEROMSKI

URODA ŻYCIA

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH.

TOM I.

WYDANIE DRUGIE.



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-88-63

SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I SKA; KRAKÓW,
S. A. KRZYŻANOWSKI; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co.

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione. Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

Prawa autorskie w Rosji co do tłumaczeń itd. zarezerwowane na zasadzie ustawy z d. 20/III. (3/IV.) 1911 r.

Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twelve.



Winieta według rysunku Anny Zawadzkiej.

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE. — 5-12.



4 57810 510

CZEŚĆ I.

CIENŃ.

I.

Zupełna cisza zaległa korytarze. Najlżejszy szmer nie dochodził z sal. Nie słychać było turkotu, a jednak czuli to wszyscy, że w tej właśnie chwili zbliżają się karety, że zajeżdżają z Zabałkańskiego Prospektu przed przedsionek.

Pewien profesor mało znany słuchaczom najstarszego półrocza, jeden z sześciu ober-oficerów, wykładający na kursie młodszym, junkierskim pierwsze zasady fortyfikacyi, wbiegł do sali na palcach i w istnym popłochu pozamykał własnoręcznie cztery jej okna. Uczynił to z pośpiechem i taką na obliczu bladością, jakby ta czynność zabezpieczyć miała zgromadzonych od jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa. Przesunął się przed ławkami, wykonał ręką nieokreślony, niemal kabalistyczny znak. Znikł, jak cień. Przez chwilę słychać było ostrożny podzwiek jego ostróg, najbardziej odpowiedni, specjalny środek do potrącenia naprężonych nerwów.

Długa, najzupełniejsza cisza...

Piotr Rozłucki siedział w swej ławce wyprostowany, znieruchomiały, zamieniony niemal na spiz, niby jedna ze składowych części nowoczesnej działobitni, któremi miał wyładowaną głowę. Oczy jego

spoczywały na taflach posadzki, na deseni wywoskowanego drzewa. Kiedy wreszcie podniósł oczy, uczynił to niechętnie, prawie przemocą. Za przymkniętymi dopiero co oknami, w miękkiej wilgotności powietrza, wypowiedzanego przez szept wiosennego deszczu z miejskich czadów, tkwiły dalekie, nie wiadomo z jakich pniów wyrosłe wielolistne gałęzie kasztanów ze stożkowatymi kwiatami, jakby objęcia pachnące z tajemnic dalekiego świata ku tym oknom wyciągnięte.

Piotr Rozłucki powrócił coprędzej oczyma i myślą z tej krótkiej wyprawy za mury. Poczł w sobie wstyd za tę słabość upadku wyłamania się z wojskowej dyscypliny. Wrócił do szeregu. Ujrzał się znowu pośród kolegów, wbity między nich należycie, jak sztacheta w przęsło. Niezłomnością woli zapanował nad wszelkiem wzruszeniem jakiegokolwiek natury.

Daleko — znajomy na dole gmachu szczęk wielkich drzwi. Głuche głosy. Odległe kroki na marmurowych schodach. Nieokreślony gwar w górnym korytarzu. Odgłos stąpania wielu osób.

Serca oficerów zamarły. Rozum przedzierzgnął się w jasną świadomość. Wola osadziła się w pełni. Mięśnie rąk i nóg u wszystkich wraz stały się jedną podwładną.

Komendant baterji, sztab-oficer inspektor w pełnej formie, z żelaznym na twarzy marsem wszedł niepostrzeżenie do sali. — Objął „kurs“ błyskawicą żrenicy i wyprostowany, twarzą zwrócony w stronę korytarza stanął u drzwi. W mgnieniu oka zespół

młodych podporuczników, składający kurs najwyższy, powstał z miejsc, jak jeden człowiek.

Wszedł do sali powolnym, zlekka ociężałym krokiem wielki książę — protektor. Bardzo wysoki, chudy, nieco już szpakowaty mężczyzna, o twarzy niewesołej, ściągłej. Niewielka, klinowata broda jego siwiała, równie jak gładko przyczesane włosy.

Pozdrowił młodzieńców zcicha znanem żołnierskim powitaniem. Odpowiedzieli jak jeden, skandując w sposób przepisany frazes z przepisaniem uniesieniem. Książę skierował kroki ku katedrze, zasłanej wspaniałym dywanem. Z dyskretną elegancją zasiadł na krześle pod portretem panującego monarchy. Obok, z obudwu stron, jakgdyby wykonywując formułę skomplikowanego tańca, umieścili się generałowie świty — generał-feldzeigmajster, generał inspektor artylerji, pomocnik, inspektorowie zarządu artylerji i inni. Cała ta, pusta przed chwilą połać sali zajaśniała nagle od paradnych szlif, aksamitnych kołnierzków, ponsowych lampasów, akselbantów, wielobarwnych szarf, orderów, gwiazd, wstęg, łysin i wypomadowanych czupryn.

Przyciszony dźwięk ustawianych szabel i umyślnie zagłuszany brzęk ostróg rozplynał się znowu w milczenie. Surowe oczy generałów mierzyły niepobłaźliwie głęboką salę, w której zasiadło czterdziestu paru abiturjentów. Młodzi oficerowie oczyma skamieniałemi z subordynacyi mierzyli generałów. Nadewszystko jednak ośmielali się podnosić oczy na twarz wielkiego księcia, doświadczając należytej

radości. Widzieli go po raz pierwszy. Na jego obliczu malowało się znudzenie, zamaskowane Przymusową uprzejmością. Cała postać była jakby okuta przez powszechną subordynację. Zwrócił głowę z ugłaskaną przez obowiązek i łaskawą odrazą w stronę inspektora Akademii Michajłowskiej i wśród głębokiej ciszy zapytał o stan egzaminów. Sztab-oficer inspektor, wyprostowany niby struna jakowegoś wielkiego instrumentu, wyraźnie, jasno, z cicha wygrał ku czci jego cesarskiej wysokości pokorne *recitativo*, iż egzaminy na najwyższym, „praktycznym“ kursie z hippologii, z wojennej i artyleryjskiej administracji, z teoretycznej i materialnej artyleryi, z prawoznawstwa, chemii organicznej, tudzież znawstwa materiałów wybuchowych, z fortyfikacji, taktyki, fizyki i rachunku różniczkowego — już się odbyły. Pozostał właśnie egzamin zasadniczy z historii ojczystej. Wielki książę wyraził życzenie wysłuchania odpowiedzi tego i owego z wychowalców zakładu na pytania, które im sam zada. Inspektor podsunął mu natychmiast listę oficerów, kończących akademię. Wielki książę schylił się nad tą listą i wśród tajnego łoskotu serc kilkudziesięciu młodzieńców deliberował. Nareszcie wypowiedział nazwisko: — Prochorow.

Ów Prochorow wstał i wyszedł z głębi sali na nogach, których dygotkę pokrywał nienaturalną sztywnością. Znalazł się niespodziewanie w obliczu wszystkich, jak złoczyńca wyprowadzony na szafot. Tu z pociechą usłyszał banalne zapytanie o formułę prochu bezdymnego, wyrecytował ją wraz

z przeciętnem objaśnieniem o właściwościach chemicznych, fizycznych i balistycznych tego prochu, wspomniał o jego taktycznych i ekonomicznych zaletach. Ośmielony łaskawem spojrzeniem dodał kilka uwag o rodzajach prochów nitroglicerynowych — i przedziwnie zadowolony wrócił na swe miejsce z wdzięczną radością w oczach, w ustach, w ruchach, a nawet, zdawało się, z radością w połyku butów.

W tym czasie i w ciągu posłuchania, udzielonego następnemu koledze, Wasiliewowi, który mówił o teorii celowania pojedynczym działem, tudzież działobitnią, o celowaniu według znaku odchyleń i krzywej Persena, — Piotr Rozłucki stłumił zupełnie pewne zaniepokojenie poprzednie. Pracował nad sobą duchowo z niezwykłym opanowaniem wszelkiego wzruszenia. Wiedział dobrze, że wcześniej czy później zostanie powołany na środek. Z całej mocy duszy i ciała przygotowywał się do tego wystąpienia. Był chlubą szkoły artylerji, złotym jej elewem. Nie darmo przecie, jako piętnastoletni prymus przeszedł tutaj ze szkoły kadetów, — odbył swój tryumfalny pochód z najwyższemi odznaczeniami przez cały dział junkierski, jako feuerwerker i porte-épée junker, — zdał na teoretyczny i zaliczony do pierwszej kategorii na egzaminie, w randze podporucznika, przeszedł na kurs najwyższy, czyli praktyczny, i nie dał się nikomu pod żadnym względem prześcignąć... Teraz miał ukoronować pracę całego swego młodego życia efektownem odznaczeniem, jakimś „pomysłem Suwo-

rowa“. To też, patrząc z niczem niepowstrzymaną uwagą na deski podłogi, badał swą drogę do tej katedry i przewidywał wszystko, co się stać może. Mierzył tedy każdy swój krok, obmyślał każdy ruch, rozważył ukłon, przybrał w wyobraźni niezbędną i najbardziej celowy wyraz twarzy. Praca ta była szybka, stanowcza i nieodwołalnie trafna.

Podniósł nieulekły wzrok na wielkiego księcia i wpatrywał się w jego twarz długo i spokojnie. Zgłębiał w tej krótkiej chwili tego człowieka, jak zagadnienie o jednej z owych tajemniczych sił wojny, o których tyle się w ciągu swego życia uczył i zawsze „matematycznie marzył“. Ale zagadnienie oblicza wielkiego księcia było trudne, nad siły rozumu „genialnego“ podporucznika, niepojęte. Rozłucki zarył się w nie całém dwudziesto-czteroletniem objęciem, które forsowna ścisła nauka poddała tak wszechstronnemu ćwiczeniu, dyscyplinie i wyostrzyła tak dalece, że się zamieniło niemal na zuchwałę jasnowidztwo. Patrzył oczyma młodego matematyka, którego nauki wojskowe pchnęły na szczyty marzeń o sławie, w tego człowieka posiadającego już wszystko, którego posiadanie wszystkiego napawało jedynie wyniosłem, dyskretnie schowanym znużeniem. Uwielbiał tę flegmę wielkoksiażęcą, wobec której jego wewnętrzna praca, naprężenie surowych sił i świadomych władz duszy — wydawało mu się ordynarnym zapałem, — ale jednocześnie wrzał od głębokiej a poskromionej pasyi. W pewnej chwili ta właśnie surowa pasya dosięgła szczytu, podniosła

się ponad wszystko, niby lawa sięgająca wylotu krateru. Zdobyć i pokonać tego człowieka, stanąć nad nim i nakazać mu zachwyty dla siebie! Za wszelką cenę! To się stać musi!

Przymknął oczy i od jednego zamachu woli postanowił:

— Jeżeli się potknę, jeżeli chybię — wówczas — co wówczas? Co pocznę?

Po chwili:

— Z błahego powodu uderzę w twarz von Dahla, jutro stanę do pojedynku i dam się zabić.

Poczem był już spokojny, wesoły i prostodusznie naiwny. Czekał. Komedia egzaminowania poszczególnych oficerów przez poszczególnych generałów, którym rozwiązanie ściśle zadawanych pytań poniekąd już wyparowało z łysin i spod uczernionych fryzur, — ciągnęła się jeszcze.

W pewnej chwili sztab-oficer inspektor nachylił się czołobitnie do wielkiego egzaminatora i wyjaśnił mu uniżenie jakiś szczegół. Wielki książę przyzwolił skinieniem powiek. Generałowie świty niepostrzeżenie odsapnęli. Generał dyrektor zaanonsował:

— Na polecenie jego cesarskiej wysokości przystępujemy do egzaminu z historii ojczystej.

Wielki książę pochylił znowu głowę nad listą i raczył czytać szereg nazwisk. Wymienił z nich jedno: — Von Dahl.

Von Dahl wyszedł elastycznie jedwabnymi krokami i drżącą ze wzruszenia dłonią wyciągnął jedno z „pytań“, rozrzuconych na małym stoliku,

przylegającym do ławek słuchaczów. Głos jego łamał się i zahaczał na rozmaitych szczegółach panowania Aleksandra Błogosławionego, a patryotyczne okresy, jak rozpuszczone sztandary, szumiąc pływały nad poprzekręcanemi datami, nad błędami, zamaskowanemi uniesieniem. Wielki książę spoglądał na Von Dahla dobrotliwie, jak na kafel pieca, co podporucznika doprowadzało do szału radości. Gdy młody adept sztuki artyleryjskiej wyczerpał już wszystkie batalie roku 1812-go i miał w myślach tylko chaos okryty frazesami, które również były na wyczerpaniu, — a w oczach iście baranią rozpacz, puszczo go na miejsce z wysoką aprobatą.

Niemal w tejsamej chwili Rozłucki usłyszał wymówione swe nazwisko. W mgnieniu oka przygotował się wewnątrz do wykonania planu. Przybrał na twarz dawniej obmyślony uśmiech, wyszedł sprężysto i stanął przed księciem. Teraz spotkały się ich oczy, a raczej wzrok ucznia wyszukał źrenice pana. Ta chwila trwała tak niewłaściwie długo, że inspektor uznał za konieczne wydać polecenie:

— Proszę wyciągnąć bilet...

Piotr sięgnął ręką i podał zwierzchnikowi pierwszą z brzegu kartkę papieru.

— Panowanie cesarzowej Katarzyny Drugiej...

Rozłucki doświadczył przez sekundę zawrotu głowy. Szum w uszach, jak w gorączce, albo po zażyciu chininy — wybuchł, lecz zwolna nacichał... W owej chwili, gdy generał czytał „pytanie“, —

uczeń stanął nad przepaścią. Zebrał się w sobie i w jednej chwili postanowił:

— Tak! Probuję.

Spojrzał znowu w oczy księcia. Nic! Nic dotąd nie osiągnął. Oczy te były nie do zdobycia. Patrzyły jakoś poprzez głowę „złotego“ podporucznika, nie widziały go, wpatrując się weń, jakby był powietrzem, wodą, albo szkłem. Powziął się tedy w sobie nanowo, dźwignął, jakby wówczas, kiedy się podnosi w pojedynku pistolet. Zaczął mówić głosem równym, nieswoim, jakgdyby zewnętrznie uprzejmym. Opowiedział panowanie Elżbiety Piotrówny kilkoma zwięzłymi okresami i przeszedł do chwili przybycia do Rosyi pięknej księżniczki Zofii-Augusty Anhalt-Zerbtskiej, narzeczonej młodocianego Piotra III-go Teodorowicza. Wdał się w drobiazgową charakterystykę usposobień tego księcia i charakteryzował go z tak świadomym uporem, że aż wywołał iskrę zainteresowania w oczach wielkoksiążęcego słuchacza. Mówił tedy o sympatyach Piotra III-go dla Fryderyka II-go, przekraczających wszelką miarę, o jego przywiązaniu do Holsztynu i prawie nienawiści do Rosyi, do religii prawosławnej, do duchowieństwa i ludu, — zlekka dotknął braku umysłowych zdolności, nałogu pijaństwa i manii głośnego myślenia. Poczem przeszedł do charakterystyki Zofii-Augusty, późniejszej Katarzyny Drugiej, genialnej samotnicy na dworze Elżbiety Piotrówny, z nudów pochłaniającej stosy książek i zwolna, w ciągu kilkunastu

lat wpatrującej się w sprawy publiczne, które w jej oczach płynęły i płynęły bez końca. Rozłucki narzynał zrcęcznie i ostrożnie poziomą bezmyślność i nudę dworu Elżbiety, wartość moralną Piotra Teodorowicza, ażeby niejako usprawiedliwić bliższy stosunek następczyni tronu z Sołtykowem, a gdy Sołtykow wysłany został na dożywotnie ambasadorstwo, — bliższy stosunek ze Stanisławem Poniatowskim, przypadkowym członkiem poselstwa angielskiego w Petersburgu.

Kiedy Rozłucki podniósł w owej chwili oczy na swego słuchacza, ujrzał nareszcie w jego twarzy pożądaną a przewidzianą reakcyę, zainteresowanie, ale tego rodzaju, że poczuł zimny dreszcz w ramionach. Wielki książę miał oczy zmrużone i uważnie wpatrywał się w młodego artylerzystę. Generałowie siedzieli na swych miejscach, jak wmurowane w ścianę posągi. Tylko lodowate, niepostrzeżone uśmiechy, błędzące po ich twarzach, świadczyły, że to są ludzie, którzy pilnie czuwają nad swą i cudzą karyerą, lub karkołomną ruiną. Oczy ich patrzyły w młodego mówcę z wyrazem okrucieństwa i ciekawości. Inspektor, komendant akademii, stał w głębi blady, ze spuszczonei oczyma, wsłuchując się w słowa wychowańca, które nań spadały, jak chłosta na grzbiet obnażony. Rozłucki, utwierdziwszy się w postanowieniu, ciągnął dalej swą rzecz świadomie na szczyt. Przedstawił Stanisława Poniatowskiego, jako wykwinłnego, wykształconego europejczyka, pięknego poszukiwacza losu i przygód. Nadmienił, że nic nie było dziwnego w tem

zbliżeniu się dwu osób z zachodu w dziwnym świecie niskich intryg i poziomych plotek. Nie było w tem nic dziwnego, że następczyni tronu zapragnęła wywyższyć Stanisława Poniatowskiego, podnieść go do stopni tego krzesła potęgi, na którem, obok Piotra III-go, zasiąść miała. Tron w Polsce był obieralny, więc cóż dziwnego, że obydwójce marzyć poczęli o tym tronie dla pięknego Czartoryskich krewniaka. Ażeby tron polski posiadać, trzeba było poznać wszystkie gradusy, po których należało nań zmierzać. To też Stanisław Poniatowski w ciągu lat pobytu w Petersburgu, aż do swego przymusowego wyjazdu, w tajemnicy uświadamiał następczynię tronu z pewnością sumiennie, gruntownie i ze znanstwem, o wszystkich słabych stronach, ranach, zmazach, grzechach, brakach, ułomnościach owoczesnej Polski, o jakości i wartości stronnictw, o stosunkach i mocy praw obyczajowych, o wszystkich wadach i przywarach ludzi, rej w tym kraju wodzących, o ich namiętnościach i tajonych ambicyach, o sile w każdym z nich żądzy złota, o każdego mocy charakteru, wielkopańskiej manii, lub prostoszlacheckiej głupocie. W ten sposób Katarzyna Druga, która nigdy w Polsce nie była, która nigdy na tej ziemi nie postawiła nogi i bardzo niewiele widziała w swem życiu polaków, — wiedziała dokładnie, komu co dać, kogo przekupić, komu co przyobiecać, jak kogo zdobyć, — powzięła wyobrażenie najdoskonalsze, zupełną topografię upodlenia Polski, znajomość zgniłych jej miejsc, tych szlaków niepostrzeżonych, któ-

rędy później ze znanstwem mogła wejść w chwili właściwej, ażeby podtrzymać anarchię i zręcznie zdławić dzieło reformy tego narodu. Wówczas to pewnie nabrała przekonania, które często później głosiła, iż niemasz w wyższej polskiej sferze ani jednego człowieka, któregooby do wszelkiej posługi nie można było nabyć za złoto.

Wypowiadając te tyrady, Rozłucki nie zwracał już uwagi na to, jakie wywierają wrażenie. Wiedział, że około niego skupia się teraz sąd słuchających, wiedział też, że teraz waży się na „zdobywanie“ wielkiego księcia. Przystąpił do skreślenia wypadków, które zaszły po śmierci Elżbiety i wstąpieniu na tron Piotra Trzeciego. Mówił tedy ze swobodą i pozorną naiwnością myśli o tem, jak to młody monarcha nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w Rosyi, lecz wszystkie siły swej duszy miał zwrócone na wojnę Holsztynu z Danią. Rozłucki uskarżał się na postój wojsk holsztyńskich w okolicach Petersburga, żalił, iż młody cesarz ćwiczeniem ich jedynie był zajęty, wojska zaś rosyjskie, które wśród swego niemieckiego otoczenia stale zwał „*die Russen*“, zaniedbywał zupełnie. Dochód państwowy nie pokrywał wydatków, gdyż deficyt szedł na pokrycie utrzymania armii zagranicznej; chan krymski gotował się do inwazyi w granice rosyjskie; w całych okręgach i powiatach szerzyły się bunty chłopskie, a siła wojskowa komend prowincjonalnych nie była w stanie ich uśmierzyć. Wojska krajowe miały iść do Holsztynu. Cesarz Piotr Trzeci głośno wyjawiał zamiar aresztowania

swej małżonki i osadzenia jej w klasztorze, — wydawał ukazy najdziwaczniejsze, jak ów do Synodu z wiosny 1762 roku, wprowadzający za jednym zamachem tolerancję religijną wszelkich wyznań oraz tolerancję cudzołóstwa, — kasujący posty i zaliczający chłopów pańszczyźnianych klasztornych na rzecz prywatnej własności monarchy, — uczestniczył w poświęceniu kaplicy luterańskiej w Oranienbaum i rozdawał wszystkim obecnym modlitewniki protestanckie. Pomimo, — ciągnął Rozłucki, — wprowadzenia dwu edyktów, jak zniesienie tajnej kancelaryi i zezwolenie na wyjazdy za granicę dla szlachty, Piotr Trzeci był znieawidzony przez ogół rosyjski.

Następnie skreślił dzieje siedmiu dni od chwili wyjazdu Aleksego Orłowa i Wasyla Bibikowa z Peterburga do Peterhofu, ażeby przywieźć Katarzynę do stolicy i ogłosić cesarzową, — dzieje ucieczki Piotra Trzeciego do Kronsztadu, dzieje jego upadku na duchu, — aż do szóstego lipca, czyli do dnia nagłej śmierci cesarza w zamku Ropszy.

Narrator miał zamiar przytoczyć osnowę listu Aleksego Orłowa do cesarzowej, listu zawiadamiającego o śmierci monarchy. W owej chwili był zupełnie spokojny. Miał w sobie zimną pewność i zwycięską nieustraszoną. Od niechcienia spojrzął na wielkiego księcia i powiódł oczyma po linii generałów. Palce suchych rąk księcia błędziły po papierze, oczy były złowieszczo mgliste. Generałowie, zdawało się, z zimną gotowością oczekiwali na jakiś rozkaz. Rozłucki uczuł w tej minucie roz-

kosz szczególnie przejmującą. Osiągnął swój cel. Wiedział teraz, że naciągnął łuk do ostatniej linii. Należało teraz wypuścić strzałę. Był pewny, że jeśli w tejże chwili, natychmiast nie wypuści swego pocisku, łuk pęknie. Zebrał myśli, skupił je i złożył wszystkie na cięciwie, jakoby pierzastą strzałę.

— Proszę się streszczać... — rzekł nagle sztaboficer głosem suchym, chrapliwym z rozpaczy, usiłując ratować sytuację, siebie i tego szalonego wychowańca.

Rozłucki z głębokim uszanowaniem i posłuszeństwem zwrócił głowę w stronę „ukochanego zwierzchnika“. Począł mówić natychmiast z entuzjazmem i brawurą, jakby wylewając ogrom wdzięczności i uniesienia, — o wielkich pochodach i pracach Aleksandra Suworowa. Miał w sobie teraz łatwe uczucie, jakby z rozwianym włosom, wielkimi krokami schodził z wysokiej góry. Umiał na pamięć, jak pacierz, wszystkie tytuły księcia Italijskiego, hrabiego Rzymskiego, generalissimusa wojsk rosyjskich, wielkiego Aleksandra Wasiljewicza. Wyliczył z pamięci wszystkie jego ordery, szarfy, wstęgi, brylantowe kity, złote szpady obsypane brylantami i wymieniał w lot, co za jaką sprawę przypadło. Zaczął opiewać epos suworowski od tegoż roku 1762, roku przewrotu, kiedy późniejszy feldmarszałek i generalissimus był dowódcą suzdalskiego pułku. Nad początkową jego działalnością nie rozводził się zbyt. Szczegółowiej przedstawił wypadki, które nastąpiły w jakie sześć lat po wojnie siedmioletniej, gdy Suworow, jako brygadyer, wy-

ruszył w stronę Polski. Opisał tedy z należnem uniesieniem, jak to przez zamazłe rzeki, przez błota, lasy, w ciągu miesiąca, brygada suworowska przebyła tysiąc wiorst z Orszy do Mińska, z Mińska do Warszawy, — jak to ją dowódzca w marszu uczył strzelać, bić się na bagnety, zdobywać fortalice. Z wojenną dokładnością uwidocznił porażkę Pułaskich na Litwie, późniejsze czyny w Polsce po przejściu Wisły, a więc w roku 1770-ym rozpędzenie „szajek“ Mószyńskiego pod Klimontowem i Opatowem, zdobycie Lanckorony, Kraśnika, wreszcie obsadzenie zamku w Krakowie, — porażkę Pułaskiego pod Zamościem, Nowickiego pod Krasnymstawem, — w końcu bitwę pod Stołowiczami, gdzie pokonany został hetman Ogiński. Następnie zobrazowane zostało oblężenie Krakowa, zdobycie i wysadzenie w powietrze forteczki w Zatorze...

Wielki książę z uwagą, generałowie z namaszczaniem wsłuchiwali się w opowieść o czynach wielkiego wodza Rosyi w Krymie, w Turcyi, nad Wołgą czasu pojmania Pugaczewa. Wszystko opowiedziane było z niezwykłą precyzyą i ścisłością wojskoznawczą. Doprowadziwszy swą opowieść do Kościuszkowskiego „buntu“, Rozłucki sprecyzował czynności Fersena i Suworowa, wystawił doskonale bitwę maciejowicką, a po połączeniu się wojsk rosyjskich w Stanisławowie, okrutną polską porażkę pod Kobyłką, — wreszcie oblężenie Pragi.

Grzmiały w jego relacyi działa, — ośmdziesiąt sześć rosyjskich i sto cztery polskie w czasie tygodnia oblężniczego. Oto nastąpił szturm. Sześć

tysięcy obrońców padło trupem. Oto ludność rzucała się ku Wiśle, ażeby ją przebyć po moście pontonowym. Most się ugina pod ciężarem. Dwa tysiące ludzi idzie na dno. Ośm tysięcy w niewolę...

Rozłucki opowiadał głosem, który drgał od tryumfu, — jak wódz nazajutrz wjeżdżał na koniu w zwykłym mundurze, bez żadnej z tyłu swych ozdób.

Na brzegu Wisły witają go przedstawiciele narodu chlebem i solą. Podają mu klucze od miasta — i od Polski. Suworow całuje ich, podnosi ręce do nieba i rzecze: — O, Boże, dziękuję ci, że te klucze nie tak drogo mi się dostały, jak...

Tu łzy przerywają jego mowę...

Słuchacze młodego artylerzysty zostali głęboko, surowo wzruszeni. On sam wzruszony był również tem nadewszystko, że osiągnął swój cel. Tu doszedł, dokąd był zamierzył. Wielki księżę przypatrywał mu się z głęboką uwagą, z zastanowieniem, a nawet z czemś w rodzaju podziwu.

II.

Obudził się ze snu, o którego twardości wnosili wagonowi sąsiedzi z chrapania iście artyleryjskiego, gdyż chrapał prawdziwie wszystkimi bateriami. Ocknąwszy się nareszcie, powiódł zdumionem okiem po lśniącym, zlekka-wklęsłym suficie, przypomniał sobie, gdzie jest, i zachichotał wewnątrz. Był wyspany i silny, jak koń pociągowy. Pochylił głowę i spojrział ze swego łoża na górnem, podniesionem siedzisku wagonu: przedział był pełen osób. Słońce świeciło prosto w okno.

— Teraz się umyjemy — myślał podporucznik — a później trzeba będzie zjeść dużo, ale za to coś smacznego...

Usiadł na posłaniu, o ile na to pozwalała bliskość wagonowego sufitu, wdział nowiuteńki mundur z nieposzlakowane aksamitnym kołnierzem, z dziewczymi szlifami i gwiazdą akademicką na lewym boku, — wyprostował lakierowane, bajecznie zwykowne buty z cholewami, przygładził włosy...

— *Pardon-s!* — mruknął, spuszcżając nogi i zwinnie jak kot schodząc z podniesionego łoża. Wyminał pokoszlawione figury, drzemiące w zaduchu przedziału, i udał się do umywalni, — później do

bufetu. Gdy stamtąd wrócił wyświeżony, wymyty, wyszczotkowany, pełen kawy i bułek z masłem, był tak szczęśliwy, że gotówby był ścisnąć po kolei wszystkich towarzyszków podróży. Za jego idąc przykładem, towarzysze podróży prostowali zdronzone gnaty i gnaciki, myli się, czesali i dysputowali o kawie, oraz o wzmiankowanych bułkach z masłem. Rozmowa toczyła się w języku polskim, więc jej Piotr Rozłucki nie rozumiał. Coś tylko piąte przez dziesiąte, jakiś wyraz chwycił ze zrozumieniem. Zażył siły rycerskiego ramienia do zgięcia sprężyn podtrzymujących górne siedzenie, które mu służyło za łóżko, i pomógł jednej z pań otworzyć okno.

Na dworze był poranek. Rosa lśniła na potrawach niedawno skoszonych łąk. Jak srebrzysty mat leżała blisko na ścierniskach, kędyś iskrzyła się brylantowo na kłosach jeszcze niezżętych. Płaska ziemia słała się w niezmierną dal. Tam i sam las ją umiał, dalekie łęgi przepasały. Tu i owdzie wydmuch bezpłodnego piasku, jak bolak nabrzmiały wśród uroczystej odzieży owsów i żyt, żółkł pod sosnowym lasankiem. Brzozowe zagaja, niewielkie wszędy dąbrowy śniły wśród zbóż.

Rozłucki, znalazłszy wolne miejsce przy oknie, wpatrywał się w ten krajobraz. Nie widział jeszcze ani takich chat, ani podobnych wsi, ani strzelistych kościołów, ani alei topolowych, co w rozmaitych kierunkach szły w kraj. Ludzie żęli, wiązali snopki i podawali je widłami na wozy drabiniaste. Gdy pociąg mknął wśród tej ich roboty, zdawało się

patrzacemu, że ci ludzie, rojnie tam zajęci, kłaniają się nisko. Szare były, spalone, ściągłe ich twarze, kościste postacie, biało-szare odzienie. Barwniej nieco zaznaczały się chusteczki i spodnice kobiet, schylających się ku ziemi i z pięknym gestem odkładających na uboczu garście zżętego zboża.

— Jaki to inny naród... — myślał Rozłucki. — Szary jakiś naród... Twarze mężczyzn golone, ludzie szczupli.

Było mu bardzo miło patrzeć tak w tę przestrzeń, zaciągniętą zbożami, w tę niską, szarą, piaszczystą ziemię, zalaną słońcem i zasypaną rosą. Oto tam kędyś daleko mgiełka śniada jeszcze się ciągnęła z nad wód.

Stado cyranek pomknęło w dal...

— *Polsza...* — myślał oficer.

Gniewne, surowe uczucie wzniosło się z tego wyrazu, lecz wnet upadło w zadumanie. Po raz pierwszy był oto na swobodzie. Ukończywszy z najwyższym odznaczeniem Michajłowską szkołę, jechał do wyznaczonej mu baterii, konsystującej w mieście dalekiem, o co wystarał się dziad i opiekun, generał w dymisji, mieszkający na wsi. Miesiąc po egzaminacyjny spędził u krewnych, synów drugiego stryja, również generała, — którzy byli już szlachtą osiadłą w gubernii penzeńskiej. Nareszcie zdjęto zeń wszelką opiekę po tylu latach korpusu kadetów i szkoły artyleryjskiej, gdzie był numerem, jednostką w wiekuistym szeregu. Nie czuł na sobie w tej chwili badawczego oka zwierzchników, ani egza-

minującego wzroku bogatych krewniaków — i ta okoliczność najbardziej go radowała.

Na przeciwległej ławce, również pod oknem, siedziała młoda osoba. Młoda osoba miała już na pewno siedemnaście lat, ale niewiele ponadto. Była bardzo urocza w swem niemal dzieciństwie, a już kobiecości. Zdjęta była skromny słomkowy kapełusz i ciemne jej włosy, w sposób wysoce oryginalny zaczesane na bok, lśniły w porannem słońcu. Twarz miała zaróżowioną, nos prosty, usta bardzo ładne. Oficer nie mógł zobaczyć barwy jej oczu, gdyż czytała książkę i nie odrywała się od niej.

Wsiadła, widać, do pociągu niedawno, gdyż nie znać było w jej postaci zmęczenia po-nocnego. Jej prosta, jednostajna suknia liliowego koloru nie była zmięta, ani zakurzona, a policzki jeszcze kwitły od rannego powiewu w polach.

Rozłutki, który patrzył długo w te pola i dojrzałe ich urodzaje, zdziwił się, jak panienska siedząca naprzeciwko podobna była do łanu zboża. Jej włosy i cera twarzy — to był łan dojrzałej pszenicy.

Czekał, żeby podniosła oczy, i zuchwale wlepił w nią swoje. Nadaremnie. Czytała angielską książkę i nie zwracała uwagi na jego ruchy, pobrzęki ostrogami i wszelkie celowe szarmanteryje. W pewnej chwili podniosła oczy o żrenicach złotych, niemal czarnych, lecz nie zobaczyła tego nowego towarzysza podróży. Czuł, gdyż z niepostrzeżonych jej ruchów to spostrzegł, — że zdaje sobie sprawę z jego tajnych manewrów, wie o wrazeniu, jakie

wywarła, lecz nie chce go widzieć, ani wiedzieć o jego obecności. Wprawiło go to w bezsilny gniew. Im bardziej jej się przyglądał, tem więcej spostrzegał w niej wdzięku pierwszej młodości, jakowejś tajnej, milczącej, trzebaby powiedzieć, wewnętrznej kultury. Każdy jej gest i każdy ruch był gestem i ruchem, pełnym osobistego rozumu, ale i odziedziczonego taktu. Rozmyślał nad tem, że między nim i nią, oddaloną mniej, niż o krok, przebiega linia jakiejś nieprzebytej granicy. Tego niezłomnego spokoju, który był powleczony wesołym półuśmiechem grzeczności, nie złamie nic. Kiedy usilnie wpatrywał się w jej twarz wilczemi ślepiami oficera uwolnionego z murów szkoły, podniosła oczy z obojętnością i końcem palca przewróciła stronicę książki.

Ktoś z pasażerów wszedł, mówiąc do współtowarzyszów po polsku, że w pociągu jest wagon restauracyjny. Piękna szatynka złożyła swą książkę na ławce i zapytała, czy daleko się idzie do wagonu restauracyjnego i w którą stronę.

Rozłucki myślał: — Prawdę się czytało o tych polakach... Zimne to, jak kamień. Nienawidzi to nas. Widać z każdego spojrzenia nienawiść...

„Zimna i nienawidząca“ polka powstała z miejsca i włożyła na głowę kapelusz w sposób tak obojętny, jakby sama jedna była w przedziale.

Wyszła, szeleszcząc sukniemi i każdym ruchem stwierdzając prawdę formuły porucznika Rozłuckiego. Zatopił oczy w przestwór i poświstywał.

Zepsuła mu humor. Do dyabła! Była prześli-

czna... Gdy nie wracała, czuł jej nieobecność i z tego powodu złościł się wewnątrz. Mruczał pod nosem „zdrowe“ oficerskie, a może nawet żołdackie wyzwiska. W pewnej chwili rzucił okiem na książkę z rozłożonemi stronicami, leżącą na siedzeniu, wywróconą tytułem do góry. Przeczytał tytuł: *Laon and Cythna or The revolt of Islam by Percy Bysshe Shelley...*

Sam umiał nieźle język angielski, który w szkole artyleryjskiej był wymagany i modny, — lubił czytać książki pisane po angielsku. Jakże chętnie związałby rozmowę z młodziutką czytelniczką o przestudyowanych niegdyś pisarzach! Ale nie zechciałaby przecie rozmawiać z nim, z „moskalem“! A mógłby ją zdziwić oświadczeniem, że jest z pochodzenia niejako — polakiem, że miał matkę polkę, choć unitkę, więc prawosławną, a ojca nawet buntownika, rozstrzelanego za polski bunt. To wspomnienie, którego nigdy nie dopuszczał do siebie, myśl, której nigdy nie pozwalał stanąć na progu swej świadomości, myśl o tej zmaie hańby, — wróciła go na tor właściwy. Zebrał się w sobie i opancerzył przeciwko wszelkim wzruszeniom przypomnieniem, że jest oficerem i że ma w tym kraju w sposób bezwzględny strzedz honoru swej armii. Nastawił się tedy w sposób niezdobyty, groźny, niby najeżona od armat reduta, i czekał na nieprzyjaciela. Ale gdy ów nieprzyjaciel różowy, powiewny w swych sukniach, jakby w płatkach irysa, woniejący od nieuchwytnych perfum przesunął się obok jego kolan, znowu stracił należytą marso-

wość. Od niechcienia niby, spod oka patrzył na tę „kowarną polkę“. Prześliczne, uśmiechem zachwytu owiane były jej usta, gdy czytała nadziemski romans Laona i Cythny, duchów uciemionych, walczących aż do ostatniego westchnienia, bohaterów, co się w niebiosach dopiero pobierają. Wiecznie kwitnące myśli i wiecznie wonne uczucia najżywotniejszego z poetów świata upajały jej czoło gładkie i jak letni nieboskłon nieskalane. Rozłucki doświadczał uczucia przyjemności z tego przynajmniej tytułu, że był w tym samym przedziale, co nieznajoma. Wagon go unosił, myśli snuły się w sposób samowolny. Nieotamowany lot czucia niósł dokądś, w gąszcz wspomnień wymykających się z pamięci, w cieśnię słów stłumionych, polotnych, luźnych, pradawnych dźwięków, będących w duszy tylko dzięki tonowi, który je ocalił. Tam, kędyś w głębi, na samem dnie czucia tają się samotne, zapomniane polskie słowa, nikle i zatarte, jak ślady stóp bosych na piasku morskiego wybrzeża. Deszcz nawalny je rozmył, wiatr srogi przysuwał, fala morską zgładziła.

Miękoszelestne słowa, zaświatowy szept, półzrozumiałe dźwięki:

— Piotruś, syneczku jedyny...

Jakoby ciemny obłok, twarz łzami zalana, blada, — usta spalone od gorączki, — straszne, rozwarne, szerokie, zastygłe, przerażone oczy. Włosy czarne i długie owionęły szlochom duszę. Ręce, żebrzące w zastyganiu, na atlasowej kołdrze. Leżą załamane...

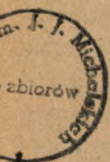
Oficer otrząsnął się z przykrego marzenia.

Coraz więcej było zabudowań, parkanów, szop, bud, wreszcie ohydnych wielopiętrowych kamienic. Wkrótce zwielokrotniały szyny kolejowe. Poczęły wyrastać i grupować się rude i czerwone wagony towarowe bez końca, aż zupełnie zasłoniły widnokrąg. Pociąg leciał, tworząc łoskot nieznośny. Dym błękitnawy kominów fabrycznych i rudy lokomotyw zasłonił niebo. Kiedyniekiedy mignęła w dymie wysoka zczerniała ściana jakichś składów, remiz, hal fabrycznych ze złamanymi dachami.

— Otóż i Praga... — rzekł ktoś z podróżnych.

— To właśnie jest owa Praga... — myślał Rozłucki ze szczególnem w sobie pomieszanem wrażeń.

Oczy jego wlepiały się w ten widok zagmatwany, bezlicy, zczerniały, chropawy, w te nieme znaki materialnego życia. Ucho chwyciło głuchy łoskot. Pociąg stanął. Piękna a „chytra“ Polka zebrała swe skromne pakunki i, nie czekając na tragarza, pośpiesznie wyszła. Rozłucki ścigał przez chwilę wzrokiem jej postać. Nieznajoma wzięszy się w tłum — i znikła.



III.

Piotr Rozłucki przyjechał w nocy na podręczną stację bocznej kolei. W Warszawie zabawił kilka dni, nudząc się w hotelu i zwiedzając miasto. Zdumiewała go tam liczebna ilość Polaków i jakość ich bytowania. Nie było z nimi tak, jak głośno urzędowe podręczniki i jak podawały ustne wersje znawców. Gniewało to, że stanowili zwarty żywiół, zamknięty w sobie, którego ciemny od głębokości nurt niedostępny był dla postrzegacza. Postrzegacz życzył sobie, ażeby nie było w ogóle tej „polskiej kwestyi“. Nie mógł napawać się urokiem pięknych kobiet, oryginalnych przejawów kultury, sztuki, budownictwa, pamiątek, szczegółów życia, których nie znał. Wszystko to wplątane było w „kwestyę polską“ i musiało być wrogiem dla człowieka, uprawiającego w tym kraju „sprawę rosyjską“. Podróżnik nie doznał w Warszawie ani jednego uczucia miłego. Wszystko tam było obłudne, czołobitne aż do nizoty, a zarazem zdradzieckie w tej uniżoności, albo wręcz wrogiem i to wrogiem śmiertelnie. Widział wartość, dostojeństwo, piękno i szczerły wdzięk zupełnie nowych przeja-

wów, widział to po raz pierwszy w swem życiu, lecz wszystko jakby za grubą szybą.

Błąkając się po obcym mieście, szukał nieznanym z kolejowego przedziału. Jadąc w tramwaju, siedząc w teatrze, zwiedzając galeryę obrazów, park w Łazienkach, lub kościół świętego Jana, rozmyślał, że niespodziewanie ujrzy ją, wychodzącą zza tej zasłony, gdzie była utajona. Nadaremnie! Nie ukazała się. Była gdzieś w głębi tej Polski, schowana i zasłonięta, jak wszystko.

Młody oficer jechał teraz do stryjecznego dziada, generała w dymisji, mieszkającego na wsi. Przybywszy na wskazaną mu stacyjkę, kazał posługaczowi szukać koni z Opłakanego.

— *Łoszaki* czekają! — zaanonsował usługujący wyrostek. Przeprowadził też niezwłocznie poprzez mroczny dziedziniec stacyjny do czwórki koni w leje zaprzężonych. Oficer wskoczył na bryczkę, gdy ulokowano mu rzeczy, i rzucił lakoniczny rozkaz:

— *Trogaj!* (Ruszaj!)

Powozący młokos liberyjny obejrzał się na rozkazodawcę i po pewnej dopiero chwili zrozumiał, że należy jechać.

Był jeszcze mrok, ale już zlekka szarzało. Stała w powietrzu wilgotna mgła po ulewnym deszczu, który niedawno nacichł. W powietrzu była cisza i rozkosz niewymowna. Mała, prosta bryczka bez resorów, z siedzeniem na pasach, niosła, jak kołobka. Dawało się słyszeć ostre człapanie kopyt końskich po śliskich, rozmiękłych glinkach i kałużach. Wyjechawszy na szerszy gościniec, furman

śmignął kilkakroć batem i wprawił w kłus swą czwórkę. Rozłucki wychylił się, żeby popatrzeć, jakie też konie.

Nie były to cuganty, lecz dobrze sprzężona czwórka koni drożnych, silnych, roślących i ściągłych.

Wilgotny ranny chłodek przejął młodego oficera. Wypadło podnieść kołnierz nowej szyneli, zasunąć ręce w rękawy. Z prawej i lewej strony były ścierniska, działki owsa, kartofli i tatarki, dalekie rzędy chat, dwory utopione w gęstwinach drzew, kształty kościołów. Wszystko to wynurzało się z mroku, nieznane, senne, tajne. W pewnym miejscu bryczka pomknęła brzożową półaleją. Stare brzozy stały nad zjeżdżonym traktem, lamentując nad sprawami ludzkiemi, co przez tyle już lat ciągną się w błotach, piaskach i kolejach tej drogi... Dzień szarzał.

Rozłucki ocknął się z drzemania, objął oczyma ową smugę brzoż i upodobał sobie w tym widoku. Probował zawiązać rozmowę z młodym furmanem, zapytywał go o nazwy ukazujących się dworów i kolonii, ale woźnica nie umiał mówić po rosyjsku; pokazywał znakami, że nie pojmuje, albo wypowiadał wyrazy zgoła dla *barynia* niezrozumiałe. Urwała się tedy rozmowa i *baryń* musiał poprzestać na przysłuchiwaniu się świergotowi skowronków, który był dlań zrozumialszy od mowy polskiej.

Gdy się dzień wyłaniać począł, rozblękitniały w dali pasma lesistych wzgórz. Rozłucki spróbował raz jeszcze dowiedzieć się od woźnicy, co to

za lasy, i wydobył nareszcie z niego ich nazwę ogólną. Posłyszawszy tę nazwę, zawinął się z niechęcią w szynel i drzemał aż do Opłakanego. Przybył na miejsce rano, około siódmej. Wjechał na dziedziniec z długiej, starożytnej alei topolowej przez rozwaloną bramę. Konie stanęły przed ganikiem dworu, murowanego przed jakimi kilkudziesięcioma laty. Na spotkanie gościa wyszedł generał, starzec już zgrzybiały, lecz jeszcze wyprostowany, czupurny i srogi. Pomimo tak wczesnej pory był już wymyty, wyczesany i głośno stukający obcasami wysokich butów. Spodnie miał z szerokim czerwonym lampasem i półwojskową kurtkę. Witając przybysza bardzo serdecznie, ścisnął go wielokrotnie i przypatrywał mu się długo, osłaniając dłonią oczy od rannego blasku słońca. Nareszcie młody artylerzysta mógł rozmówić się z kimś przyjaźnie w zrozumiałej dlań mowie. To też nie skąpił sobie uwag i wynurzeń. Starzec słuchał go pobłaźliwie, choć nie wszystko — widać było — akceptował. Po kawie, którą wypili we dwu w jadalni pełnej much i zapachu poziomek, stary generał odprowadził krewniaka do pokoju na końcu dworu, gdzie czekało posłane wygodne łóżko, a nawet zostawiony przez troskliwą rękę *dieduszki* tom nowel Turgieniewa. Piotr rozebrał się co tchu i w mgnieniu oka zasnął. Obudził go po upływie paru godzin turkot pod oknami, gwar i zajadłe szczekanie psów. Okno pokoju było zastawione siatką, ale muchy dostawały się wewnątrz i gryzły ze zdwojoną zajadłością. Artylerzysta umył się, wyczesał,

ubrał starannie w swój kostyum i sprężyście zmierzzał przez szereg przyległych pokojów do największego, skąd słyhać było echo rozmowy. Otworzył drzwi i wszedł do sali. Dziadek wstał na jego powitanie i zaznajomił z rodziną. Piotr poznał swych stryjeczno - stryjecznych Rozłuckich, których było sporo w pokoju. Przybyli z tej racyi, że był to dzień niedzielny. Siedząc po różnych folwarkach i dzierzawach w okolicy, na niedzielę zjeżdżali do Opłakanego, gdzie był kościół i gdzie czynili za- dość sentymentom familijnym. Najstarszy z synów generała, podtatusiały kawaler, Hipolit, gospodarował w Opłakanem. Był to wysoki pan na czarno ufarbowany, z bokobrodami, jakie się widuje na dawniejszych litografiach — ponury i wogóle nie- przychylnie względem wszystkich usposobiony. Ten oziębło powitał Piotra zwyczajnym uściskiem ręki — i zaraz począł sprzeczać się po polsku z generałem o jakieś kwestye gospodarskie. Drugi z kolei syn generalski — starszy już także człowiek, Michał, przybył właśnie z Cierniów, folwarku, który dzierzawił. Miał ze sobą córkę, pannę przeciętnej urody, opaloną, zadzierzystą i szczerze wesołą, oraz syna studenta, siedzącego na wsi od dłuższego czasu wskutek jakichś w jego uniwersytecie zajść i za- burzeń.

Wszyscy przypatrywali się Piotrowi ciekawie, ale bez wielkiej sympatyi. Niektórzy nawet, jak student, wypalający wciąż istne dystrybucye pa- pierosów, i młoda Kamila — czyli Kama — patrzyli uparcie i wręcz zimno. Piotr był wesoły i tak na-

strojony, że gotów był wszystkie te nastroje wszystkich przebaczyć. Poprosił ich szczerze, żeby zechcieli mówić z nim po rosyjsku, gdyż on ani słowa po polsku nie rozumie. Mówił to przyjaźnie i otwarcie, z braterską prośbą o względność. Ale to zupełnie nie poskutkowało. Przeciwnie — nawet zaostrzyło wrogość spojrzeń. Kuzynka Kama zawiązała rozmowę, ale po francusku, a młody student zamknął się w sobie, wypuszczał z ust tylko nieprzyjazne kłęby dymu i nikotynizował się z podwójną zajadłością. Gospodarz Hipolit wyszedł z pokoju i słychać było wnet na gumnie jego donośny głos, dający służbie admonicze i rady w taki sposób, że trzeba było przerywać francuskie parlowanie. Mówili o rzeczach banalnych i obojętnych, a kiedy Piotr usiłował zbliżyć się do jakiegoś żywotnego tematu, kuzynka zbywała go ironicznym półśmiechem, albo obłudną odpowiedzią. Tylko stary generał otaczał młodego pieczę i grzecznościami. Wyjaśnił mu tedy w długim wywodzie, że sam jest plenipotentem szczerze obdarowanego kolegi, generała Siegela, który za udział w uśmierzeniu polskiego powstania otrzymał donację z kilkunastu folwarków. Jeden z nich, Oplakane, dzierżawi generał sam, inny folwark, Ciernie, dzierżawi jego syn młodszy, Michał. Naogół jednak rodzina żyje niezbyt dostatnio, na sposób polsko-szlachecki kołając się od dzierżawy do dzierżawy. Gdyby nie generalska emerytura i owo, dzięki dawnym stosunkom uzyskane pełnomocnictwo w sprawie wydzierżawiania folwarków donacyi — byt całej

familii nie byłby zabezpieczony. W tonie mowy generała przebijał się żal i ledwie poskramiany gniew. Starzec zuł go w drżących wargach i wstawionych szczękach. Wreszcie mruknął:

— Tak to, bracie. Polskie pochodzenie... Niemcy podostawiali donacye... Siedzą w Petersburgu. A ty — ot — kołacz się, jak szlachetka w tej dziurze. I to już kilkanaście lat. Tak to, bracie!

Machnął ręką. Kama i student Wiktor roześmieli się prawie głośno.

— A ty tam, śmieję się głośniej! — sarknął starzec w kierunku Wiktora. — Już mi o ciebie trzeci raz wytacza sprawę naczelnik straży ziemskiej. Głowę muszę sobie suszyć, jakim argumentem cię osłaniać. Śmieję się głośniej!

— Ja dziadka o opiekę nie prosiłem — mruknął tamten zuchwale i krótko. — Ma do mnie policyant interes — znajdzie drogę, niema strachu. Wie on dobrze, gdzie mnie szukać.

— Trafi sam... — dorzuciła Kama.

— Trafi... — syknął starzec. — Posiedzisz znowu rok...

— No to posiedzę.

— Posiedzisz drugi i trzeci, to cię wreszcie odczną pleść chłopom smalone duby.

— Nie dziadek teraz w sądach zasiada, to może tam uszanują mój *atlas* i *epistropheus*... — zcicha mruknął Wiktor.

— Milcz! — głucho jęknął starzec.

— Niezaczeptany zawsze milczę... — odburknął.

Piotr nie rozumiał tej rozmowy, ale odczuł jej

nastrój. Stał, oczywiście, po stronie dziada generała, gdyż powziął był odrazu dla niego sympatyę. Swoją drogą radby był wejść w rozmowę z tymi młodymi. Język go świerzbiał, żeby się z nimi zerwać w jakimś sporze zasadniczym, jak to bywało z kolegami, kiedy zamało było po temu dnia, nocy i następnej doby. Tymczasem turkot przed gankiem dał znać, że zajechał pojazd, mający zawieźć wszystkich do kościoła. Stary generał oddalił się do swego pokoju i wrócił wkrótce, przebrany w czarny strój cywilny bez żadnej zgoła oznaki wojskowej. Siadł do powozu z synem Michałem, cichym, ustępliwym człowiekiem. Na przednim siedzeniu umieściła się Kama i Piotr. Proponowano Wiktorowi, żeby się wdrapał na kozioł, ale on z najzupełniej studencką fanfaronadą oświadczył, że w żadnych kościołach nie bywa, że dla niego oto tu jest kościół... Co mówiąc, wskazał na niebo, lipy i zboża za bramą. Generał poczerwieniał ze złości, jak ćwikła, i począł mrużyć coś do siebie, mieszając polskie i rosyjskie wyrazy o twardych brzmieniach. Wiktor ukłonił się, skierował kroki swe w pole i znikł na zakręcie.

Do kościoła było ze dwie wiorsty wyboistej drogi. Świątynka stała na górcie, wśród lip i wiązów, w samym środku olbrzymiej wsi, która łańcuchem chat, stodół i ogrodów przepasywała szeroko rozsiadłe wzgórze. Ludzie szli na nabożeństwo — chłopci w brunatnych, ciężkich sukmanach do samej niemal ziemi, w ciężkich butach i nielżejszych kapeluszach, kobiety i dziewczęta w chu-

stkach i spodnicach tak barwnych, że aż oczy bolały. Całe ich kolorowe rojowisko z gwarem krążyło pod murowanemi furtami kościelnego cmentarza. Tamże stały bryczki, powozy i wolanty szlachty z sąsiedztwa. Pierre, który taki widok miał przed oczyma po raz pierwszy w życiu, nie mógł ich nim napaść. Ale też i on ścigał na siebie oczy wszystkich ludzi. Ponieważ prastary, ciasny kościółek zapchany był już tak szczelnie, że palca by tam nie wcisnął, więc całe oplakańskie towarzystwo zostało na cmentarzu pod lipami. Zresztą Piotr był prawosławny i wprost nie śmiał tłoczyć się do wnętrza, choć radby był zobaczyć, jak też to tam jest w samym środku u tych „sowraszczonnych w łatinstwo“.

Na dworze było bardzo pięknie. Kolosalne lipy, pijące od stuleci sok z prochu praszczurów tych, co się w ich cieniu teraz modlili, używały dalekiego i szczodrego cienia. Roje ptasząt świergotały w gęstwinie koron — z głębi kościoła brzmiał ton organów, a czasem samotny głos „kanonika“, wygłaszającego odwieczny tekst łaciński. W pewnej chwili wielki tłum ludu wysypał się z kościoła na cmentarz i wolno sunął ławą. Za zwartą gromadą wysokich, długosukmaniastych chłopów szły dziewczątka w bieli z wianuszkami ordynarnych nagietek we włosach, sypiąc kwiaty. Za nimi pod baldachimem proboszcz w złocistej kapie, podtrzymywany przez dwu conajgrubszych dziedziców z okolicy. Za baldachimem pchał się natłok „narodu“, śpiewając co pary w grzesznych cielskach.

Dzwonki gwałtownie bijące, potężny śpiew, zapach ziół — wszystko to odurzało Pierre'a. Stał zapa-
 trzony w widowisko. Kiedy proboszcz, tęgi, zaży-
 wny moszterdziej, dźwigający ciężką złotą mon-
 strancyę, mijał grupę oplakańską, rzucił okiem na
 umundurowanego oficera i długo mu się przypa-
 trywał z pilną uwagą. Podtrzymujący go obywa-
 tele — również, — chłopci, śpiewający z głębi du-
 szy i z głębi zdrowego ciała — również, — dzie-
 wczęta sypiące kwiaty — również. Piotr poczuł,
 że jest tutaj zupełnie niepotrzebny. Miał chęć wy-
 nieść się coprędzej. Było mu nieprzyjemnie, a na-
 wet przykro. Te widoki męczyły go i dusiły swą
 siłą. Kuzynka Kama szepnęła mu do ucha:

— Mundur twój, kuzynie, przypomina tutejszym
 ludziom rzeczy nieprzyjemne. On to czyni tak złe
 wrażenie...

Pierre doznał na pewien czas mdłej zresztą ulgi.

Po sumie towarzystwo wróciło do domu w Oplą-
 kanem, spożyło z apetytem obiad zgoła polski,
 wiejski, z półmisami kurcząt, salaterkami sałaty,
 z jarzynami i kompotami, po których serce mię-
 knie a myśl popada w optymizm. Po obiedzie spa-
 cerowano ociężale w starym i zapuszczonym ogro-
 dzie, bawiono się, jak kto umiał. Kuzynka Kama
 zagrała na fortepianie w dużym salonie i towarzy-
 stwo zgromadziło się na tę ucztę. Przybył nawet
 z czworaków, zaułków i okólników szorstki Wiktor.
 Stary generał wyraził życzenie, ażeby Kama za-
 śpiewała. Młoda panna wzbraniała się przez wzgląd
 na srogość krytyki petersburskiego kuzyna, — ale

wreszcie... Uderzyła w klawisze raz i drugi, przebiegła je. Przerwała i zwróciła się do towarzystwa z zaznaczeniem, że umie ledwo kilka pieśni, a te, które umie, mogą się nie podobać. Ojciec jej, pan Michał, machnął ręką na znak, że ten argument nie ma wartości. Kama zagrała powtórę tensam wstęp muzyczny. Zaśpiewała mocnym, pięknym, czystym, choć niewyrobionym głosem pieśń pewnego młodego muzyka do słów Juliusza Słowackiego:

„Anioły stoją na rodzinnych polach
I, chcąc powitać, lecą w nasze strony,
Ludzie schyleni w nędzy i w niedolach
Cierniowemi się kłaniają korony,
Idą i szyki witają podróźnie
I o miecz proszą, tak iak o jałmużnę“

Znowu przebrzmiał burzliwy akompaniament, głos z głębi piersi, spod kamienia, co przyciska żywe serce. Zabrzmiały słowa:

„Postój! o postój, hułanie czerwony,
Przez co to koń twój zapieniony skacze?
— To nic, to mojej matki grób shańbiony,
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.
Koń dobył iskiei na grobie z marmuru
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru“.

Stary generał siedział w fotelu i żuł wstawionemi szczękami jakowąś wewnętrzną sprawę, czy pasyę. Syn jego Michał wpatrywał się spod oka w córkę z wyrazem głębokiego wzruszenia. Wiktor

nucił zcicha melodyę, zachwycony i nią i słowami. Pierre nie rozumiał słów, ale melodia wniosła te słowa do jego uszu. Melodya była czarująca, jak zapach mokrej gałęzi bzu, z którym na całe nieraz życie zrośnie się jakieś wspomnienie...

Ten język wydał mu się po raz pierwszy dość melodyjnym w swej szorstkości. Niezrozumiałe słowa nabrały koloru i połysku. Gdy przebrzmiała pieśń, oficer poprosił o wytłomaczenie treści piosenki. Kama z uśmiechem poprawiła fałdy swej sukni — i rzekła:

— Kiedy te słowa właściwie nic nie znaczą. Jak to w pieśniach... To jest taka sobie polska śpiewanka, może o wielkiej biedzie-niedoli, a może o wielkiej chwale-wielkości. Ani w tem ładu, ani składu...

— Ale przecie... — prosił Piotr.

— Nie pojdziesz, kuzynku, — wmięszał się Wiktor, — bo to jest w samej rzeczy bez logicznego sensu, jak tutaj wszystko. Tak się to śpiewa, jakbyś lustro wszystkiego postawił sobie przed oczyma. Skoro się wpatrzysz, to może zobaczysz w tem lustrze wszystko, co ci potrzeba.

— Ty tam napewno widzisz wszystko, czego ci potrzeba, — zgrzytnął generał, który z Wikto-rem stałe toczył batalie.

— A ja tam w samej rzeczy widzę... — roześmiał się tamten, wyszczerzając zdrowe zęby.

Kama po namyśle zbliżyła się do Piotra, mówiąc:

— Czy nie chciałbyś, kuzynie, pojechać teraz

konno do nas, do Cierniów? Tam może ci zdołam wytłomaczyć, co ta piosenka znaczy.

— Jadę! Oczywiście.

— Ja z wami, — wmięszal się Wiktor. — Staruszek, jedziesz do domu? — skierował pytanie do ojca, „cichego“ pana Michała.

— Jadę. Każ zaprzęgać nasze szkapiny.

— Dziadek mi da kasztanek pod siodło? — poprosiła Kama kokieteryjnie starego generała. — Kuzynek Piotr odprowadzi ją z powrotem na uździenicy obok „Grzywacza“, na którym pojedzie teraz z nami.

— Już nie tylko kasztanek, ale i „Grzywacza“ zabierasz, Kama... — mruknął Hipolit.

— Jeszcze pewnie i *ten* konia nie ma, — dorzucił generał.

— *Ten* ma swą szkapę, — rzekł Wiktor, zapalając nowego papierosa. — *Ten* nigdy nie liczył i nie liczy na pstrego konia waszej wielkopańskiej łaski.

— Wiktor! — obruszył się pan Michał ze smutną surowością, — jesteś niedostatecznie grzeczny względem dziadka.

Syn wahał się przez chwilę, a później, patrząc ojcu prosto w oczy, z okrucieństwem i ironią, rzekł z cicha:

— *Stuszaju's!*

To słowo dziwnie wszystkich ubodło i wzburzyło. Nawet Kama rzuciła na brata gorzkie spojrzenie. Ale student miał wyraz twarzy nieubłagany. Oczy mu się skryły pod zsuniętymi brwiami i nie

ukazywały nawet swego złowrogięgo blasku. Hipolit wyszedł wielkimi krokami i za chwilę słyhać było jego krzyk na gumnie, obstalowujący wałacha pod „gapę“ i kasztankę pod to „utrapięone damskie siodło“.

Słyhać było nadto:

— A sprobuj mi, spuchnięty pysku, ciasno pozapinać popręgi, to ja ci zapnę tę gębę na obie strony, żebyś był przez dwa ruskie miesiące tłusty...

I tym podobne, nie nadające się do utrwalenia za pośrednictwem druku, lokucye z zakresu słownictwa folwarcznego w stronach tamecznych.

Wkrótce osiodłane i zaprężone konie stały pod gankiem.

Ojciec Michał usadowił się w małej bryczce bez resorów ze zwykłymi siedzeniami, Wiktor wdrapał na swego „fornala“, Kama dosiadła kasztanki, a Piotr owego „Grzywacza“, który od pierwszej chwili począł pod nim stękać, jak rataj przeciążony pracą. Wprost ze starej topolowej alei prowadził w pola trakt szeroki, zjeżdżony w różnych kierunkach. Tu i owdzie siedział nad tym szlakiem bajor, tudzież szarolotnej kurzawy — obłamany jarzab, albo pyłem przydęta kępa tarék. Daleko schylała się stara-prastara brzoza. Droga owa mijała folwark, należący do Opłakanego, który sam, indywidualnie, miał postać opłakaną i wszelkie tytuły do tejże nazwy, — później dźwigała się w górę, okrytą już rolami, ale jeszcze tam i sam zaciągniętą niewykarczowanemi chrósty i pniami po dawnym lesie.

Ze szczytu góry roztaczał się widok na rozległą, międzyleśną dolinę. Pośrodku błyszczała rzeka i szeroko rozlany staw. Kama pokazała Piotrowi ów staw, kępy nad nim drzew i oświadczyła, że to są Ciernie. Bryczka pana Michała pomknęła górską drożyną. Jeźdźcy popędzili za nią. Wkrótce znaleźli się na terytoryum Cierniów. Miejscowość ta miała charakter pod-górski. Jeszcze tam stały kopy suchego siana. Dwukolejowa drożyna, krążąc wśród iałowców, dobiegła nad staw i zanurzyła się poza jego groblę w urocze, ale karkołomne wąwoziki, „dołki“, wyrwy i dość zdradzieckie jeziorka. Jechało się tam wprost przez wodę, albo wprost przez błoto w pas. Wytłomaczono Piotrowi, że w tej lokomocyi, ściśle miejscowej, niema nic zgoła niebezpiecznego, albowiem odwaga zawsze człowieka od wszelakiego wypadku ratuje. Ptaki tam za to w olchach śpiewały piękniej, niż gdziekolwiek, pachniały tameczne zioła i kwiaty, szemrały liczne strumienie. Kiedy bryczka starszego pana za ostatnią rzeczką i czarnym, przyziemnym młynem pięła się pod górkę ku dworowi, Piotr spostrzegł tłum wielobarwny młodzieży wiejskiej, który obsiadł na wzgórku grobli figurę świątka pod wielkimi olchami. Oficer rozglądał się na prawo i na lewo po zbożach, krzewach i ludziach, gdy nagle spostrzegł, że owa gromada dzieci, wyrostków i młodzieży rozpierchła się, jak stado spłoszonych ptaków. Tu dziewczyna w wielobarwnej „szmatce“ na głowie, w białej koszuli i kolorowej spódnicy dopadła zboża i zginęła w niem, jak kuropatwa,—

tam chłopak, wszystek zgrzebny, biegł brózdą między owsami. Zza pniów drzew i z głębi krzaków wyglądały głowy dzikusów, z kęp łopianów za parkanami widać było słomiane kapelusze, albo płowe czupryny. Wiktor śmiał się do rozpuku, patrząc na to widowisko. W pewnej chwili stanął w strzemiönach swego podjezdka i począł wołać na wsze strony :

— Bywaj!

Poczem ruszył w górę ku dworowi. Kama wytłomaczyła Piotrowi, o co to chodzi. Pojechali w górę. Dworek w Cierniach mały był, bielony, nieforemny, złamany w sobie. Ściany jego śnieżnie widniały pod nawisłym, czarnym dachem. Dzikie wino obrastało ganek. W tyle dworu rosły cztery lipy prastare, z boku grusza olbrzymia rozpościerała nad dachem konary. Całe obejście było wygrozione płotem — pleciakiem z jodłowych splewin, co nadawało miejscu charakter porządku i czystości. Przed oknami i w tyle domu było mnóstwo kwiatów, nagietek, bratków, balsaminów, lewkonii... Wielkie krzaki klematisów na białych ścianach pięknie się odznaczały. Wygracowane ścieżki biegły w różnych kierunkach i prowadziły do furtek, w ogród na zboczu góry. W głębi ogrodu, na dole stał samotny, wielki modrzew.

— Kuzynie! — wołała Kama, — czy jesteś głodny?

— Nie! — odpowiedział, — jestem zachwycony.

— Jeżeli nie jesteś jeszcze bardzo głodny i jesteś

zachwycony, to spaceruj sobie tutaj, pomnażaj swój zachwyty, a my z Wiktorem załatwimy lekcję.

— Lekcję? Co za lekcję?

— Taką sobie lekcję, o której nie będziesz mówił nikomu, szczególnie w Opłakanem.

— Dla czego? Nie rozumiem.

— Możesz sobie nie rozumieć. To tutaj wolno. Idź do ogrodu, patrz na kwiaty, na modrzew, gawędź z naszym papusiem, a na inne rzeczy zamknij twoje oczy rosyjskie i rosyjskie uszy.

Odeszła. Piotr zapuścił się w ścieżki ogrodowe. Ale ogród był niewielki, mało interesujący, zwykły ogród folwarczny, — więc wypadło powrócić do domu. Tu czekał pan Michał i wprowadził pod dach. Mieszkanie było małe, złożone z paru izb zupełnie prostych, wapnem bielonych. Dziwiły pod tą niską powałą wykwintniejsze meble i sprzęty, które się tam znalazły. Bosa dziewczyna podała posiłek: dzieżę kwaśnego mleka, razowy chleb, żółte, świeże masło. Po tym spartańskim podwieczorku, który Piotr spożył w towarzystwie stryja Michała, obadwaj wyszli na groblę. Miejsce było nad wyraz piękne, — obraz cichości i spokoju. Stryj łamanym rosyjskim językiem rozpytywał o krewnych w Rosyi. Piotr szeroko opowiedział wszelkie szczegóły.

— Jak stryjowi wiadomo, — mówił, — Piotr w randze sztabs-kapitana umarł na Kaukazie. Był bezżenny. Po zmarłym w powstaniu polskim młodszym jego bracie, Janie, zostałem ja jeden, oraz młodsza od tamtych dwu braci ich siostra, a moja

ciotka, Natalia. Wyszła za mąż za bogatego obywatela Nietymkina. Mieszkają w penzeńskiej gubernii. Po śmierci mojego ojca, dar dla dziada za węgierską kampanię, majątek również w penzeńskiej gubernii, został cofnięty. Na szczęście ciotka po mężu, który już nie żyje, odziedziczyła duży majątek. Dzieci tam mnóstwo u Nietymkinów...

— Dzieci wychowane po rusku?

— No, oczywiście! To iście rosyjscy ludzie.

— Majątek, mówisz, duży?

— Majątek duży. Gospodaruje u ciotki Niemiec Ludwik...

— A bywałeś tam u nich?

— Jakże! Spędzałem każde wakacje przez cały czas pobytu w korpusie i w szkole artylerii.

— Cóż dzieci, dobre?

— Nie można powiedzieć. Jeden był ze mną w korpusie, tylko niżej, Borys, — Wiera Leontjewna w maryjskim instytucie, ładna dziewczyna.

— A ciotka? Jakież z nią twój stosunek?

— Ciotka była dla mnie dobra, choć to naogół sroga dama. Kiedy się zjawia w Petersburgu, nie tylko krewnych trzyma w łapie. Wszyscy muszą tak chodzić, jak ona każe. A czy stryjasek nie zna ciotki Natalii?

— Nie znam, — sucho odrzekł stryj Michał.

— Jakto? Zupełnie?

— Zupełnie.

Po chwili stryj Michał dorzucił:

— Widzisz, kochany kuzynie, my już należymy

do innych narodów, nie tylko do innych gałęzi rodzinnych.

Strzepnął palcami i zamilkł.

Od strony folwarku doleciało echo chóralnego śpiewu. Piotr nastawił uszy. Pan Michał machnął ręką i ciągnął swego gościa dalej, za staw, na suche łąki, popod zboża. Ale śpiew był tak rozgłośny, że Piotr przystanął. Nie znał tej melodi, nie słyszał jej nigdy. Z miejsca, gdzie się zatrzymali, widać było wpoprzek stawu i gumna rozwarte wrótne stodoły folwarcznej i skupiony wewnątrz tłum młodzieży.

— Co to oni tam robią? — spytał Piotr ciekawie, wskazując na ową stodołę.

— Tak, ot... Dobre obydwójce dzieci, uważasz... Uczą wiejską łobuzeryę, wykładają różne pożyteczne wiadomości. Szkół u nas niema, więc tak, ot...

— A dla czegóż szkół nie budują? — pytał Piotr.

— Dla tego, że nie wolno, — dobrotliwie, jak zawsze, wytłomaczył stryj Michał.

Oddalili się znacznie od zabudowań. Weszli suchymi ścieżkami na łąki, potem w zagaja brzozowe nad strumykami, wpoprzek łąk dążącymi ku rzece. Równe łąki były już pokoszone i ścięty potraw nowe już puszczał pióra. Stamtąd, zdaleka, widać było dworek w Cierniach nad stawem, jak się wszystek odbijał w gładkiej toni ze swemi wyniosłymi drzewami, które nad jego dachem chyliły się łagodnym kłębem koron. Stali obadwaj w milczeniu, w bezwzględnej ciszy tego obszaru. Piotr spoj-

rzeź na stryja Michała i poczuł doń głęboką sympatyę. Chciałby mu to był jakoś wyrazić, jakoś tego dowieść, ale wstydził się podobnego afektu. Więc się tylko nastawił chmurnie i patrzył w dal. Leniwie wracali ku domowi. Wieczór się zbliżał. Lekka mgła występowała nad staw i przyległe doń zarośla. Kama i Wiktor wyszli na spotkanie „kuzyna“.

— Stodołę mi kiedy spalisz tą twoją latarnią... — mruknął do syna stryj Michał.

— Wody tu Pan Jezus nie poskąpił, to się ogieniaszek zaleje w nagłym razie. Potem można będzie wziąć pełną asekuracyę — i „partya“!

— Tak, tobie zawsze w głowie frazesy.

— Jako że się na adwokata „obuczam“. A stodoła teraz pusta, jak frazes, — przednowek w niej widać nieuświadomionem okiem. Ani cebulki, ani w co wkrajać! Doskonale się w niej naukowe pewniki rozlegają. Już też papuś dobrodziej jesteś bogacz cwany — no!

— Kuzynko Kamo, — mówił Piotr, — muszę już jechać. Nie wytłomaczyłaś mi tej piosenki, coś ją śpiewała...

— A nie. I nie wytłomaczę.

— Tłomacz sobie sam... — mruknął Wiktor, skręcając w palcach grubego papierosa.

Piotr był trochę dotknięty tem, co mu ci obydwójce mówili. Trochę zresztą był zaniepokojony w sobie, jakiś jakby skompromitowany. Ci troje byli tacy spokojni, pewni każdego swego kroku na tym skrawku nieurodzaju, wyrw i dziur. I Piotr

był pewien siebie, ale tych ludzi jakoś przez skórę polubił. Pośpieszył do dworu, zażądał, żeby mu osiodłano „Grzywacza“, który z przebiegłym pośpiechem chrupał cudzą trawę. Przyprawiono również i kasztankę. Piotr wskoczył na siodło „Grzywacza“, a kasztankę poprowadził, jako luzaka. Jechał pod górę, popędzając konie. Na szczycie zatrzymał się i długo patrzył na tę okolicę. Wieczorem już przycwałował do Opłakanego. Wchodząc na ganek ogrodowy, zastał tam dziadka generała, starym obyczajem kurzącego fajkę na długim cybuchu. Światła nie było w tym ganku oszklonym, więc starca ledwo było widać. Wkrótce nastał mrok zupełny. Obadwaj siedzieli w milczeniu. Piotr widział tylko żar w fajce starego pana... Marzył o życiu, które tu zobaczył. W oczach miał korowód osób, gmatwaninę pospolitych zdarzeń, w której każdy szczegół wbił się w pamięć z nadzwyczajną wyrazistością. Miał zamiar wyjść do ogrodu i chodzić po alejach do późnej nocy. Przez uszanowanie dla dziadka nie ruszał się, czekając, aż staruszek sam się oddali. Fajka starego generała zgasła. Milczenie trwało. Piotr sądził, że może dziad zasnął w fotelu. Generał Rozłucki nie spał. Rzekł po rosyjsku:

— Piotruś, — a ty ojca pamiętasz?

— Nie... — odrzekł Piotr po namyśle. — Coś jak we mgle... Mam czasem w myśli jego oczy. Mgliste, niebieskie oczy.

— Niebieskie.

— A ty wiesz, jak to tam z nim było?

- Nie.
- Chcesz wiedzieć?
- Owszem.

Generał znowu umilkł. Zdawało się Piotrowi, że się rozmyślił i nic nie powie. W pewnej chwili starzec poruszył się w fotelu i począł wyraźnie, twardo, ze wszelkimi szczegółami opowiadać historię rozstrzelania Jana Rozłuckiego.

IV.

W kilka dni później Piotr wyruszył do miasta dla objęcia służby w baterii artyleryjskiej, do której był przeznaczony. Dziadek-generał wybrał się z nim w celu załatwienia swych spraw prywatnych, ale również z zamiarem przedstawienia krewniaka generałowi dowodzącemu, którego znał z lat dawniejszych. Kiedy wyjeżdżali z bocznych, opłakańskich dróg i docierali do szerokiego traktu, stary pan wydał furmanowi polecenie, żeby jechał nie drogą zwykłą, czyli gościńcem, lecz inaczej. Na rozstaju dróg kazał skrócić w lasy i przedrzeć się wprost przez góry. Woźnica w głowę zachodził, co to za droga tak niezwykła, i jawnie mruczał pod nosem o niepotrzebnem zamęczaniu koni, o niebezpieczeństwie grożącym resorom starego pojazdu. Generał kazał mu milczeć i jechać według rozkazu. Sługa spełnił ten rozkaz. Gdy po przebyciu góry wyjechali z głuchych lasów, ukazały się przestwory niezalesione i nieuprawne, pastwiska i mokradła napół zarosłe. Piaszczysta droga, poprzerastana korzeniami drzew, których już dawno nie było, przecinała to pustkowie. W pewnym miejscu starzec kazał stanąć. Wysiadł z powozu i Piotrowi

dał niemy znak, żeby poszedł za jego przykładem. Służącemu polecił jechać dalej noga za nogą i zatrzymać się dopiero w opłotkach wsi. Furman zdziwił się w sobie, ale wiedząc z doświadczenia, że ze starszym panem niema dyskusyi, pojechał noga za nogą, zatopiony w rozmyślaniu, czego też ci panowie w tych pastwiskach szukać mogą. Bo że czegoś zamierzali szukać — był pewny.

— Kto go wie, czy stary nie schował skarbów w tem miejscu... Skarby tu musiał zakopać w powstanie, teraz se miejsce przypomina, a ten młody będzie kopał — myślał człowieczyna, czatując na chwilę, kiedy można będzie obejrzyć się niepostrzeżenie.

Obejrzał się nareszcie ukradkiem na pierwszym zakręcie drogi, ale nic interesującego nie spostrzegł. Obadwaj jego panowie szli wolno drogą. Służący nabral przekonania, że, widać, gadają o czemś sekretnie, — i na tem poprzestał.

Tymczasem generał trafnie prowadził Piotra do miejsca. Po długich namysłach rozpoznał się w okolicy, odnalazł jej dawną postać i odtworzył ją sobie na nowo w oczach. Aczkolwiek stary las ścięto i wytrzebiono, figura miejsca została tasama. Oto droga, stara pewnie, jak świat, — oto jej zakręt, aż wreszcie i sam cel — krzyżowe rozstaje.

Przyszli na miejsce. Ze starej karczmy nie zostało nic. Widocznie pożar ją zniszczył, a komin i piecowiska ludzie okoliczni rozebrali i rozciągnęli po wsiach. Tylko olbrzymie kępy chwastów i czworokątny kształt wzmożonego porostu pokrzyw wska-

zywał na ślad dawnej budowli. Po drugiej stronie wygonu naprzeciwko starej karczmy rosła brzoza nachylona, wyniosła, zaiste płacząca. Długie jej różańce sięgały niemal do ziemi, odzimek u wydmy piasku czarny, zbrózdżony od szwów i rowów, biegł wyżej białym, potężnym i polotnym pniem i rozwidlał się w liczne i grube konary, rozpadał wysoko w gibkie gałęzie i wici. Na tej brzozie wisiał krzyż w dziwny sposób o nią zaczepiony. Jego podstawa, niegdyś w ziemię wkopana, ugniła zupełnie i spróchniała bardzo wysoko, że został z niej nad ziemią jeno kolec ku dołowi zwrócony i próchnem ciemnem sypiący. Z podpór, które jakaś ręka z dwu stron przybiła przed laty, ślad tylko został potrzaskany. Krzyż ów runął był dawno, lecz ręce ludzkie podniosły go, widać, z drogi i ramionami poprzecznicy zaczepiły o rozwidlające się z pnia dwa konary brzozowe. W taki sposób krzyż się w drzewo wtulił, z jego pniem i gałęziami zjednoczył. Wici go brzozowe okręciły. Na białym odziemku wisiał czarny, znieważony, ni to sama postać Chrystusa na drzewcu. Dolny jego kół, jak cios boleści, nastawił się przeciwko nagiej ziemi. Spękane próchno ostrym kształtem bezzałosnego gniewu zarysowywało się zdala, niby nogi jedna na drugą założone i wraz gwoździami przebite. Pod tym to krzyżem była wydma zapomniana, dzikiem zieleń porosła.

Stary Rozłucki, przyszedłszy do tego miejsca, rozejrzał się jeszcze raz. — Zdjął czapkę. — Piotr uczynił to samo. Przypatrywał się temu miejscu,

temu drzewu i tym tak przedziwnym zwłokom krzyża. Obadwaj mieli twarze zimne, głuche, surowe. Oczy ich widziały wszystko — każdy badył, każdą gałązkę, każdą okruszynę próchna. Piotr zwrócił się twarzą w stronę mogiły i, schylając się nisko, w milczeniu trzykroć złożył na piersiach trzy znaki krzyżowe swej prawosławnej wiary.

V.

Szefem pułku piechoty, oraz baterji artyleryjskiej w mieście był generał Polenow - Czernowratskij. Do niego nazajutrz po przyjeździe udał się generał Rozłucki wraz ze swym pupilem, pragnąc ostatniego osobiście przedstawić i polecić zwierzchnikowi. Generał Polenow, aczkolwiek znacznie młodszy, był ongi kolegą Rozłuckiego w jakimś gdzieś pułku. Później spotykali się również służbowo, gdy Polenow pełnił ważne funkcje w czasie polskiego powstania, „bez pobleżania“ uśmierzając i karząc. Po przybyciu do domu generała, głównej wojskowej figury w mieście, obadwaj krewniacy musieli po zameldowaniu się przez pewną chwilę czekać. Polenow lubił porządek nawet w świadczeniu grzeczności. Skoro jednak kazał prosić, przyjął gości swych kordyalnie. Sam był artylerzystą z wykształcenia, to też do młodego adepta armatniego rzemiosła, do adepta, o którym w nadesłanych dawniej papierach czytał nadzwyczajne pochwały i którego atestacye musiał wprost podziwiać, — zwrócił się nie z surową, mikołajewską manierą i gwałtownością pozorów, lecz raczej z zaciekawieniem i serdecznie. Starego emeryta Rozłuckiego

witał w sposób łaskawie dobrotliwy, głośnoserdyczny, jako poprostu dawny mundur bez znaczenia i wartości, rzadko z szafy wydobywany i trącający naftaliną. Generał Polenow był suchym, wysokim mężczyzną. Łysinę zamaskowywał wichrem z włosów, wyhodowanych pieczołowicie na lewym flanku czaszki. Nosił krótko przystrzyżone bokobrody na modłę późno-mikołajowską, które zbiegały do szczętu. Głowę, na przekór, zdaje się, jej dążeniom poufnym, trzymał zadartą do góry. Marsowo również nastraszal wąsy, oraz nastawiał oczy w sposób srogo - bestyalski. Robił Arakczejewa, jak mówili podwładni, świadomi rzeczy.

Obadwaj Rozłuccy zaproszeni zostali na obiad i aż do obiadu bawili w salonie.

Dom generała stał w obszernym ogrodzie, niemal już zamiejskim. Ogród otoczony był ze wszystkich stron wysokim ongi murem, rozsypanym już i podniszczonym. Na granicy tego ogrodu rosły olbrzymie lipy i niezmiernej wielkości nadwiślańskie topole. Wśród ich korzeni sączyła się podmiejska rzeczka. W samym środku ogrodu stał dom parterowy, pałacowaty, z mansardowym dachem, niegdyś wielkopańska rezydencja jednej z arystokratycznych rodzin polskich, a obecnie generalska „kwatery”. Z salonu prowadziły wielkie oszklone drzwi do alei, na której końcu stała nowa altana w czysto rosyjskim stylu, nie pasująca do tego domu, ani do niczego wogóle, jaskrawa i nadzwyczajnie brzydka.

Generał był wdowcem od lat wielu. Mieszkał

w tem mieście oddawna i zżył się z niem najzupełniej. Po załatwieniu oficjalnego przyjęcia przedstawiającego się młodzieńca gawędził w sposób przyjacielski, a nawet, możnaby powiedzieć, prowincjonalny i parafiański, o nowościach petersburskich i chętnem uchem łowił nowinki stołeczne, o których Piotr Rozłucki niedbale i sucho wspominał. Na jakie pół godziny przed podaniem obiadu, generał polecił staremu lokajowi poprosić do salonu Tatjanę Iwanownę. Wkrótce weszła do salonu córka generała, Tatjana.

Zaledwie ukazała się w sali, Piotr Rozłucki doznał szczególniejszego zduszenia w piersiach, jakby przerwania tchu. Tatjana Iwanowna była skończenie piękna. Po matce, gruzińskiej szlachciance, odziedziczyła rysy zlekka kaukaskie, kształt twarzy, formę oczu, zarys brwi i ust, połyskliwą nie tylko czarność, lecz głęboką kruczość włosów. Włosy te były długie, ledwo trzymały się na głowie rozsypującym się, poskręcany zwojem. Nadewszystko jednak uderzały w tej twarzy — oczy. Oczy te były aksamitnie czarne, o jasnej powłoce, która niekiedy aż w szafirowy przechodziła połysk. Tajne i niewysłowione, jak nokturn, uchylały się przed cudzem spojrzeniem, a same w sobie stanowiły wszechświat piękności. Barwa dolnej wargi prześlicznie wykrojonych ust, sama ta barwa, gdyby wszystką urodę twarzy pominąć, stanowiła jedyny na ziemi objaw, który oczarowywał od pierwszego spojrzenia i od pierwszego spojrzenia pograżał w nieokreślony smutek. Tatjana Iwanowna była wysmukła i wy-

soka, ale z tego typu pięknych i zdrowych dziewcząt, który rozwija się z czasem w rozrosłe i tęgie kobiety. Kiedy po przedstawieniu jej przez ojca nieznanym oficerów usiadła nie zażenowana, lecz raczej świadomie ich nie widząca, Piotr Rozłucki spostrzegł przypadkowo, wśród innych wrażeń, jej rękę na zielonej sukni i znowu doznał w sobie ściskającego piersi, ssącego wraz wszystkie trzewia uczucia zachwyty. Ręka ta była piękna, jak ziszczony prawzór, jak pierwszy prototyp dłoni tych posągów, które przed wiekami wykuwali ze śnieżnego marmuru greccy artyści. Niedawno, w Petersburgu, po ukończeniu swej szkoły, Piotr samotnie zwiedzał po raz pierwszy galerye Ermitażu. Zdarzyło mu się wówczas marzyć o szczęściu przy posągu greckiej tancerki, doskonałej kopii sławnego dzieła Watykanu z sali *delle maschere*. Oto teraz zobaczył żywą białą rękę z palcami alabastrowej przezroczystości, okrągłemi i zwięzającemi się ku różowym paznogciom — i powtóre doznał owego zamraczającego zdumienia, młodocianej niewiary w możliwość istnienia objawów takiej piękności. Tatjana Iwanowna była ubrana skromnie. Sama była nie to że nieśmiała, lecz jakoś sennie, marząco pogrążona w sobie. Wewnętrzne wesele, wyniosła i niepobłażliwa ironia, własny świat ufundowany na śmiechu — przezierał przez ową zewnętrzną mgłę, jak promień. Słońce, padając z wielkich drzwi szklanych, ozłociło jej policzki i przebiło zwój włosów nad czołem przeczystej białości. Piotr zapatrzył się w ów blask, zapomniał się w kontempla-

cyi. Oczy Tatjany przez promień słoneczny odnalezione zamigotały w owej chwili niemal brylantowym połyskiem, zaśniły ową turkusową przemianą swoją. Po chwili były to znowu oczy czarne, nieprzejrzane, ciemne. Ich barwa głęboka jednoczyła się, czy sprzeczała z białością policzków tak, jak czarodziejski ton muzyczny jednoczy się czy sprzecza z ciszą, która jest przed nim i po nim. Barwa policzków była, jak śnieg świeżo spadły. Były w niej wszystkie tajemnice kolorów, gdy słońce śnieg przenika: — nieposzlakowana białość, błękit ledwie poczęty z białości, i zachwycający róż odblasku wieczornej zorzy. Dookoła powiek błąkały się wątle cienie, padające od długich rzęs. Tam to w tych cieniach kryła się płochliwa wiedza młodzieńcza. Ukazywały się niepostrzeżenie sny duszy niewiedzącej, przeczuwającej, żadnej poznania — i znikwały płoszone, jak niebiańscy aniołowie, przez zewnętrzne brutalstwo, okrucieństwo i nizotę poziomą codzienności. Ale w tej pannie nie było nic z przybranego sentymentu, nic z nastrajania się na nutę znaną i modną, nic z jakiegokolwiek snobizmu. Była wciąż sobą. Obojętnie patrzyła, mówiła, śmiała się, zabawiała gości rozmową. W całym jej zachowaniu się była odrobina jakowejś pogardy, wyższości i grzecznością zamaskowanego znudzenia, wskutek tego, że dusza jej i jej piękność była tak nieskończenie odmienna od wszystkiego i tak gdzieindziej. Piotr czuł, że tu nie jest „za szybko“, jak wobec polek, które zdarzyło mu się spotkać, — mógł rozmawiać, porozumiewać się, zgadzać na

wiele pojęć, a przeciw niektórym protestować, lecz czuł zarazem, że to tylko zewnętrzne obcowanie i przymusowy objaw duchowego współżycia.

— Ona już jest zakochana — zdecydował.

Ten zaś sylogizm, wypadający z niewiadomych a niewątpliwych przesłanek, nappełnił go jakąś rozpaczliwą i ponurą pociechą. Zawarł się w sobie i postanowił nie uchylać drzwi duszy. Nie myślał zebrać o łaskawość, o znizanie się aż do jego poziomu! Miał mocne postanowienie śmiać się cynicznie. Tatjana Iwanowna zdawała się nic nie wiedzieć o tych jego nagłych a niespodziewanych przeżyciach, a nawet o jego fizycznej obecności, chociaż z nim grzecznie rozmawiała. Opowiadała o mieście, o stosunkach, zabawach, przykrościach pobytu w takim zakątku, — później o rodzinie gubernatorskiej, wice-gubernatorskiej, prezesowskiej, prokuratorowskiej, pułkownikowskiej...

Wszystko to było wesołe, okraszone dowcipem, nadzwyczaj miłe, lecz miało charakter informacyjny, przewodnikowy i stereotypowy, jak jakaś lekcya. Nudziło skrycie informatorkę już na samym początku i w samym założeniu. Piotr doskonale pojmował, że mówi się to i w taki sposób, bo jest to w danych warunkach najwłaściwszy rodzaj rozmowy, skoro już należy koniecznie bawić gościa w salonie. Wiedział, że gdyby wyszedł z pokoju, doznałaby znacznej ulgi, usiadła wygodnie z założonemi rękami i wróciła do swych własnych, do tych osobnych, do jej myśli. Odpoczęłaby po tym dyskursie, co się tak niby wesoło i gładko toczył,

ziewnęła z zadowoleniem... Znowu to zduszenie w piersiach...

Generał komendant zwrócił się do córki:

— Tatjano Iwanowna, a toż pokaż Piotrowi Iwanowiczowi ogród. Przecie to zupełny jeszcze cudzoziemiec.

— Pan życzy sobie zobaczyć ogród? — zapytała z ociężałą uprzejmością.

— Jeżeli można... — odpowiedział z tajnem ukontentowaniem, ukrytem w pozorach obojętności.

Tatjana otworzyła wielkie drzwi i wyszła na taras, ułożony z wielkich głazów granitowych. Po schodach zstąpili obydwójce do tego ogrodu. Aleja nie była długa. Wzrok uderzał się o mur i ową jaskrawą altanę. Idąc w cieniu drzew, Tatjana obróciła się w kierunku domu i wskazała nań ręką, ze słowami:

— Prawda, jaki dziwny dom...

W istocie — dom był dosyć niezwykły, budowla z końca XVIII wieku, pokryta starą, zczerniałą, różową niegdyś dachówką w karby. Ponad parterem o wielkich szybach okien wznosiło się od strony ogrodu piętro z okienkami czteroszybowemi. Taras był imponujący, a całość miała wdzięk rzeczy z lat dawnych.

— Czy pan jest polak? — zapytała od niechcienia a niespodzianie Tatjana Iwanowna.

— Pochodzę „z polaków“ — rzekł zwolna Rozłucki — lecz jestem prawosławny i „ruski“.

— Tak... — zgodziła się. — Będzie pan miał

tutaj nieprzyjemne życie. Bo tu pełno jest tych polaków. Ja, przyznam się panu, bardzo ich nie lubię.

— Dokuczili pani?

— Mnie nie dokuczili, lecz to plemię szczególne. Nas, rosyjan, nienawidzą, a boją się. To też wielu płaszczy się. Znałam tak podłych... Inni, nie mogąc się mścić, ze strachu patrzą tylko wciąż złemi oczami. Śmieją się z każdego naszego nieszczęścia, z każdego kroku. Och, nie cierpię!

Gdy to mówiła, rozchmurzyło się jej oblicze i z mgły rzęs wyszły oczy. Powiedziała tych kilka słów szczerze, ale wnet wycofała się z tej szczerości. Doszli do drzwi altany i Piotr Rozłucki wstał do środka. Był tam stół okrągły, drewniane ławki, okryte poduszkami z czerwonego aksamitu. Na stole leżała jakaś książka. Oficer dotknął jej ręką, lecz poczuł nagle jakiś nieopisany lęk... To miejsce było szczególnie niemiłe, złe, odtrącające. Piotr wszedł niepostrzeżenie w stan rozzuchwalenia właściwego jego naturze, jak wówczas, gdy „kusił” księcia. Zwrócił się wprost do Tatjany Iwanowny i rzekł:

— Nieprawdaż? — pani kochała się nieszczęśliwie w jakimś pięknym polaku...

Wysłuchiwała tego zdania z obojętnością. Później uśmiechnęła się...

— W polaku... Nie. Zachowaj Boże!

— A są i piękni. Widziałem, jadąc przez Warszawę.

— Nie rozumiem, jak można rozmawiać o rzeczach przyjemnych i subtelnym ich szeleszczącym

językiem. Coś tylko wciąż świszcze, albo zgrzyta i szczęka w tej mowie.

— Nie zawsze. Słyszałem jedną poezję, w której były bardzo piękne dźwięki.

— Pan to wszystko rozumie?

— Nie, prawie ani jednego wyrazu.

— Tu się pan pewnie prędko nauczy, bo tu nie tylko mężczyźni są piękni, lecz i „panny“. Widziałam piękne na balach tutejszych. Pamiętam jedną ze wsi, szatynkę, młodziutką. Poprosiłam ją na chwilę o wachlarz, gdyż swój zarzuciłam w tańcu. Spojrzała na mnie tak dzikimi oczami, jakbym była jej wrogiem od urodzenia, a przecież nie widzieliśmy się przedtem nigdy.

— Pani także ich nienawidzi. To niedobrze.

— Czemuż to „nie dobrze“? Oni umieją nienawidzić, to i ja. Ile razy idę przez tutejszy park miejski, ile razy jadę powozem, czuję ze wszech stron złe spojrzenia, czytam we wszystkich oczach odrazę. Gdziekolwiek spojrzeć, w którąkolwiek stronę, zawsze się spotka jakieś paskudnie patrzące oczy. Tworzy to jakby chmurę nienawiści...

— Czyżby oni mogli nienawidzić pani? — zapytał Piotr z namysłem, niemal bezwiednie i nie jej, lecz raczej siebie.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się bardzo powabnie, zupełnie inaczej, kusząco w sposób szatański, zalotnie i prawie beczelnie. Rzekła cicho:

— A jednak, widzi pan, — nienawidzą.

— Gdy tu pomieszkam, to zobaczę, czy istotnie ci ludzie mają względem pani tak złe uczucia. Może

to tylko niesprawiedliwe uprzedzenie. A czy pani, naogół biorąc, jest sprawiedliwa?

— O, nie.

— Niesprawiedliwa?

— Tak.

— Zawsze?

— Zawsze.

— I to już taka zasada i metoda?

— A tak. Sędzia pokoju, czy okręgowy niech sobie będzie sprawiedliwy, bo mu za to płacą pensyę, dają gratyfikacye, dodatki różne, na mieszkanie, na kształcenie dzieci. A ja z jakiej racyi mam być sprawiedliwa? (Ja jestem osobno. Żyję po swojemu i myślę tak, jak mnie samej wypada.

— A jakże to po swojemu?

— A to jest właśnie sekret, którego się nie mówi.

— I to już taka zasada i metoda?

— Już trzeba iść na obiad... — rzekła wymijająco i zawróciła ku domowi.

— Piotr rozejrzał się po tym ogrodzie, rozejrzał się ciekawie i pilnie, pilnie...

VI.

Piotr Rozłucki otrzymał na „kwaterę“ mieszkanie w pewnym domu, już przedmiejskim, sąsiadującym z koszarami baterii artyleryjskiej i polem jej ćwiczeń. Dom ów należał do kategorii budynków, jakie widzieć można jedynie w miastach gubernialnych, daleko od linii kolejowych położonych. Front jego od podmiejskiej uliczki miał postać dworku dawnej formacji. Był to niby rodzimy dworek murowany, wilgotny, z tynkiem obłupanym, przegniłym ganeczkiem i szeroko rozsiadłym dachem ze zczerniałych gontów; — od strony podwórza wyglądał natomiast, jak zalotna piętrowa kamieniczka, zdobiąca rynek gdzieś w powiatowej Stopnicy, lub Pińczowie. Na piętrze, a właściwie na pięterku, mieściła się właśnie „kwatery“ młodego podporucznika. Do „kwatery“ wchodziło się po schodach przystawionych do ściany, zzewnątrz obitych spróchniałymi deskami i osłoniętych specjalnym daszkiem. Całe to wejście z pewnej odległości podobne było do potwornej zielonkawej liszki, pełzającej po chropawej ścianie z błotnistej podwórka na dach strupieszwały. Za to sam lokal ogromnie przypadł do smaku nowemu jego posia-

daczowi. Składał się z dwu pokoików, — ściśle mówiąc z dwu izdebek, wymalowanych w guście tamtejszym. Do środka wchodziło się przez miernie wąską sionkę, która sąsiadowała z dziedziną szczególnie obszernych strychów. Lokal zaopatrzony był w spiżarnię i różne składziki, zbite z desek, niezbyt szczelnie przystających jedna do drugiej. Okna wychodziły na wielki dziedziniec artyleryjski, na szopy, w których mieściły się armaty, na stajnie, gdzie rżały konie baterii i na murowane potworności z zielonemi dachami, gdzie spali żołnierze. Piotr urządził sobie mieszkanie w sposób stary. Nie chcąc nikogo mieć obok siebie i cieszyć się zupełną samotnością, której zażywał po raz pierwszy w życiu, kazał „dieńszczykowi“ nocować w koszarach i jedynie w oznaczonych godzinach zjawiać się dla załatwiania porządków.

Cały dół tej kamienicy zajmował niejaki pan Kozdrój, utrzymujący stancję uczniowską, — jakiś renomowany nauczyciel, pedagog i wychowawca, do którego oddawano najbardziej zaawansowanych w karcmarstwie i niewzruszonych w próżniactwie elewów gimnazjalnych dla poprawy i wyćwiczenia się w obowiązkach. Rozłucki nie zwracał początkowo żadnej uwagi na sąsiadów z dołu. Zajęty swem mieszkaniem, swą posadą i pracami, nie wiedział o ich istnieniu, choć na nich patrzył. Z czasem jednak musiał z konieczności zwrócić uwagę. Pupile Kozdroja byli wszędzie: — wrzeszczeli na podwórzu, gromadzili się i łazili po brudnych dylach, poza okropnemi kloakami żołnierskimi,

gdzie było ich ulubione miejsce zebrań, — załatwiali tam w skrytości jakieś czynności papierosiarskie, grali w tajemnicze hazardy, — darli się tam nieludzkimi głosami, dokuczali wszystkim, kto tylko miał nieszczęście bytować w tej dzielnicy, — niszczyli wszystko, co się tylko nawinęło pod rękę, — wyśmiewali potwornemi swemi drwinami wszystko, co istniało, — znęcali się nad słabszymi pomiędzy sobą, — bili się wciąż, wykonywali bezlitosne samosądy, mafie i akty najdzikszej niesprawiedliwości, — słowem zatruwali, jak żółta febra, życie tego cuchnącego zacisza. Chcąc niechcąc, podporucznik zauważył, że starsi wychowańcy p. Kozdroja mają tajne konszachty z artylerzystami spoza spróchniałego parkanu, że nabywają od żołdatów razowy żołnierski chleb, tytoń — machorkę i wódkę — siwuchę. Pewien szeregowiec dostarczał codziennie pod parkan obstalowane produkty. Kładł w umówionem miejscu paczuszki tytoniu, umieszczał flaszki z wódką, owinięte w stare gazety. Niepostrzeżenie któryś z uczniów ściągał później tę kontrabandę przez proste wsunięcie ręki w szczelinę parkanu z pozostawieniem na miejscu waluty, owiniętej również w strzępek druku. Wracając częstokroć późno w nocy, Piotr spostrzegł, że kiedy na lewej stronie, w mieszkaniu wybitnego pedagoga było już ciemno i przykładnie cicho, to na prawej, w lokalu umoralnianych palił się jeszcze ogarek świecy, wprawiony w szyję butelki, i młodzieńcy zcicha i ostrożnie, lecz w miarę sił i środków jaknajhazardowniej zgrywali się w „stukułkę“. Poza dal-

szym parkanem, oddzielającym teren wojskowo-artyleryjski od cywilnego przedmieścia, istniał pewien, zgoła odosobniony dziedzińczyk i długa w nim chałupa, — ohydna z wierzchu i nie powabna z żadnej strony, — a w niej mieściła się pewna instytucja miejska, której byt finansowy oparty był na skutkach, wynikających z bezżenności żołnierzy, a poniekąd i na sile młodocianych afektów duchowej czeladki pana Kozdroja. Czerwona firanka, wisząca w oknie powołanej instytucji, ożywiała monotonię nawozów i śmietników, odrapanych murów i zgniłych parkanów w tej dzielnicy miasta. Wszystko to niezmiernie Rozłuckiego bawiło. Zaczął podpatrywać to bujne życie młodzieży gimnazjalnej. Niektórzy z dryblasów pana Kozdroja byli już w wieku „popisowym“, a co było najzabawniejsze, że obok takich wyrostków pod wąsem podlegali umoralnieniu i naprawie obyczajów chłopcy nieletni. Wszyscy ci pensjonarze bez różnicy wieku toczyli zażarty, nieprzebierający w środkach, nieustający nigdy bój z pedagogiem Kozdrojem. Ponieważ trzymano ich na tej stancyi niemal pod kluczem, pozwalano wychodzić jedynie na podwórze „za potrzebą“, nie wypuszczając owo zgoła za bramę domu, na miasto, — który to środek stanowił jedną z podwalin umiejętnie obmyślanej i celowo stosowanej pedagogiki, — a traktowano, jak więźniów, więc i ów bój miał charakter więzienny, grubijański i ponury. Strawę dawano niesobliwą. Pewnego popołudnia Piotr spostrzegł przybity bretnalem w bramie domu na ścianie ze-

wewnętrznej jakiś przedmiot szczególny. Zaintereso-
wany, poprosił o wyjaśnienie jednego ze swych
młodocianych sąsiadów. Objasniono go w języku
rosyjskim, że przedmiot przybity jest to potrawa,
zwana „prazuchą“. Dodano, iż potrawa ta źle jest
przyrządzona, nie smakuje nikomu, a zbyt często
jest podawana, ażeby jej w taki sposób nie zadem-
onstrować szerszemu kołu przechodniów i oby-
wateli miasta. Tysiączne dowody mściwości mło-
dzieniaszków uderzały Piotra na każdym kroku.
Niektórzy z nich pochodzili, widocznie, z rodzin
zamożniejszych, ze sfery ziemiańskiej, więc stawiali
się wychowawcy hardo, a ten traktował ich, jak
zbrodniarzy. Wywiązywały się awantury na całe
podwórza, a nawet na całą połąć przedmieścia.
Piotr począł odróżniać jednych kozdrojowców od
innych, jakoś związał się sympatyą z jednymi
a antypatyą z innymi, choć żadnego z nich nie
znał osobiście. Patrzył niemal na wszystko, co wy-
prawiali, i bawił się wybornie, niepostrzeżony wcale,
obserwując ich życie. Codziennie, nieraz w różnych
godzinach, oprócz samego p. Kozdroja, zwiedzali
ten zakład specyjalni rewidenci gimnazyalni, po-
mocnicy gospodarzy poszczególnych klas. Rewizye
były bezskuteczne, gdyż dowody winy niweczyła
ostrożność młodzieńców, znaki ostrzegawcze, ta-
jemnicze świńnięcia, sygnały alarmujące i hieroglify
kredą pisane na słupach.

Własne swe życie Piotr urządził sobie w spo-
sób wygodniejszy wprawdzie od kozdrojowskiego,
czem się nadzwyczajnie cieszył i świadomie napa-

wał, — ale dosyć jednostajny. Rano szedł na musztrę, do czynności zawodowych w koszarach i przy baterji, — później na obiad, — później drzemał. Po drzemce wychodził na miasto, do cukierni, — spacerował... Żył w gronie kolegów, pędzących tu już od dłuższego czasu ustalone w swych formach życie oficerskie. Co kilka dni wypadła u któregoś ze starszych kolegów zabawa, tak zwana „popojka“, czyli wielkie picie wódki w różnych jej postaciach, — poczem śpiewy, różne zabawy, — a wreszcie nieprzystojne z osobami innej płci obcowanie. Naza jutrz znowu następowała musztra, obiad, drzemka, spacer, wieczór w domu, albo u któregoś z kolegów, „popojka“. Kiedyniekiedy przerywała ten normalny tryb życia jakaś wydatniejsza co do ilości i jakości alkoholu eskapada w restauracyi, w liczniejszym gronie osób innej płci, zabawa z orkestryonem, tłuczeniem próżnych butelek, których szeregi szczywany restaurator ustawiał na ekranie, jako okazy likierów i win najdosłojniejszych swego zakładu. Czasami znowu wypadła urzędowa wizyta, imieniny, dzień recepcyi u kogoś z wielkich figur miasta. Do najpożądańszych należała zawsze wizyta u generała. Oficerowie kochali się skrycie w Tatjanie Iwanownie całemi plutonami, lecz, dziwna rzecz, nie lubili o niej rozmawiać. Twierdzili, że patrzy zawsze w przestrzeń, albo w okno. Piotr również nie lubił jej za dziwny sposób zachowania się, lecz tęsknił za dziwactwami Tatjany Iwanowny. Tłomaczył sobie, że tęskni tak z nudy życia w tej monotonnej, cichej gubernialnej mieścinie. Nic w tym

grodzie nie było interesującego. Wiedziało się, że nazajutrz będzie najzupełniej to samo, co było dziś, co wczoraj, co w zeszłym tygodniu. Nadewszystko nużyła nieznajomość i obcość tamecznego życia, oraz nieznajomość miejscowego języka. Piotr szybko przyswajał sobie mowę polską, choć jej się wcale nie uczył. Studyowanie specjalne tego języka uważałby za czynność poprostu nieprzyzwoitą, banalną, nieuchodzącą w dobrem i dobranem towarzystwie zwierchników i kolegów. Lecz język ów wciskał się do świadomości i przylegał do pamięci wszystkimi szczelinami, porami, czepiał się myśli i osaczał ze wszystkich stron. Chcąc czy nie chcąc, z nudy życia wchłaniało go się, jak zapach roślin, przyswajało sobie, nie wiedząc o tem. Narzucała się ta mowa zewsząd — z szyldów, z rozmów przechodniów na ulicy, z okrzyków nocnych, biła z pracy, jak opar potu, pełna groźnego, niepojętego uroku, dumy i wzniosłości wpływała odgłosem nieznaney pieśni z tajemniczych naw gotyckiego kościoła, tryskała, jak woda zdrojowa, z gwaru i ulicznej zabawy łobuzów szkolnych, — jak dziwnie wesoły symbol zjawisk nieznanych ukazywała się i przywierała do słuchu nazawsze — z ust sprzedajnej dziewczyny. Zwolna, niepostrzeżenie Rozłucki wdrażał się w język polski i spoufalił z nim w sposób szczególny. Poczęły go wkrótce gniewać wyrazy, których nie rozumiał, niepokoić słowa stare, jak plemię polskie, tajemnicze, jak przeszłość, i bolesne, jak los. Złościły go rozmowy, których w cukierni nie rozumiał. Nadewszystko nękały krótkie,

urwane półsłówka, metafory, lotne przenośnie, piękne, jak motyle, określenia, sfruwające w wesołej rozmowie, albo niepostrzeżone i chybkie, jak spojrzenie, ucinki i przymówki, padające z ust kobiecych. Jeżeli jednak od kogo nauczył się najwięcej, to właśnie od kozdrojowców. Tu każda przenośnia była naocznie demonstrowana przez odpowiedni przykład z życia, — każdy najbardziej zagmatwany dowcip tłumaczyła dokładna znajomość tła, z którego wypływał. To też Piotr miał na swem podwórzu jakby nieustającą lekcję tego języka, zepchniętego na podwórza i śmietniki. Podobnie jak podpatrywał ze swego okna życie i czyny elewów p. Kozdroja, — dla rozrywki, — taksamo, ażeby dokładnie rozumieć cały sens tej rozrywki, wiedzieć o co chodzi, — podsłuchiwał język, przyswajał go sobie i zagłębiał się coraz bardziej w jego tajniki.

VII.

W końcu listopada skorzystał z pięknej jesiennej pogody i wyruszył konno, w towarzystwie słującego, w odwiedzinę do dziadka. Zabawił tam dzień jeden, a następnego wpadł do Cierniów, do stryja Michała, którego bardzo, już za pierwszej bytności, polubił. Stryj Michał był na swym folwarku sam jeden, gdyż dzieci pracowały — jak mówił — na świecie. Kama była nauczycielką na jakiejś pensyi w Warszawie, a student siedział na kondycyi w Suwalszczyźnie. Rodzaj życia stryjaszka Michała w samotności nie odbiegał w tej porze od poziomu żywota chłopów. Izdebki dworu wydały się Piotrowi nad miarę niskie i małe, pożywienie nadzwyczaj proste, usługa najpierwotniejsza. Zaskoczony wizytą, stryjaszek nie bardzo czem miał poczęstować strojnego oficera. Skazano tedy gorącym prawem na pieczyście sędziwego koguta i Piotr musiał wypróbować mocy jego konsystencyi w rosole, potrawce i na półmisku. Po tej uczcie, którą we dwu spożyli, stryj zaproponował gościowi małą wycieczkę w pole. Ponieważ przechowywał dubeltówczyńę Wiktora, więc ją sam naoliwił, oczyścił, nabił i wręczył Piotrowi. Sam ze swoją, dość

starożytną kapiszonówką na ramieniu poprowadził w pole. Dwa ogary biegły przodem, radośnie skomląc. Obadwaj myśliwi wyszli przez groblę za staw, na wzgórze okryte jałowcem, stamtąd po moście z okrągłaków przeprawili się za rzekę na sąsiednie wyniosłe płaszczyny, porośłe również jałowcem, brzożami i sośniną. Wygon zadarniowany żółtkłą trawą wiódł ich między kępami zarośli w głąb gajów. Psy trafiły na trop zajęczy i, melodyjnie poszczekując, pognały w sąsiedni las głęboki, senny, wielobarwny od jesiennego słońca. Dzień był suchy i łagodnie ciepły. Przygrzewało, ale pomimo to chłodek przenikał czyste powietrze. Nieruchome krzewy jałowcu pachniały, czerwony liść sypał się z brzoż, a ostatni lekko kołysał się od niepostrzeżonego powiewu. Niezbyt udawało się to zaimprovizowane polowanie. Myśliwi znaleźli wykrot starej jodły, uschły przed wieloma laty, i usiedli na nim dla wypalenia papierosów. Stryjaszek Michał kręcił swego w palcach z grubego dosyć tytoniu, zawijał go w bibułkę, wydartą z ordynarnej księżeczki. Odziany w krótką kurtę z szarego sukna, grubą i podszarzaną, w sukienną czapkę i grube buty, pasował do tego otoczenia, do spłowiałych ściernisk i do drzew o zwiędłym liściu. Twarz jego była piękna, pogodna i jasna, o rysach regularnych, iście polskich, koścista i ściągła. Siwe, przejrzyste oczy, wypełzłe już, były wesołe i spokojne, a cera twarzy czerstwa i zdrowa, jak ów słoneczny dzień jesieni. Piotr sprawdzał w sobie niejako sympatyę dla stryja i znajdował spotęgowany

jej stopień. Pragnąc mu sprawić przyjemność, nachylił się niepostrzeżenie i zaczął mówić po polsku. Przemawiał na głos w tym języku, jak mu się zdawało, po raz pierwszy w swem życiu. Po raz pierwszy wyraził głośno myśli, które już nieraz pocichu, niejako w sekrecie, dla siebie tylko, ubierał w słowa polskie. Był to eksperyment dla niego samego tak niezwykły, że się cały oblał rumieńcem jakiegoś szczególniejszego wstydu. Oczy stryja Michała poweselały w dwójnasób, gdy usłyszał zdania nieźle wypowiedziane przez Piotra. Nic nie rzekł, tylko się poważnie zaciągnął dymem swego papierosa.

— Kaleczę język i nic więcej... — mruknął Piotr, zmieszany i zły na siebie, że to zrobił.

— Niechaj-no... — z najłagodniejszym pobłażaniem rzekł Michał.

— Trudny język.

— Może on i trudny — kto go wie? Jak nim mówić, to łatwy. Ani się spostrzeżesz, gdy będziesz mówił taksamo jak i my.

Piotr zamierzał stwierdzić, że to jest jeden z języków obcych, którego się chce nauczyć, skoro tu mieszka, — ale z obawy, że to stryjowi może sprawić przykrość, zmilczał. Nasepił się tylko, jak jastrząb. Niezgrabnie, dla zamaskowania rozterki, ćmił papierosa i nasłuchiwał, czy ogary nie grają. Była cisza zupełna. Małeńka ptaszyna jesienna, buroczerwona, pręgowata zięba, poświstywała beztrwożnie, samotna, leśną piosneczkę swoją na gałęzi osiczyny. Piotr poczuł w sobie przekorność, która była ce-

chę jego natury, — żądzę ryzyka, pasję, żeby wszystko postawić na ostrzu noża. Popchnęła go do tego niejasność położenia, która się wytworzyła między nim i stryjem po tem polskim przemówieniu. Przez chwilę namyślał się głęboko, ciągnąc usilnie dym z papierosa, ważył to, co ma powiedzieć. Odezwał się dobitnie po rosyjsku :

— Chciałbym stryjaszka zapytać szczerze i z serca o jedną rzecz...

— Prawdę ci powiem... — rzekł zagadnięty.

— Do czegoż może prowadzić to rozdwojenie, ten upór, ta cała cierniańska polskość? Nie rozumiem tego zupełnie. Jestem tu obcy i nie mogę się ani rusz zorientować. Przecie dziadek, to człowiek ruski z wychowania, ducha, i czynów całego życia. A wy — któż wy jesteście, co wy jesteście?

— My jesteśmy polacy, — rzekł stryj.

— Po cóż wam to rozdwojenie? Do czego może prowadzić zatwardziały upór, żeby być czemś, czem się być nie może? To chyba jakieś spory rodzinne i działanie na przekór, jak to w familiach...

— Czemże się to być nie może — powiadasz?

— Przecież byłoby wam wszystkim lepiej, serdeczniej, prościej, gdybyście byli jedną zgodną rodziną, gdybyście odrzucili dziwny polski upór. Polski niema.

— Tak to niby. Polski na mapie niema. Jużci tak. Masz rację... — rzekł rozważnie stryj Michał. Po chwili podniósł głowę i dobrotliwe, mądre, przejrzyste oczy skierował na Piotra.

— Chciałeś, — rzekł, — żebym ci mówił szczerą prawdę. Dobrze. Otóż — to nie są zatargi rodzinne.

My tu w Cierniach jesteśmy sobie polacy, choć Polski niema. Bo widzisz, bracie, Polski tu niby niema, ale i Rosyi nigdy tu nie było i nie będzie.

— Rosya tu jest! I zostanie! Rosya jest niezmierną potęgą, o tem ja wiem najlepiej z doświadczenia i studyów. To, co było Polską niegdyś, dziś jest znikome ilością i bezwzględną słabizną.

— I to prawda. Może nawet być, że to, co było Polską niegdyś, już nigdy tą dawną nie będzie. Każde złudzenie co do tego siła niszczy tak do szczętu, że się trudno łudzić. Ale powtarzam swoje: tu, gdzie teraz jesteś, Rosyi wcale niema. I wierz mi, — nigdy, przenigdy, do końca świata jej tu nie będzie.

— Jakto? — Niema władz, wojsk, niema administracyi, niema urzędzeń społecznych, zaprowadzonych i wdrożonych w ciągu dziesiątków lat, całego porządku i trybu życia, który stał się prawem niepisanem dla całych pokoleń tego ludu?

— Owszem, to wszystko jest, ale jak ta oto kapota, którą mam na sobie. Noszę ją z musu, bom w biedzie, a nawet do niej w ciągu szarego porządku dni — przywykłem. Cóż byś powiedział, gdyby kto przy tobie utrzymywał, że ta kapota to jestem ja sam, człowiek żyjący? Jak to odzienie mogę zrzucić z ramion...

— Stryjaszku, to są przenośnie, podobieństwa, które mogą być efektowne, ale nie oddają istoty rzeczy. Rosya w Polsce — to nie kapota na ramieniu żywego człowieka!

— Mieszkam tu nie od dziś. Urodziłem się i wychowałem w domu na poły rosyjskim. Patrzałem na tyle spraw, które tobie ani przez myśl nie przeszły... Nie jestem łatwowiernym, jak Kama, ani entuzystą jak Wiktor. Uważasz — ci, co tu są na tej ziemi i co zostaną tutaj na wieki, bo ich nic stąd nie usunie, — chybaby trzęsienie ziemi, albo kataklizm geologiczny, — chłopci, — są tacy sami, jak za polskich królów, o których nikt już nie wie i nie słyszał.

— Królów! Och, — wy, — polacy! Zawsze cisami!

— Nie śmiej się z istoty rzeczy. To, co mówię, nie jest ani brawurą, ani frazesem, lecz szczerą prawdą. Siła nieistniejących polskich królów jest taka sama, jak była przed wiekami. Leży niezmierna i niezniszczalna w masie polskiego chłopstwa.

— Gdyby nawet tak było, to i cóż z takiej martwej, biernej siły? Należałoby raczej poddać tę masę działaniu kultury. I ja sądzę, że gdy rząd pocznie energicznie szerzyć tutaj kulturę rosyjską za pomocą szkół, stowarzyszeń, instytucji, odczytów, zgromadzeń...

— Rząd tu nigdy żadnej kultury szerzyć nie zacznie... Odczytów, zgromadzeń... — uśmiechnął się stryj Michał. — A no próbujcie łupić tu rosyjskie swoje odczyty... Rosya zniszczyła wszystko to, co przez dziesiątki lat mógł ze sobą zrobić naród polski. Przez półwiecza całe leżała na nim martwym ciężarem, jakby kto tę oto brzozę nagiął aż do samej ziemi i na koronę jej świadomie nawalił

setkę fur gliny. Nie dała tu nic, ani, jak mówisz, kultury, bo jej przecie sama za grosz nie ma, a tu-tejszą starą nie kulturę, — bo i tu aż cuchnie od dziczy, — lecz żywy narodowy rozpęd do europejskiego życia, — dławiła wszystkimi siłami i sposobami. I oto jest, jak było przed wieki, — szczerza ziemia i chłop ciemny, zabobonny, nieufny, zamknięty w sobie, a w zamknięciu swem tający, mówię, wieczną polską siłę. Dziwnem ci się to wyda, co powiem: nie pragnę ja nawet waszej oświaty dla tych ciemnych wioszczyn. Niech już ludzie lepiej żyją, jak żyli. Przynajmniej sobą zostaną. Trzeba czekać.

— Ale czyż to jest ideał — zostać sobą, — czekać? — Czyż nie wyższy to jest ideał poddać się działaniu takiej kultury, jaka jedynie wdrożona tu być może, bo ją będzie popychać wielka siła rosyjskiego mocarstwa? Trzeba tylko, żeby to państwo weszło na drogę, żeby ludzie kierujący przejrzeli...

— A tak — ludzie kierujący... Znam się już na tej śpiewce. Pomieszkasz tu, to zobaczysz...

— Gniewasz się na mnie?

— Broń Boże! Chcę ci powiedzieć, że ten naród tak rozbity, zniszczony, odarty ze wszystkiego, wyzuty z każdego prawa, niemal unicestwiony, istny żebrak, — godzien jest władać i rządzić sam sobą. Byłby to jeden z najpiękniejszych narodów Europy, byłoby to jedno z najzdolniejszych, najszlachetniejszych kulturalnych plemion, — gdyby nie Rosya. Skoro sobie myślę, coby tu było

w tym kraju, gdyby nie Rosya, — jakieby tu trzeba na gwałt podjąć i wykonać prace, chociażby w tej okolicy, gdzie mieszkam... Ileż tu jest do zrobienia — na gwałt, dniem i nocą, za całe zmarnowane dziesiątki lat! Ale cóż to gadać napróżno! Mieszkam tu już tyle czasy, całe niemal życie, i nie widziałem jednego ździebelka zmiany na lepsze. Nic! Wszystko, jak było złe, tak jest. Złe doznaje poparcia. Szerzą złe i głupie dla złego. W tym celu wyężdżają swe siły, żeby złe wiecznie trwało.

— To czemuż sami nie zmieniacie złego na dobre?

Stryj Michał uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Słyszałeś może, kiedyś tu przyjechał, w lecie, jak to mój ojciec groził memu znowu synowi, Wiktorowi, że naczelnik straży ziemskiej dopytuje się o jego sprawki. Zdawałoby się, że Wiktor — to jaki włóczęga, albo koniokrad. Dzieci moje nie robią nic złego. Uczą w ciągu lata, oświecają potrosze, żyją z ludem w przyjaźni, radzą, tworzą, co się da, jakiś sklepik, spółkę, szkółkę. Wszystko to jest „dobre“, najniezbędniejsze, najzbawienniejsze, konieczne, jak powietrze, chleb, woda i mydło. Widzisz, że w tych stronach za takie rzeczy „nie gładzą po główce“. Rząd sam nic literalnie nie zrobi w tym kierunku i nikomu zrobić nie da.

Piotr był nieprzyjemnie dotknięty tem, co słyszał. Nie umiał zaprzeczyć, a nie chciało mu się potakiwać. To też zamilkł. W przemówieniu stryja uderzył go jeden szczegół, — wzmianka o tem, czem mógłby zostać naród polski, gdyby się sam

dziś rządził. To mu się wydało prawdziwem. Powiedział tę myśl stryjowi:

— Na to się zgadzam, że może dzisiejsi polacy byliby zgoła inni, niż ci, co zasłużyli przez swój nierząd na obce jarzmo.

— Tam z tym „nierządem“! — mruknął Michał, machnąwszy ręką. — „Nierząd“! — Kiedy Polska upadała, trwał sejm, który uchwalił znaną konstytucję Trzeciego Maja. Gdyby ta konstytucya weszła była w życie, gdyby w ciągu stulecia ubiegłego była ulepszana i rozszerzana, to czy ten kraj takby teraz wyglądał, jak wygląda! Jeszcze nie wiadomo, gdzie był większy „nierząd“ wówczas, gdy Polska upadała...

— No-no, — protestował Piotr, — stryjaszek popadnie w szowinizm i nie będziemy mogli skończyć dyskusyi.

— I ten „szowinizm“ — to tylko w Polsce widzą. Co prawda, to tyle jest dziur w łachmanie, którym jest okryta, że go łatwo dostrzegają oczy... cudzoziemców. Wszystko jedno zresztą. Nie jestem historykiem i nie o przeszłość tu idzie, lecz o przyszłość właśnie. Za winy, a raczej za pośliźnięcia się, za błędy prapradziadów nie dają praprawnukom polepszyć doli swojej i pracować dla biednego ludu. Taka to jest mocna i dobra, „słowiańska“ historyczna metoda.

Stryj Michał skręcił nowego papierosa, umieścił go w przepalonej papierośnicy. Rozmowa ustała. Obadwaj niezręcznie zacięli się w milczeniu. Udawali, że nasłuchują, czy nie słysząć szczekania psów.

Lecz znowu tylko miły świergot ptaszka leśnego przerywał głęboką ciszę.

— Czy wiesz, — rzekł stryj Michał, — lepiej nie rozmawiajmy o tych tematach politycznych, bo moglibyśmy się poróżnić.

Uśmiechnął się bardzo przyjaźnie, życzliwie, mówiąc:

— Nie może być między nami zgody, ani nawet porozumienia. Ty będziesz myślał po swojemu, a ja i my tutaj — po swojemu. Zgoda?

— No — cóż mam robić? Zgoda.

Zamilkli. Łagodne lśnienie słońca przesycalo widnokrąg daleki. Obadwaj zatoneśli w ciszy i własnych myślach. Tak nasłuchując, nie tyle może głosów zewnętrznych, ile wewnętrznych, przetrwali znaczny przeciąg czasu. Niebo na zachodzie poczerwieniało. Piotr ocknął się i oświadczył, że musi jechać. Wracał do miasta. Stryj Michał chciał go na noc zatrzymać, lecz to się nie udało. Wrócili do domu, nie doczekawszy się powrotu ogarów. Zaraz po wstąpieniu na ganek Piotr kazał ordynansowi podać konie, które się podpały zdrowo i setnie wypoczęły. Uściskał stryja i wskoczył na siodło. Ruszył z miejsca ostrym kłusem. Gościniec prowadził w tęsamą stronę, którą był przemierzył, jadąc z dziadem Rozłuckim po raz pierwszy. Za dnia, sadząc wyciągniętym skokiem, dopadł samotór lasów rządowych. Drogę pamiętał bardzo dokładnie. Wziął się przez las i góry na lewo od nachylonego wiorstowego słupca i przebył je, ale już o zmroku. Jechał noga za nogą, potykając się

na korzeniach. Konie chrapały i szły miękko, płochliwie. Żołnierz, jadący za Piotrem, ośmielił się wyrazić obawę, czy nie pobłądzą. Oficer uspokoił go w sposób właściwie szorstki. Dla dodania odwagi jemu i sobie, wydobył wielostrzałowy rewolwer, nabił go i opatrzył. Noc zaskoczyła ich jeszcze w boru. Była to noc cicha, łagodna, jakgdyby miękie echo pogodnego dnia. Księżycą nie było, lecz jaśnienie gwiazd wskazywało oczom do ciemności przywykłym kształty przedmiotów. Baczyli obadwaj, żeby się trzymać drogi i nie zmylić jej w miękich pastwiskach. Pomagały im jakoweś przylesne resztki zmurszałych opłotków, stare rowy, zarosłe trawą i krzakami. Jechali tak długo w nocy i ciszy. Piotr stracił pewność orientacji, lecz nie żałował, że tę wybrał drogę. Rozmyślał o tem wszystkim, co z taką prostotą mówił stryj Michał, — zagłębiał się w te pozycje i polemizował z nimi w duchu, — układał nieodparte odpowiedzi, — budował doskonale sylogizmy dla obalenia sofizmatów tetryka stryjaszka.

Gdzieś na tej drodze, w nikłym jaśnieniu górnego nieba spostrzegł samotne brzozowe drzewo. Poznał je odrazu. Powtóre i potrzenie sprawdzał miejscowość i przekonał się, że nie błądzi. Brzoza stała w nocy bez ruchu, koroną ogołoconą z liści zwieszona zwysoka ku ziemi. Konie mijały ją zwolna, chrzęszcząc żelastwem i rzemieniem siodła, puślisk i uzd. Piotr zdjął czapkę i ostre oczy trzymał utkwione w drzewo. Gdy je już mijał, jadąc noga za nogą, wykręcił się w siodle i, ogarnięty przez

wewnętrzną konieczność, wciąż patrzył. Gdy był już po drugiej stronie, sylweta drzewa przybrała kształt odmienny. Stała na tle nocnej szerzogi plamą czarną, niemal płaską. Stała się niejako olbrzymią głową ze zwichrzonemi włosami, która schyliła się bezwładnie z ramion i patrzy w czarną ziemię. Lodowaty dreszcz przeszył plecy i ramiona młodego jeźdźca. Strach cmentarny chwycił go za piersi i wstrzymał w drodze. Ręce, bez wiedzy o tem, zdarły lejce konia. Koń stanął. Piotr nie mógł oderwać oczu. Serce w nim zamarło, dech ustał w piersiach, myśli spłoszone ze swoich miejsc, oszalałe od razów przerażenia, leciały przez zmarzniętą głowę. Nagły żal, żal tak mocny, że wszystko w duszy wytracił, uderzył w serce, jakgdyby zewnętrzny puginał. Ażeby sobą o władnąć, siebie samego pokonać, sobie samemu moc swoją udowodnić, zdławić fizycznie ów niemęski, zewnętrzny, narzucony strach — żal, Piotr zsiadł z konia, rzucał wodze żołnierzowi i wielkimi krokami poszedł ku drzewu. Wstąpił na niską, rozmytą, rozwianą mogilę. Namacał rękami suche próchno krzyża. Męską dłonią usiłował pochwycić i zdusić widziadło. Pełne miał dłonie sypkiego, szorstkiego miazgu. Zastygł tak z rękoma opartymi na kolcu krzyża, wiszącego nad ziemią, głęboko nędzą próchna porażony. Nierychło opamiętał się, — westchnął... Odszedł, wskoczył na siodło. Począł orać boki końskie ostrogą i popędził w noc wielkimi, huczącymi skokami.

VIII.

W zimie ustaliło się życie jaknajbardziej oficerskie. Przyjechał do miasta teatr wędrowny z aktorkami, ogromnie chętnymi na oficerskie pensye, z kolekcją wesołych dziewcząt, lubiących ubierać się i rozbierać, pić w gabinetach i brać udział w wesołych chryjach. Odbyło się kilka balów w rosyjskich sferach miasta. Jeden z tych balów u generała komendanta został w pamięci synów Marsa. Tatjana Iwanowna występowała na nim poraz pierwszy, jako panna na wydaniu. Piotr tańczył z nią kilkanaście razy, ale nie mógł się pochłubić, żeby choć przez sekundę zwróciła na niego uwagę. Była takasama, jak z każdym innym osobnikiem, noszącym epolety.

W tymże czasie Piotr wplątany został w przygodę. Od pewnego czasu spostrzegł nowe koncepty w postępowaniu wychowawców pana Kozdroja. Podczas drzemek poobiednich w mieszkaniu słyszał częstokroć tajemnicze stąpania po schodach, które służyły do jego tylko użytku. Stąpania były gromadne, lecz tak ciche i ostrożne, że musiały zwrócić uwagę. Zrazu Piotr sądził, że to może

służba z bielizną tak skrycie wdziera się na strych, że kominiarze, czy rzemieślnicy... Gdy jednak te szelesty powtarzały się zbyt systematycznie i zawsze w tensam sposób, postanowił rzecz zbadać.

Zaczął się pewnego popołudnia w spiżarni, zbitej z desek i wpuszczonej w obręb strychu. Siadł tam na jakiejś pace, owinał nogi pledem i czekał. Wkrótce posłyszał odgłosy na schodach, znane mu skrzypnięcie drzwi z sieni na strych...

Przez szparę między tarcicami ujrzał swych sąsiadów z dołu. Na przedzie szli trzej kozdrojowcy — brunet z rozczesaną głowiną, dryblas wiecznie śmiejący się, czy był powód czy nie, — wreszcie przysadkowaty, ospą zeszpecony siódmoklasista, którego powszechnie a poufale zwano „Gnypem“. Za tymi, czając się, z nadzwyczajnymi ostrożnościami wsunęli się jeszcze czterej gimnazjaliści, nieznani Piotrowi. Zaciekawilo go to niepomału, co też oni tam zamierzają robić. Przewidywał, że nastąpi extraordinaryjne karcciarstwo, masowe picie gorzałki, czy wogóle fenomenalna jakaś rozpusta. Goście strychu zajęli miejsca w pobliżu komina, szerzącego ciepło, rozsiedli się na pakach, połamanych gratach, oraz na belkach i skarpach, — owinęli od zimna czem i jak kto mógł, więc jedni w stare płaszcze, inni w firanki, przeznaczone na strych, w worki i pokrowce. Wyglądali w tem wszystkim nader interesująco. Jedni, nie tracąc czasu, kopcili papierosy, inni siedzieli poprostu cierpliwie, wtuleni w swe szynele, z podwiniętymi

nogami. Lecz oto jeden z przybyszów nieznanych Piotrowi wydobyl z zanadru książkę i zaczął półgłosem czytać. Był to jakiś traktat zakazanie ekonomiczny. Uczeń czytał ów elaborat z przejęciem, a nawet z pasją, od której nos mu poczerwieniał. Słuchacze zdawali się przykładać szczególniejszą wagę do zawiłych zdań rozprawy, które Piotr z trudem pojmował. Gdy lektor przerwał wreszcie czytanie, inny z przybyszów wydobyl zeszyt i wygłosił rodzaj wypracowania historycznego o upadku Polski. Tu już Piotr oryentował się lepiej i ciekawie słuchał. Po odczycie, który zawierał wyliczenie znanych wypadków historycznych, ozdobione silnie brzmąciami inwektywami przeciwko „moskalom“ i „zdrajcom“, nastąpiła dyskusya, umajona inwektywami przeważnie skierowanemi przeciwko „belfrom“, a w szczególności przeciwko jakiemuś „Tapirowi“. Cały ten seans zakończony został przez wygłoszenie wiersza polskiego. Wysmukły brunecik z niebieskimi oczyma, piękny jak panienka przebrana za ucznia, wypowiedział z pamięci poemat Słowackiego p. t. Grób Agamemnona. Mówił z konieczności półgłosem, nieco afektacyjnie i czułościowo, ale z niezwykłym powodzeniem. Słuchacze nagrodzili go rześistym, choć zupełnie cichym oklaskiem. Komunistyczne zaciąganie się jednym na wszystkich papierosem zamknęło to tajne posiedzenie.

Piotr był zadowolony. Sprawiała mu szczególną przyjemność ta okoliczność, że owe spiskowe lekcye

odbywają się na jego strychu. Nadto — dawały mu możność kształcenia się w języku polskim.

Obserwując podwórze, spostrzegł, że kozdrojowcy nie komunikują się już z żołdatem przez szparę w parkanie i że stosunki ich z sąsiednią posesją jakoś się przerwały. Znał z doświadczenia szybkość zmian, zachodzących w usposobieniu młodzieży dwudziestoletniej, to też nie zdziwił się wcale. Począł teraz wysiadywać tajemnie w swej śpiżarni i pilnie wsłuchiwać się w utwory i rozprawki, odczytywane na strychu. Koło, widocznie, zwiększało się, gdyż coraz to inne figury bywały w sąsiedztwie komina. Czytano szczególnie dużo poezyi i Piotr z konieczności zagłębiał się w literaturę. Niektóre utwory polubił ze słuchu i padły one nazawsze w jego pamięć od pierwszego razu, jako żywe i twórcze formy czucia. Nadewszystko jednak lubił sekretność zjawiska. Nikt nie wiedział... Przez szpary wciskała się do jego kryjówki mowa, poezya, historia, łatwowierne i łatwownioskujące młodzieńcze filozofowanie...

Pewnego dnia nie mógł być w swej śpiżarni na podsłuchach, gdyż o tej porze wypadła mu czynność urzędowa w koszarach. Wracał do domu później, niż zwykle, kiedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, spiskowe kółko powinno było być pod dachem. Wbiegając szybko na swe schody, artylerzysta zetknął się z jakimś panem, przyzwoicie odzianym, który właśnie zdawał się zstępować z góry. Pan był w bobrowem futrze, z laseczką w ręku i modnym kapeluszem na głowie.

Piotr zdziwił się i z pytaniem w oczach zwrócił się do gościa.

— Pan do mnie? — spytał po rosyjsku.

— Proszę o przebaczenie... — rzekł przychodzień. — Jestem nauczycielem gimnazjalnym, szukam tutaj stancyi profesora Kozdroja.

— Stancya profesora Kozdroja mieści się na dole. Tu na górze ja tylko mieszkam.

Jegomość uchylił kapelusza i wolno zstąpił ze schodów. Piotr po chwili dopiero zorientował się, że wykwintny pan tropi spiskowców, czytających poezye i historję Polski. Zrozumiał, że przychodnie z miasta, pozakozdrojowcy, naprowadzili na ślad. Postanowił ostrzedz swych nieznaných oświecicieli. Ale jakim sposobem? Miałże dać im znać, że oddawna wie o ich schadzkach? Miałże wydać się niejako ze swą wiedzą o ich tajemnicy? Nie starczyło po temu chęci i poprostu wstydził się współki z żakami. Postanowił raczej obserwować tropiciela. Przez chwilę tedy zabawił w mieszkaniu i wyszedł. Zauważył, że pan w bobrach, zanotowawszy w księdze stancyjnej lokalu p. Kozdroja nieobecność trzech starszych uczniów, wyszedł na ulicę i przechadzał się w oddali, rysując od niechcienia laseczką znaki na śniegu. Piotr postawił sobie zadanie wyprowadzenia go z tej ulicy niejako siłą sugestyi. Przeszedł tedy na chodnik, po którym defilował pedagog, i, nie śpiesząc się, postępował za nim w pewnej odległości. W istocie nauczyciel, czując wciąż poza sobą natręta, wydalil się ociężale z tej ulicy i zwolna ruszył w mia-

sto. Opiekun spiskowców zadowolony był ze swej metody. Ale oto w parę dni później, siedząc na „lekcji“ w swej skrytce, usłyszał charakterystyczne skrzypnięcie schodów i pierwszej domyślił się, raczej przeczuł, niż zobaczył pedagoga. Przez szpary we drzwiach śpiżarki dojrzał go po chwili. Profesor wszedł cichaczem, skradając się kocim stąpieniem, z największą ostrożnością na szczyt schodów i tu strzygł na wsze strony uszami, oczami, — badał miejscowość. Przypuszczał, widocznie, że zbiegowiska uczniów gimnazjalnych odbywają się w samym lokalu oficerka artylerji, bo ku jego drzwiom bezszelestne skierował kroki. Przyłożył ucho do dziury od klucza... Lecz wtedy Piotr podniósł się z miejsca momentalnie, otworzył drzwi i stanął przed zdumionym.

— A to co! — krzyknął, — pedagoga odgrywasz rolę, a do cudzych drzwi się dobierasz, — ach, ty złodzieju w bobrowem futrze!...

Zatulił go lepiej w futro bobrowe pod oniebiałą brodę, aż pedagog zsiniał z emocji, wykręcił z żołnierską ścisłością i przyśpieszył jego zejście ze schodów, pomagając sobie wielokrotnie kolanem.

Spłoszeni krzykiem i szamotaniem się wielbiciele sztuk pięknych uchylili drzwiczek strychu i, jak szczury z nory, wyjrżeli na schody. Rozwarte ich oczy ujrzały tę scenę z uwielbieniem nieopisanem, a serca zapamiętały ją z pociechą na całe życie. Piotr wracał właśnie na górę,

kiedy ich spostrzegł, stojących rzędem. Groźnie spojrział po tym froncie i z rozkazującym gestem zakomenderował, jak na pluton żołnierzy:

— Precz stąd! I żeby mi tu noga wasza do kroćset!...

IX.

Pod koniec stycznia Piotr Rozłucki otrzymał z poczty list niepodpisany, wzywający go do stawienia się w godzinach rannych na pewne miejsce, sąsiadujące z parkiem miejskim. List był pisany stylem niemal urzędowym, suchym, lecz tak stanowczym i zdecydowanym, jakby to był jeden z etapów dawnej i zażyłej korespondencji. Czytając ową kartkę papieru, Piotr nie domyślał się, bo żadnych po temu danych nie było, lecz nieomylnie uczuł, kto go wzywa. Wionął mu na twarz nikły zapach perfum, ulatujący z tego arkusika. W oczach zamajaczał przez chwilę zarys twarzy w uśmiechu... W ciągu nocy artylerzysta nie mógł spać. Wielekroć zapalał świecę i czytał tajemnicze pismo, ażeby przekonać się, że ono w rzeczywistości istnieje. Następnego dnia poszedł na miejsce wskazane. Był to duży, pusty, brukowany plac, przy którym stały ślepe i nieme budowle, magazyny wojskowe prawie bez okien. Niemy sztyldwach, jedyna żywa istota w tem miejscu, kołatał się ruchem wahadła pod ślepym murem. Był wiatr, podniecający wewnętrzne wzburzenie. Piotr zapalał papierosa po papierosie.

Wiatr gasił mu raz wraz płomyk zapalniczki. Zdawało się, że ta czynność zapalania papierosa na wietrze była jedyną i ważną i że po to w to miejsce przyszedł. Co chwila nasuwało się zwątpienie, obawa śmieszności, przewidywanie jakiegoś podstępu ze strony kolegów. Chodził w pobliżu bramy parku. Liczył, mnożył, odtwarzał w myśli formuły matematyczne, marzył — i ordynarnie podrwiwał ze siebie. Gdzieś daleko, na kościelnych wieżach miasta były kwadransy.

Nagle — na drugim krańcu owego wybrukowanego placu ukazała się Tatjana Iwanowna. Szła zwolna w stronę bramy ogrodu — wszystka ciemna a połyskliwa, mieniąca się od pluszu paltocika i obfitych, czarnych strusich piór na dużym kapeluszu. Przed wiatrem, widać, zasłaniała twarz wielką, puszystą skunksową mufką. Między rondem kapelusza i czarnym puchem owej mufki widać było jej oczy. Ruchem pośpiesznym, jedynym, sobie właściwym odwracała głowę, unikając spotkania z oczyma oficera. Lecz oczy te powracały do poprzedniego kierunku. Piotr stał na miejscu zdumiony, niemy ze szczęścia.

Tatjana zbliżyła się do niego i podała rękę. Uśmiech pełen rozkoszy był na jej twarzy. Nie znać w nim było ani cienia kokieterii. Było to szczere szczęście, szczęście dziecięce, szczęście dziewczynki, która popełniła szaleństwo, czyn karygodny, lecz ma nadzieję, że jej wyrok złagodzą wskutek wielkiego mnóstwa okoliczności łagodzących. Oczy jej i różane usta śmiały się z radości,

śmiały się z pomysłu napisania listu i z tego, że list wywołał doskonały skutek.

Nie wiedząc o tem, gdzie są, dokąd zmierzają, co czynią, poszli szybko. Minęli bramę ogrodu.

Widzieli pod nogami bruk drewniany, mokry od szronu, to znowu ułożony z kostek kamiennych, konary i gałęzie drzew, poruszanych od wiatru...

— Czy się pan bardzo zdziwił?

— W pierwszej chwili...

— Czy dobrze zrobiłam?

— Och, dobrze!

Idąc szybko w swych wykwintnych, szelestnych sukniach, Tatjana niepostrzeżenie zbliżyła się do Piotra, wyprzedziła go o jedno pochylenie ciała i oparła się ramieniem o jego ramię. Znowu zakryła twarz puszystą, czarną, długowłosą mufką. Z głębi tej mufki zabrzmiał jej śmiech, najczarowniejsze wesole. Piotr czuł w sercu rozkosz... Śpiewał pieśń szczęścia ostry, zimowy wiatr. Weseliła się od niej martwa ziemia. Lecz jakież było jego uczucie radości, gdy Tatjana szybko wysunęła lewą rękę z mufki, i śmiejąc się ciągle, prawą jego rękę przemocą niemal wciągnęła do ciepłego wnętrza, do puchowego rajy, gdzie się kryły prześliczne jej dłonie.

— Zimno teraz, jeszcze zimno? — pytała.

— Nie...

— Piotruś szczęśliwy?

— Bardzo szczęśliwy...

Pusta była aleja. Posąg półnagi, przedziwny w tym wietrze, dumal o swojej zagasłej sprawie,

którą przez wieki przystało mu wyobrazać. Życzliwie, dyskretnie został w pustce z tą swoją sprawą. Usiedli na kamiennej ławce. Bez słowa utonęli oczyma w oczach. Piotr patrzył zbliska, ze szczęśliwej bliskości na jej policzki, zabarwione różanem pięknem zdrowia, na brwi, co się lekkimi zarysowywały łuki, a u końców swych stawały smugami śniademi, — w głąb oczu nadobnych, jak nocne, wiosenne niebiosy, na usta, — zaiste piękniejsze, niż poranna zorza. Pozwalała mu tak patrzeć bezkarnie, długo, bez końca, — z radością w tych oczach, na uchylonych ustach... Ręka jego dostępowwała w głębi mufki łaskawej pieśczości jej obudwu rąk. A im dłużej, im bardziej oszalałym wzrokiem patrzył, tem pieśczoćta rąk stawała się wymowniejszą. Serce, bijące samowładnie, zamierało w szczęśliwej niewiedzy... Tatjana zarumieniła się, jeszcze bardziej łaskawie uśmiechnęła. Rozejrzała się het-precz po pustym parku i pod same mu usta przybliżyła policzek. Złożył na nim czysty, niewinny, wzniosły całunek.

— A no — dobrze zrobiłam? — zapytała, topiąc w jego oczach swe boskie, smoliste, pełne mroku i arcy-łobuzerskie oczy.

— Bardzo dobrze... — odpowiedział z pokorą.

Znowu podejrzliwie rozejrzała się po całym parku i rzekła cicho, ściskając w swych obudwu jego rękę:

— A chcesz, żebym była twoja, twoja własna?

Piotr siedział wyprostowany, oszalały, czując w piersiach mróz bezgranicznego zdumienia, czy

upał szczęścia. Ramiona jego były podniesione, oczy chowały się pod powieki. Uśmiech radosny skostniał na wargach.

— Taniu! — wyszeptał.

— Tylko twoja będę... — powiedziały mu prawdómownie i nieodwołalnie te najśliczniejsze na ziemi różane usta. Słowa potwierdziło najbardziej wiarogodne spojrzenie, a jako najprawomocniejsza kontrasygnata stwierdził ten akt uścisk obudwu dłoni, mocny, jak śmierć.

Piotr patrzył na nią w zachwyceniu, nie myśląc o niczem, nawet o wielkości losu szczęśliwego, który nań spadł tak nieoczekiwanie. Ona, po załatwieniu tej najpilniejszej sprawy, poczęła mu tłumaczyć, że powinien często teraz przychodzić. Mówiła, że na pięterku domu jest korytarz, prowadzący do jej pokoju. Wąski korytarz, który mija jedne drzwi, drugie, aż doprowadzi do trzecich od pokoju, gdzie ona właśnie przebywa. Ona sama, Tatjana. Taki to jest korytarz. Okna w tamtym pokoju są od ciemnego podwórza, a w sąsiedztwie mieszka francuzeczka, mademoiselle Mathilde. Cały ten wywód zakończony został zapytaniem, naśladowującym głos wróżącej cyganki:

— Rozumiecie mię?

Zapytanie było tak dowcipnie powiedziane, tak dobrze naśladowało cygankę i takie miłe, że Piotr zanosił się od śmiechu. Tatjana spytała:

— A może nie zechce przyjść do mnie?

— Kto?

— On. Ten, Piotr Iwanycz.

— Przyjdzie! Przyjdzie, choćby miał w tym korytarzu zginąć.

— Na dole jest lustro, od lustra w górę kręcone schodki... Rozumiecie mię?...

Wstali z tej ławki radosnej i szli znowu pośpiesznie w głąb parku szeroką jego aleją. Tatjana milczała. Wiatr szorstki rozwiewał strusie pióra jej kapelusza, odsłaniał białą, atłasową podszewkę pluszowego paltota, okręcał suknie dookoła nóg, uwydatniając ich powabne zarysy. Buciki jej szybko migały na ceglanych żwirach alei...

Gdzieś, w jakimś miejscu tego parku, w miejscu; które się stało znagła bolesne, bezlice, nie do zapamiętania, pożegnała go uściśnieniem ręki. — Szybko odeszła, nie obejrzawszy się poza siebie. Został sam i szedł boleśnie sam poprzez ten parksen, nie widząc nic wcale. Oczy jego tonęły jeszcze w głębinach oczu, zawisały na barwie ust. Uszy jeszcze słyszały szelest sukien i nozdrza szukały zapachu perfum. W pewnej chwili dźwignął z łona szczęśliwości głowę i zadał sobie męczeńskie pytanie:

— Czyżby była zepsuta? Czyżby zepsucie mówiło te przeczyste słowa prawdy miłosnej?

Zaprzeczył sobie samemu w swem sercu. Gdyby przyszło przekonać się, że zepsucie mówiło przez te różane usta,—nie byłoby innego wyjścia — tylko zginąć. Poczul, jak wielka stała się w nim przemiana tego poranka, i poszedł, unikając ludzi, za miasto, w pola.

X.

Częściej teraz począł bywać w domu generała-komendanta. Był tam bardzo dobrze widziany. Miał wrażenie, ilekroć te progi przekraczał, że tajna siła otwiera przed nim każde drzwi, a przyjazna atmosfera otacza go we wszystkich miejscach tego domu. Wszystkie jego życzenia, wszystkie marzenia spełniały się, ledwie je wyrazić zdołał, — każda myśl znajdowała posłuch i uznanie nawet u srogiego generała. Z początku Rozłucki doświadczał formalnej trwogi od nawału tego dobra, które go w pałacyku generalskim spotykało. Z czasem przywykł doń, przyzwyczał się dziwnie szybko, wchłonał to wszystko dobro i uczynił zeń swą własność, bez której nie byłby już w stanie obywać się poddawnemu. Sprawa wynalezienia powodów ciągłego bywania „u dworu“ ułożyła się w jego myślach w zawiły systemat dyplomatyczny, pełen wybiegów, tajemnic, podstępów, niewinnych kłamstw i wynalazków, dziwnie trafnie zbudowanych. Generał bezwiednie pomagał w tem wszystkim, wymyśliwszy dlań zajęcie kancelaryjne niby to służbowe, a jednak wykraczające poza obręb obowiązków normalnych oficera artylerji. Rozłucki

pracował wspólnie z generałem nad pewnemi ulepszeniami w budowie nisz i „kamer“ krzyżowych w galeryach podziemnych. Drobne ulepszenia w zakresie układu skrzyń do piroksyliny, które się umieszcza w „hornie“ galeryi podziemnych, stanowiły tak zwany wynalazek generała Polenowa-Czernowratskiego, jego dumę, tytuł do chwały, temat wielu raportów, tudzież motyw wielu odznaczeń. Młody artylerzysta wyliczał, wymierzał, rysował, malował akwarelą ogromne tablice, wyobrażające owe podwójne skrzynki ze wszystkimi ich okuciami, spoidłami, gwoździami i sposoby zabezpieczenia od wilgoci. Z drobiazgową szczegółowością, według pomysłu i wskazówek generała, przedstawiał w rysunkach metodę i procedurę przeniesienia ze składów i lokowania w owych ulepszonych skrzynkach wilgotnej piroksyliny, — całkowity sposób pakowania jej zbitemi gruzłami, — umieszczania centralnej szklanki zapalnej, — wpuszczania przez pokrywę przewodników i t. d. Po pracy bywał zapraszany na obiady i kolacye, co dawało mu możność spotkań z Tatjaną. Tym sposobem stał się w domu zwierzchnika gościem niemal codziennym, człowiekiem bliskim, lubianym i jak gdyby należącym do rodziny. Generał zdawał się nie pamiętać o tem, że ma w domu dorosłą córkę. Bardzo często nie było go wcale w ciągu dni, gdyż nie tylko wyjechać się musiał dla spełniania obowiązków służbowych w mieście, ale nadto musiał wyjeżdżać w głąb gubernii dla dopełnienia rozmaitych inspekyi, rewizyi, rewii, marszów i obo-

zów. W ciągu takich dni Piotr, o ile chciał, mógł pracować w pokoju, przylegającym do gabinetu komendanta, zupełnie samotnie. Miał tam stół, rajsbrety, przybory miernicze i rysunkowe, oraz szkice i notaty generała, z których wyłonił się ów (dość zresztą wątpliwy) „wynałazek“.

Gdy tak pewnego dnia pracował w owym pokoju, pchnęła go z miejsca wrodzona pasya do szukania niebezpieczeństw. Nie wystarczało już szczęście przebywania w tym samym co Tatjana domu, nadzieja zobaczenia jej przy obiedzie i marzenie o rozmowie w salonie. Serce biło i ten jego przyspieszony takt stał się, jak rozkaz wewnętrznej siły. Piotr wsłuchiwał się długo w to bicie serca i wywnioskował, że nie da mu rady. Złożył rysunkowe przybory, oczyścił i wyrównał na sobie mundur... Cicho wyszedł drzwiami, których progu jeszcze nigdy nie przekroczył. Znalazł się na małym wewnętrznym podwórku, wyłożonym marmurem. Minąwszy je, wszedł do sieni i ujrzał swą postać, odbitą w lustrze. Poznał, że idzie dobrą drogą. Z lewej strony były wąskie zakręcające się schody. Na pierwszym piętrze drzwi na pół oszklone. Starożytna, brązowa rączka od dzwonka w kształcie strzemięcia znajdowała się z boku. Pociągnął za nią. Usłyszał metaliczny głos, uderzenie raczej w piersiach, niż w przestrzeni zewnętrznej. Drzwi się otwały. Stała w nich mademoiselle Mathilde, towarzyska, wychowawczyni, powiernica i garderobiana Tatjana. Przystojna francuska spojrzała na

niego głębokimi, mądrymi oczyma, uśmiechnęła się łaskawie...

— Tatjana jest dziś trochę słaba... Nie wychodzi...

— Ach, Tatjana Iwanowna jest słaba... — zmarł się Piotr szczerze i pocziwie.

— Teraz podniosła się. Może pan wejdzie do niej, rozweseli, porozmawia, to jej może przejdzie ból głowy. Ostatnie drzwi...

Piotr ukłonił się z wdzięcznością tej furtyance, która ustąpiła mu z drogi, — wszedł w ciemny i wąski korytarz. Łokciami dotykał ścian. Szedł cicho, starając się umiejętnym stąpieniem zdławić brzęk ostróg, które miał u nóg. Minął jedne drzwi i stanął przed następnymi. Zastukał. Szelest — i drzwi uchyliły się, prawdziwie, jak furta rajy. Wszedł do pokoju małego, jak pieścidełko, w którym nowoczesne tapety i piękne firanki nie zatuszowały stylu ośmnastego wieku. Pokój był dość niski, na modłę francuską. Posadzka wysłana dywanem, okno przyćmione ciężką zasłoną. Mało było mebli, lecz wszystko wykwintne: wąska kanapka w rogu, gotowalnia pod oknem, lustrzana szafa i zwierciadło nad marmurowym kominkiem. W rogu stało łóżko, zasłane atłasem, batysem i koronkami. Tatjana była w długiej, wolnej sukni.

— Nareszcie pan raczył przyjść... — rzekła, wskazując mu miejsce na kanapce.

— Nie miałem odwagi tu wejść...

— Odwagi?...

— Lękałem się, czy nie będę przeszkadzał.

— Doprawdy?

— Ależ tak!

— O tem nikt nie będzie wiedział, więc może pan mieć odwagę. Mathilde jest pewna, nie powie nikomu ani jednego słowa.

— To być może, ale ja nie miałem odwagi wejść tutaj do pokoju pani.

— I dla czegoż to?

— Nie trzeba przekraczać granic szczęścia. Szczęście nie znosi za sobą pościgu. Napastowane odwraca się i zaczyna prześladować napastnika.

— Patrzcie, co to za filozof!...

— Ależ tak, — już nad tem myślałem niemało.

— I to ma być artylerzysta, wojak, zdobywca...

Usiadł na owej wskazanej kanapce i łakomie rozglądał się po pokoju. Spływała zeń wszelka troska, wszelka myśl o zewnętrznym świecie, a szczęście, jak zapach, napełniało całe jestestwo. Oczy, usta, twarze obojga stały się jednym uśmiechem. Tatjana siedziała zdala, przy gotowalni. Pod pozorem, że chce obejrzyć cacka toaletowe, zbliżył się do niej. Ale odsunęła go groźnym skinieniem ręki, obnażającej się wskutek tego skinienia z szerokiego rękawa. Więc przeglądał piękne flakony z perfumami Rimmela i Lentherica, pudełeczka na wonne kosmetyki, skrzyneczki na biżuterię, jakoś pomadki, pasty do paznogi, pilniczki i rozmaite rodzaje szczotek. Wydzierała mu to wszystko z rąk, rozkazując wrócić do kąta, na dawne miejsce. Ażeby zaś nie mógł już się stamtąd wydostać, sama usiadła na owej kanapce. Niepostrzeżenie

przytulił ją do siebie, pachnącą, cielesnie dostępną przez miękki jedwab i cienkie batysty, dziewczycą w drzeniu i lęku przy każdym dotknięciu jego rąk, wobec każdego pocałunku. Ale pocałunki były nieuniknione, tworzyły się same w sposób konieczny i nieodwołalny. Pieszczota ust przez usta stawała się coraz głębsza, cichsza, subtelniejsza, aż się przeobraziła w zapomnianą rozkosz, w głuchą na wszystko radość, w szczęśliwy sen na jawie.

Jedna dawna troska, jak złowieszczy nietoperz, latała nad temi czystymi pocałunkami. Piotr musiał zapytać:

— Nikt nie całował tych ust?

Spojrzała na niego z niejasnym zdumieniem. Nagle podniosła się, czarująca od płomieni wewnętrzznego wybuchu, i zajrzała mu groźnie w oczy. Nic nie odpowiedziała. Musiał pytać powtóre.

— Nie wierzysz? — spytała.

— Wierzę, skoro ty mówisz... Lecz trudno mi było uwierzyć w takie szczęście.

— Cóż trzeba zrobić, żebyś uwierzył?

Patrzył na nią z dołu, podejrzliwie, nieufnie. Wreszcie mruknął zcicha:

— Przysięgnij...

— A na co?

— Na coś, co masz świętego...

Przysięgła na pamięć zmarłej matki, na pamięć siostry, na miłość ojca, na Boga... Jeszcze przez chwilę namyslała się, na coby przysiądz. Była wówczas bosko piękna w głębokim zamyśleniu się o świętej sile, któraby potwierdziła prawdę o jej

niewinności. Piotr uwierzył. Nie tylko uwierzył, lecz sam stanął w obronie jej honoru przeciwko własnym podejrzeniom. Przytulił jej serce do swego, przygarnął ją do swej duszy bardziej, niż do ciała, i śnił o niej, tak ją tuląc do siebie. Mademoiselle Mathilde w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami przesunęła z hałasem jakieś ciężkie przedmioty.

— Trzeba rozmawiać głośno, bo myszka się niepokoi, — rzekła ze śmiechem Tatjana. — Jesteś niebezpieczny, mój wielki inkwizytorze! Dopiero byłeś tchórzliwym filozofem, który zmyka przed szczęściem, w obawie, żeby ono nie zaczęło go ścigać, a oto nabrałeś zanadto wiele odwagi. Widzisz, jaki jesteś niestały... I to taki każe mi tu przysięgać, jak w sądzie... A ty?

— Co ja?

— A ty? Domyśl się...

Mówiła pół po rosyjsku, pół po francusku, widocznie, żeby „myszka“ mogła słyszeć nie tylko echo, lecz i treść rozmowy. Ale rozmowa urywała się co chwila, zahaczała o konieczność kontemplacyi, nie mogła zresztą wydobyć się z ust, co moment zamykanych przez pocałunki. Przypadkowo rzuciwszy okiem w lustro, Piotr zobaczył swą twarz, odbijającą od czarodziejstwa głowy Tatjany. Zapytał:

— Dla czego mnie pierwszemu pozwoliłaś pocałować te usta?

Odpowiedziała z powagą, z głęboką szczerością, na jaką człowiek zdobyć się może:

— Widzisz, — tego nie wiem. Dawno to sobie postanowiłam. Jeszcze za pierwszej twojej bytności. Pamiętasz? w ogrodzie? Miałam zamiar na balu, ale nie udało się. Czyhałam na taką chwilę, czyhałam, ale nie udało się... Musiałam wreszcie napisać, bo co było robić?

Wypowiadała te słowa, jak człowiek, który miał ciężkie strapienie, ale je szczęśliwie pokonał. Piotr przypomniał sobie, ile to razy od tej chwili w ogrodzie, kiedy raz pierwszy Tatjanę zobaczył, najmował do rozpusty za pieniądze publiczne dziewczuchy, — i zmierzył teraz całą otchłań krzywdy, jaką przez to sobie i Tatjanie wyrządził. Twarz jego własna wydała mu się ohydną, jakąś czarną i godną pogardy. Powiedział o tem Tatjanie. Ale wtedy zaprzeczyła najśłodsze protestami, dobrotliwymi pieśczętami, zagładaniem w oczy aż do samego ich dna, a przez nie aż do skrytości serca.

— Ta kanapka jest dziwnie nieprzytulna... — stwierdziła niespodziewanie z ubolewaniem.

— Nie? A prawda, że nieprzytulna jakaś...

— Innej tu nie mam. Tymczasem wnosić tu teraz inną kanapkę — byłoby nieprzezornie. Zrozumianoby to w sposób niewłaściwy, a może nawet opaczny. Nieprawdaż?

— Rzeczywiście. Cóż tu począć?

— Ja nie wiem.

— Od czegoż pan jesteś tym filozofem?

— A tam? — spytał w opresyi z zakłopotania

niem, nie patrząc w pewną stronę pokoju, jakby dla złagodzenia okropnej bezwzględności pomysłu.

Wydeła wargi w sposób szczególnie urągający, obrażony i nieoczekiwanie rzekła:

— A Mathilde co powie? A „myszka“?... Pan myśli może, że ona nie wie, gdzie stoi moje łóżko, że się nie orientuje? Ona wie wszystko...

XI.

Nadmiernie pilnym pracownikiem w kancelaryi generała stał się porucznik Rozłucki. Bywał tam stale, a pracował z niesłychaną, ze zbyteczną i szkodliwą dla zdrowia pilnością. Każdy szczegół wyrysowywał i wymalowywał w dwójnasób starannie i po dziesięć razy. Przy tej okazji poznał obyczaje domu, godziny jego i minuty, szmery i szelesty, przyzwyczajenia i nałogi osób, mowę zegarów, dźwięki i echa kroków, odgłosy drzwi i zgrzyty schodów. Wszystkie ta umiejętność zmierzała do jednego celu, do szczęścia duszy i ciała, kiedy tajemnie biegł po krętych schodkach na piętro. Stopy jego tęskniły do dywanu jej pokoju, nozdrza do zapachu jej perfum, ręce do niewymownej gładkości jej dłoni, a oczy do jej oczu, do dwu czarnych aniołów, osłonionych subtelnością cieniów, niby dwojgiem płochliwych skrzydeł. Tatjana tęsknotą swoją powiększała jego tęsknotę. Wiedział, że czeka za matowem szkłem drzwi. Mówiła mu nieraz, że w nocy częstokroć bardzo długo płacze, jeśli minął bezpłodny dzień, w którego ciągu go nie widziała. Nie mogła wytłomaczyć, czego płacze, gdyż nie był kobietą, a więc nie był w stanie jej zrozumieć. Była

nieraz skryta, podejrzliwa, nie wiedzieć o kogo zazdrosna. Wypytywała go o każdą, najdawniejszą znajomość w Rosyi, podchwytywała każdą wzmiankę o kobietach, które w mieście widywał. Nieraz zadawała mu umyślne katusze rozprowadaniem mniemanych swoich sympatyj, znajomości, tryumfów, wspomnień o dawniejszych zalotnikach, których w rzeczywistości lekceważyła, albo których wcale nie było. Często wśród śmiechu dokuczliwego, oczy jej zachodziły niestrzymanemi łzami, usta kurczyły się i zaciskały od cierpienia. Sztuczny chłód rozpryskiwał się nagle, bezsilne ręce stawały się łagodnymi podwójnie, oczy po tysiącokroć przypadały do oczu... Uczucie szczęścia, ufności, dziwnie subtelnej wiary przeistaczało się w obojgu przy najłżejszej zmianie zewnętrznych zdarzeń w szarpaninę tęsknoty tak natarczywej, że godziny pod jej wpływem stawały się wieloletnimi okresami, a całe dni były ponure, najeżone kamieniami nieszczęść, pełne niepokoju i upadku... Po spotkaniu, obfitującym w ufność, we wzajemną bezgraniczną otwartość dusz miłujących w sobie anielstwo, w szczerość serc aż do ich dna — następował dzień, zionący okrucieństwem, doba, jak mroczna przepaść, w której głębi, ni to chichot szalonego na dnie potoku, zdrada dawała znać o sobie. Snuły się sekretne karteczki, gdzie atrament w rzędach wierszy przyćmił się, a litery rozgniotły i rozpełzły od pocałunków głuchych, w szaleństwie bólu wyciśniętych. Pewna książka do czytania, leżąca pod poduszką i zmięta od wielokrotnych przytuleń do serca, stała

się książką miłości, tekstem jej i wykładem. Bywały sny całonocne nie o osobie materialnej, lecz o niematerialnym uśmiechu, o niebiańskim wejściu oczu czarnych, jak noc, a lśniących, jak słońce, własnym połyskiem. Tęsknota rodziła się z nagłą i znikąd, stawała w pełni swej bez powodu, przesycając wewnątrz wszechrzeczy, ziemię i niebo, unicestwiając radość życia, — a uciszała się i bez śladu ginęła od jednego uśmiechu...

Tatjana lubiła zbytek. Ona sama była jakby wyrazem przepychu, symbolem jego wdzięku. Suknie jej były strojne, cudnie zawsze dobrane, harmonizujące z jej piękną cieleśną. Jasnozielone, albo srebrnoszare pończochy, lakierowane buciki, wymyślny sposób czesania bogatych włosów, od którego głowa stawała się odmienną, wciąż inną, nieznaną owianą tonami ciemności, — rękawiczki, perfumy, — a nadewszystko tajne piękno haftów, obłokiem ją przesłaniających, które, jak baśń fantastyczną, w radosnych momentach miał szczęście poznawać, — wszystek ów nieznan świat narzucił Piotrowi niepokonaną swoją władzę. W duszy jego zakiełkowało nie dające się zdeptać i samo przez się rosnące uwielbienie piękna subtelności, wykwinu, który się sący ze zbytku, jak zapach z pięknie zdobionego flakonu. Nie umiałby sobie wyobrazić Tatjanę bez szelestów jedwabiu, bez zapachu, połysku i przejrystości. Zdarzało mu się widzieć ją napoły ubraną, otuloną, niby jutrenka, tylko we mgły i gazy, na tle śnieżnych poduszek — i taką pozostawiając...

stała w jego tajemnym śnie, jakby w falach subtelnej muzyki.

Pewnego dnia, w końcu marca, sama mu otworzyła drzwi. Skoro tylko wszedł, rzekła z uśmiechem:

— Matyldy niema.

— Wyszła?

— Wyszła na całe popołudnie.

Ujęła jego rękę swą śliczną dłonią i poprowadziła go ciemnym korytarzykiem. W tej drodze szczęśliwej nagle przycisnęła gorące wargi do jego ręki i wysiłkiem nie dała jej oderwać. Gdy byli już w pokoju, wspięła się na palce, objęła jego głowę rękami, szyję ramionami. Powieki jej były spuszczone, usta ponsowe i gorące. Wyszepiała:

— Nie bój się...

— A ty?

— Ja tego chcę...

— Cóż to będzie?

— Chcę mieć maleńką córeczkę, śliczną, z czar-nemi oczami. Będę ją karmiła, będę chowała...

— Tatjana!

Ale za chwilę trwoga przed zupełnem obnażeniem zmuszała ją do odpychania natarczywych rąk. Obejmowała jego głowę, owinęła ją rękoma, jakby pasmami płomieni.

Deszcz dudnił w rynnach i ściekał długimi strugi po dużych szybach, wiatr wył i skowyczał między topolami ogrodu. Zmierzch zapadał, lecz nie mógł pochłonąć bladości oblicza, na którym tkwił zastygły, jakby zamarty uśmiech szczęścia.

Twarz jej zwrócona była w stronę ściany. Martwe oczy znieruchomiały między powiekami bezsilnie półrozwartymi...

Piotr wymknął się, zanim Matylda wróciła. Zbiegł ze schodów i zdążył do siebie pustymi ulicami z sercem przesytem mieczem obosiecznym, którego ostrze miało dwie płaszczyzny — jedną szczęścia, drugą rozpacz. Osiągnął wszystko. Czuł, że wstąpił na ścieżkę wysoką... Obojętne domy, mury, parkany, ludzie obcy, pierwszy raz widziani, idący do swego pracowitego celu, — zdawało mu się, — zwrócili ku niemu spojrzenia z pytaniem: — cóż teraz? Usiłował odepchnąć to wszystko zdumiewającym i strasznym wspomnieniem. I tak się stało. Lecz za chwilę szczególniejsza, przerażająca sensacya szorstkiego zimna i pustki w sercu poczęła go napastować...

XII.

Po zrzućeniu ze schodów rewidującego pedagoga Piotr stał się bożyszczem uczniów p. Kozdroja. Gdy przechodził, usuwano mu się z drogi, nieznanymi chłopcy kłaniali się na ulicy, a zawsze i wszędzie witały go wesołe uśmiechy uwielbienia i oczy roziskrzzone od wdzięczności. Piotra gniewała ta sława przedmiejska, ale gniewała powierzchownie. W głębi polubił ją i przyzwyczyił się do swej wielkości.

W pierwszych dniach kwietnia, gdy był wieczorem sam w mieszkaniu, ktoś zastukał do drzwi. Po chwili wszedł jeden ze „spiskowców“, wysoki, szczupły blondyn z niebieskimi oczami. Był to główny winowajca, o ile można było wywnioskować z rozmaitych szczegółów. Wśród niezgrabnych ukłonów, czerwienień się i poblednięć, jękając się i bełkocąc nieumiejętnie rosyjskie wyrazy, uczeń ów wyluszczał jakąś prośbę. Piotr poprosił go do swego „salonu“, czyli do drugiej izdebki, usadowił na krześle i poczęstował papierosami. Uczeń tłumaczył szeroko i długo, coraz bardziej zawile, a nawet, — w miarę jak się uspokajał, — ze świadomą i umyślną zawilością, jakąś rzecz o książkach. Piotr

tyle mógł zrozumieć, że „pewne kółko“ gimnazjalne miało „pewną biblioteczkę“, — że, wskutek rzucenia ze schodów „Tapira“, odbywają się istne orgie rewizyjne w poszukiwaniu owej biblioteczki, gdyż „jeden podły“ — wsypał. Ponieważ zaś całe kółko może być wsypane, jeśli złapią biblioteczkę, a zniszczyć jej niepodobna, więc „kółko“ ośmiela się prosić, czyby pan porucznik nie raczył przechować owej biblioteczki w swej śpiżarni.

Propozycja taka nie była wcale przyjemna. „Pan porucznik“ nie miał zamiaru wchodzić w spółkę z tymi młokosami. Nie znał ich wcale, nie rozumiał, nie wiedział, czego chcą... Jednakże żał mu było „biblioteczki“ i wstyd odmówić podobnym frantom rzeczy tak drobnej. Po chwili wahania zgodził się na warunkach następujących: skrzynka będzie postawiona w otwartej śpiżarni bez jego woli i wiedzy; — sam śpiżarnię zamknie; — o fakcie przyniesienia skrzynki będzie wiedziała jedna tylko osoba, to jest sam petent.

Nazajutrz rano, zajrzawszy do śpiżarni, Piotr dostrzegł w jej rogu odrapaną walizę, związaną szpagatem. Przez ciekawość i dla powzięcia wiadomości, co też to za skarby mieszczą się w tej ściganej księżnicy, rozwiązał szpagat i, zamknąwszy się w komórce, przejrzał zawartość.

Była to najbezwzględniejsza zbieranina druków. Rzeczy cenne leżały obok ramot, nowe studia filozoficzne i prace z zakresu historyi obok starych śmieci i strzępów, poezye Mickiewicza, Słowackiego i inne obok dodatków powieściowych do jakiejś

gazety, przekłady z obcych języków obok starych, poźółkłych broszur politycznych. Niektóre z tych książek zastanawiały rozmaitością swego druku. Tytuły i pierwsze stronicie ich pochodziły skądinąd, niż zawartość środkowa. Jakaś, naprzykład, wnosząc z tytułu, powieść angielska bezimiennej autorki, a wewnątrz dzieje powstania listopadowego, spisane przez Mochnackiego, — albo — z wierzchu niby to jakieś nieplodne „Ziarnka“ i szczerze „Plewy“, wydane najcenzuralniej, a w środku poezye gorzkie i smutne, drukowane za dawnych lat w Lipsku, zaiste dla wnuków... Piotr zrazu przez ciekawość, a później z rosnącą pasyą począł czytać te tomy i świstki, — bezsilne, omdlałe poezye i szorstkie, krzykliwe, jakby z twardych patyków, gwoździ i drutów kolczastych ukręcone broszurki społeczne. Przejścia swe miłosne, troski, bóle, złamanie się i zatoczenia, od których niejednokrotnie dolatywał aż do brzegu przepaści, spędzał teraz w towarzystwie tych ściganych druków. Pocięszał się nimi, rozrywał, nieraz upajał. Ogień miłości zapalał ognie, zawarte w wierszach dawnych poetów. Płonęły nieznane dotąd wyrazy i, jak żywa muzyka, ozwały się precudne, dawne rymy. W dziwnych, napoły dostępnych słowach ledwie poznanego języka znalazł się wyraz dla tajnych kurczów, szlochów, westchnień i radosnych łez duszy. Zdarzało się teraz Piotrowi późno w noc, albo w rosyjskiem towarzystwie, powtarzać na pamięć dla uciszenia serca jakąś prawdziwą strofę niewiadomego dlań poety, wmyślać się, wwiadywać i wczu-

wać w skojarzenia dźwięków, które zdawały się wszystko wiedzieć, wszystko rozumieć aż do najtajniejszej głębin. Pisarze, o których istnieniu nie wiedział nic zgoła, stawali się towarzyszami czującymi, rzeszą braterską, co, jak chór, westchnieniem odpowiadał na każde westchnienie.

Niejasne wyrażenia mowy posiadały urok podwójny, wżerały się w serce rozplómięte od miłości, zahaczały o nie i nitowały z niem na zawsze. Z drugiej strony najróżnorodniejsze dziedziny myśli polskiej, uwięzione w szpargałach uczniowskiego kuferka, przemówiły do czytelnika nowego tysiącem ust. Piotr począł w gryzać się nocami w zagmatwane sploty umysłowania polskiego w dziewiętnastym stuleciu, — w dziwaczne narośle i przerosty, w czucia, które się stały myślami plemiennymi, w samoobłądy, które były i są najoczywistszemi lekarstwami od śmierci ducha. Zatapiał się w historye błędzeń ponad przepaściami Szalonego Orlanda Polski, w bohaterstwo i tęsknotę anielskich duchów — i w żywot martwego jej kadłuba, wężącego, gdzie jest żer i spokój, — w dzieje dwu potęg i motorów najgłębszych wszystkiego — pieniędzy i katolicyzmu.

Po upływie pewnego czasu wytworzył się od tego czytania w jego pojęciach, jako stan stały, — chaos, — w uczuciach — popłoch. Pragnąc znaleźć wyraźne dyrektywy, czytał coraz systematyczniej i uważniej książkę po książce. Kupił sobie szczegółowy i obszerny słownik polsko-rosyjski i nad niektórymi szpargałami prowadził formalne

studya. Wychowanie w sferze rosyjskiej, żołnierska od najwcześniejszego dzieciństwa prostolinijność dyscypliny i tresury, matematyczne podstawy rozumowania, rosyjska „pryncypialność“ w sposobie ujmowania zjawisk zewnętrznego i wewnętrznego świata — wszystko to nie pozwalało znieść, strawić i wchłoniąć zakresu rozbieżności i rozpylenia polskiej myśli, błędzającej, jak żywe srebro, między biegunami ekstazy i abnegacyi, — myśli bez steru i kompasu... Ilez to razy Piotr Rozłucki tłukł w jakąś książkę pięściami, i „rugał“ ją ostatniem, sobaczem, moskiewskiem wyzwiskiem, patrząc, jak się łamie, chwieje, błąka linia jej kierunku, jak siła jej pęka i leci, — sam szatan wie dokąd!...

Jedno w tych książkach polubił — to wieść o nieistniejącem, zapomnianem wojsku polskiem, — legendę o wodzach, co w wieczność odeszli z rozpaczą, „ręce załamawszy na pancierz“, sprawy swej nie dosięgnąwszy włócznią, przegrawszy wszystek swój zamysł wojenny. Polubił połamanych mieczów polskich szczęk o zardzewiałe pochwy, rozbitych ostrołęckich armat hurgot i łoskot, — konnicy zbieganej pod Grochowem tętent... Począł wmyślać się cierpliwie w klęski dalekie — dalekie, — głęboki dla nich poczuł szacunek — i żal...

XIII.

W pierwszych dniach kwietnia, powróciwszy z Warszawy, generał Polenow przywiózł pomyślne wiadomości: dla siebie znaczne odznaczenia, podwyższenie pensyi i kilkomiesięczny urlop, — a nawet dla swego pomocnika w przyszykowaniu wynalazku również awans i urlop z prawem wyjazdu za granicę. Generał niezwłocznie wybierał się w świat wraz z córką i jej towarzyszką mademoiselle Mathilde. Zaraz po powrocie, podczas pierwszego obiadu zaproponował od niechcienia Piotrowi, czyby nie warto odbyć wycieczki zagranicznej wspólnie. Piotr był zachwycony tym pomysłem...

W tysamym tygodniu wyruszono w podróż — przez Berlin do Paryża. Berlin sprawił na Piotrze nieoczekiwane silne wrażenie swą nowożytną kulturą wielkomięską, — widokiem tysiąca naocznych przejawów niezłomności rządzącej woli, — właściwościami postępowego wytwarzania, — mnóstwem dowodów nowo-niemieckiego industrializmu, który ogarnia i wchłania w siebie, a zarazem siłami swego umiejętnego porządku urabia w szeregi niemal woj-skowe żywioły dalekie i rozbite. Ale w Berlinie towarzystwo generalskie zatrzymało się bardzo krótko,

uchodząc cożywiej do zaprzyjaźnionej Rzeczypospolitej. Tatjana była już raz poprzednio, — bardzo krótko zresztą, — we Francyi, — Piotr nie znał jej wcale, generał bardzo pobieżnie. To też mademoiselle Mathilde i Tatjana stały się przewodniczkami. Piotr zamieszkał na lewym brzegu Sekwany w pewnym skromnym pensyonacie, — generał z córką w pierwszorzędnym hotelu na bulwarach, a Matylda umieściła się daleko u krewniaczki w okolicach placu Clichy. Na samym początku pobytu Paryż uderzył Piotra barwą i formą anarchii ulicznej, która się stała rutyną i skutecznie walczy z usiłowaniem wdrożenia nowoczesnego porządku. Zdziwiało i bawiło wszystko: stare wehikuły konne z woźnicą w lakierowanym kardynalskim kapelusiku, jak za czasów Balzac'a, — bezładne krążenie powozów, — handel uliczny na chodnikach, w budach nad ściekami obok najwykwintniejszych na świecie witryn na bulwarach, — niewiarogodne zaśmiecenie ulicy, — krzyk kamelotów i nastawanie przekupniów o zdecydowanym spojrzeniu... Poza tym zewnętrznym przejawem nęciło miasto bezdennej i nieskończonej pracy, wrzącej i wiecznej... Niewymowną rozkosz sprawiało wpatrywanie się w to rojowisko, jedyne na ziemi. Piotr błąkał się zrazu po ulicach we dnie i późno w noc, jeździł, wsłuchiwał się w rozmowy, chodził do wykwintnych restauracyi i nocnych kabaretów, zwiedzał muzea, biblioteki, galerye, kościoły, sale uniwersyteckie i koncertowe, teatry, więzienia, sądy i grobowiska. Po upływie pewnego czasu chaos wrażeń pierwiast-

kowych nie zginął, oczywiście, lecz jął układać się w luźne, lecz upodobniające się grupy i niejasna, senna mgławica syntezy wyłaniać się w myśli począła.

Zupełnie inne wrażenia przeżywała Tatjana, — inny widziała i poznawała Paryż. Spotkawszy się, zwierzali sobie zdobyte spostrzeżenia i formułowali zabawne syntezy. Uogólnienia Piotrowe nie trafiały do przekonania Tatjany. To, co ona zauważyła, co jej się przedstawiło, jako urok życia i kwiat jego, jedynie godny w tem mieście poznania, nie było dla Piotra obojętne. Przeciwnie — z opowiadań, a raczej z wykrzyków, z dowcipnie sformułowanych jej aforyzmów uśmiechało się nieznane życie, radość istnienia, wesele zewsząd wytryskające. Mówiła mu o cudach kapeluszy, z których najtańszy kosztuje kilkaset franków, o „kreacyach“ balowych i wieczorowych, o arcydziełach Worth'a i Doucet'a, o paltocikach i bluzkach, biżuteryach, „na których widok oczy ślepną“, o perfumach, przyborach, drobiazgach. Ciągnęła go na *Rue de la Paix*, gdy tam nad wieczorem ruch największy, gdy automobile, wielkie, jak lokomotywy, stoją dwoma rzędami wzdłuż całej ulicy po obudwu jej stronach, a środkiem przeciskają się spóźnione, dymiąc benzyną. Lubiła wałęsać się przed wystawami, wzdychać przed niemi i głośno marzyć, — raz wraz spozierać na kamienicę Paquin'a, całą ozdobioną kwiatami, na tajemnicze siedlisko Doucet'a. Zachwycało ją tam wszystko — śliczne kobiety, wykwintni panowie, armia lokajów bogactwa snująca się wokół,

wielobarwny blask biżuteryi, elektryczne światło, a nawet podniecający nerwy dym benzyny.

Widywali się codziennie w różnych miejscach i o rozmaitej godzinie. Tatjana nominalnie była pod opieką Matyldy, lecz ta opieka była czysto nominalna. Matylda wciąż spóźniała się, albo zawczasie wychodziła, dążąc do „krewnych“, do „kuzynek“, albo znowu do „ciotki“. Generał zwiedzał rzeczy wojskowe, urządzenia społeczne, czynił zaprzyjaźnione notaty w sposób wysoce dyplomatyczny i bajecznie ostrożny, co mu zabierało bardzo dużo czasu. Wobec tego Tatjana, pozostawiana w tym Paryżu tak bezlitośnie samej sobie, musiała szukać jakiejś opieki, a Piotr z konieczności poczuwał się do jej udzielania. Spotkawszy się o umówionej godzinie i w miejscu wiadomem, szli w to miasto czarodziejskie, znikali w niem, jak dwie małe krople w wielkim oceanie. Miłościwe i dobrotliwe nad wszelką pochwałę były dla nich dzielnice, place, bulwary — i tłum nieznanym, wśród którego się błąkali. Prastare, wąskie uliczki kędyś w okolicach Beaux-Arts, koło Odeonu, albo cmentarza Montparnasse — ileż ich szczęścia widziały! Czasem z mroku nocnego wysunął ze swego piedestału Voltaire szyderczo przekrzywioną głowę, albo na szczęśliwym szlaku miłości zastąpił Danton, ryczący w zgiełkliwe ulice swe pozwy tytaniczne... Te monstra ku innym jakowymś rzeczom unosiły myśli. Dumali tedy przed ich kadłubami, wyniesionemi tak nadzwyczajnie, wspominając, czego to od nich chcą, — czego się zawsze smuci biały Musset, albo

nad czem się tak głęboko zamyśla umazana od deszczu pani Sand, siedząc między tulipanami ogrodu... Po chwili jednak szli dalej, ażeby pośmiać się z przygody generała Ney'a, najwaleczniejszego z walecznych, co zginął od kuli rodaków, rozstrzelany przez francuskich żołnierzy w tem mieście, którego sławę roznosił po lądach dalekich i w stu z wrogami ocalał bitwach... Cieszyli się na widok budowli, wzniesionych przed wiekami, ze wszystkich rzeczy i zjawisk, radowali ze wszystkich spraw dawnych i terażniejszych, groźnie nastroszonych i zabawnie obdartych z powagi, a mówili istotnie tylko o sprawie własnej, wielkiej, jak Paryż, a nawet, — sumiennie rzeczy biorąc, — jak świat. Zdarzyło się, że tak wędrując swojemi światami, zabrnęli na bardzo odległą uliczkę Gracieuse i znienacka spostrzegli zjawiska niewiarogodne, widoki przerażające: czarne sienie, skąd wybuchał zgniły zaduch, izby za oknami zakratowanymi pełne nędzy i wstrętnego brudu, mężczyzn o groźnym i złowieszczym spojrzeniu, kobiety półnagie i straszne, wychudłe dzieci. — Uchodzili stamtąd w weselsze strony, w bardziej słoneczne okolice swej miłości. Tatjana chwyciła rękę towarzysza wędrowki i przyciskała ją do serca, ażeby prędzej mógł o nieprzyjemnych widokach zapomnieć...

Zdarzyło się, że przyszedł spóźniony pod okna hotelu, w którym czekała. Ujrzał ją w ciemności daleką, jak nieuchwytny cień. Wstrząsnęło nim niemal bolesne uszczęśliwienie. Zeszła pośpiesznie. Pomknęli przytuleni do siebie w zgiełkliwe bulwary,

na oślepe. Jakiemiś śpieszyli ulicami i zaułkami, mówiąc o swoich sprawach. Zeszli na szerszą przestrzeń w szczęście głębokiem i świadomem siebie, w najzupełniejszym zbliżeniu dusz i wśród najdoskonalszej wzajemnej spowiedzi. Kamienne baryery Sekwany zatarasowały drogę. Oparci o nie, patrzyli na czarną wodę, w której seciny czerwonych, zielonych, złotych i wielobarwnych świateł odbijały się ruchomo długimi zwojami. Nad tą migotliwą, ciemną wodą tkwiła wspaniale sylweta Luwru. Nad nim rozpostarła się łuna ceglasta głębokiego wnętrza Paryża, a jego niemilknący pomruk, warcząc od potężnego gniewu pracy, jakgdyby koło ogniste z miliona głosów utworzone, obracało się w groźnej łunie. Posępny statek, niby milczące widmo, — przepłynął po głuchych falach. W głębi ziemi huczały pędzące elektryczne koleje. Czasem doleciał do uszu łoskot ich biegu. Piotr i Tatjana zatopili się w kontemplację jedną we dwu osobach tego cudu nad cudy, — wielkiego, straszego i okrutnego piękna, jakie stwarza zbiorowe życie olbrzymiej nowoczesnej metropolii. Mówili o tem półsłowem, wyrażali to półgestem, jak wspaniałe mieli przed oczyma widowisko. Wspominali o ludziach, bezsennie pracujących na statkach, łodziach, w kolejach, fabrykach, warsztatach, sklepach.

Rozważanie czarodziejskiej nocy, w której łonie wre straszliwy trud, pogrążyło ich w milczenie. Usiedli na samotnej ławce, w cieniu liści płatanu i głęboko wdzięcznymi oczyma przypatrywali się ogromnej łunie, świadkowi o potędze żywota mia-

sta Paryża. Kiedyindziej wyruszyli na daleką wyprawę, aż na cmentarz Père-Lachaise. Błąkali się długo po wzgórzu śmierci, słuchając, jak szumią olbrzymie jego drzewa. Odczytywali na kamieniach napisy, wielkie imiona Francji... Ciasnemi uliczkami wspinając się półkolem w górę wśród tego miasta zbudowanego z mogił, dotarli do grobowczyka Chopina. Napróżno Piotr mówił towarzysze o tej sławie polskiej, o tym jedynym gońcu, który przyniósł światu najdokładniejszą i nigdy niezapomnianą wieść o piękności i nieszczęściu swej ziemi. Tatjana słuchała z litością, ponieważ on to jej mówił, zgadzała się z nim uczuciowo, bo tak chciał. Wkroczyli na najwyższe wzgórze. Objąwszy się w pół w tej samotni, gdzie nie było nikogo z żywych, a wokół spał niezliczony zastęp zgasłych, który — o, dziwne wrażenie! — zdawał się przez sen uśmiechać do ich miłości, — szeptali pod błogustym szumem drzew o czarodziejstwie szczęścia bytu, który jest w nich, o dziecku jeszcze nie poczętem, które już ponad wszystko kochali. Wśród tego bezmiaru wielkości zgniłej, sławy strąconej, bogactwa pożartego przez robactwo nieśli uśmiech swój, bezmyślne swe szczęście, radość kwitnącej urody — najwyżej, skąd widać Paryż w dymach i mgłach. Usiadłszy tam, spoglądali na te dwa niezmierne w przestrzeni mrowiska — jedno martwe, drugie żyjące. Tam, kolumna Bastylji, — czegoś symbol, tam dalej na wzgórzu — Panteon. Uśmiech ich unosił się ponad temi znakami, jak gołąbek,

niosący gałązkę oliwną wszystkiemu, co oczy objąć mogły, co myśl mogła ogarnąć.

Najchętniej wszakże wymykali się za miasto małym stateczkiem — w górę rzeki do Charenton, albo z prądem cichej Sekwany do Saint-Cloud. Statek przebiegał między nawałą domów, sunął niepostrzeżenie pod mostami, dając możność napatrzenia się do syta pracy ludzkiej. Siedząc obok siebie, jak na dziwowisko spoglądali na czarnych ludzi, niby w tańcu cudacznym biegających około wind, potwornych gzygzaków, co jak znaki pytające z ulic miasta wykręcały się profilem ponad spracowaną rzeką, — na morza beczek, składy towarów, tworzące nowe wybrzeża, i na mrowie pracujące. Ale wydostawszy się z dymów i kurzów na błonia i między drzewa, chętnie zapominali o mieście. Szli, objąwszy się rękoma i duszami, w świat zieleni, kwiatów i traw. Otwierały się na ich przyjęcie tajne, wpółokrąg idące alejki, gdzie młode drzewa, nawisłe w sklepienia, zasłaniały od świata, ażeby można było na śmierć się zajął wywać w usta i w oczy.

Opar łagodny wstawał po deszczu w lesie Vincennes, sztuczny potok szumiał wśród kamieni, a łaskawa aleja wiodła dalej, wciąż dalej od świata i przechodniów, od odgłosu automobilów i poryku bicyklów. Rzecz dziwna — i w Saint-Cloud były podobnie uwodzicielskie aleje. Prastare, uśmiechnięte drzewa stały bez ruchu nad drogami zarosniętymi trawą, — pnie ich odbijały się w ciemnej wodzie basenów. Rumiana zorza pozłacała obłoczki,

płynące ze ślicznych pól nad miasto zadymione. Była tam pewna samotna ławka, jakby zapomniana przez ludzi, jakby darowana przez Opatrzność, która przewidziała ich wielkie szczęście i tę w jego dziejach chwilę. Szli w głuchym parku sami jedni na górę, która była górami miłości, przez ciemniejący las, który się stał lasem świętym. Znaleźli na bulwarach pewną cukiereńkę, gdzie były najsmakowitsze, neapolitańskie lody, gdzie można było widzieć sławy literackie, oraz najszykowniejsze kokoty. Gdy zanosila się kawiarniana muzyka, a wesoly i rozbawiony tłum przesuwal się nie tylko po chodniku ulicy, lecz i przez sale kawiarni, Tatjana stawała się przepiękna, jak sen, lecz zarazem niezrozumiała, jak sen. Twarz jej przenikał wyraz szczerzejniejszy, lubieżny, jakby na nią padał urok, zadany przez wykwintne kokoty z umalowanemi na karminowo ustami... Oczy jej płonęły, jak bezcenne brylanty, ruchy były podniecone, — niewiarogodne słowa padały z tych ust tak jeszcze skromnych, — myśli wyuzdane rodziły się z niczego, powstawały znikąd wśród spokojnych dotąd poglądów. Lubiła wtedy strzelać na wsze strony oczyma i zbierać ku sobie, jakby zgarniać na kupę spojrzeń wszystkich, nie wyłączając grajków kawiarnianych, — ażeby natychmiast z szalonym śmiechem ofiarować owe łupy w prezencie Piotrowi, — a zarazem nieznacznie, niepostrzeżenie, pod największym sekretem, w ekstazie miłości pochwycić tajemem podejściem jego rękę, wpić się w nią wargami na nienasyconą chwilę, z upojenia przymykając powieki.

Nie mógł jej się wtedy oprzeć. Cokolwiekby chciała zrobić, godził się na wszystko. Co więcej, lubił sam podsuwać jej myśl o tej kawiarni, — namawiał, ażeby w tajemnicy przed Matyldą i generałem wymknąć się z domu i gnać do ulubionej skrytki.

Pewnego popołudnia byli na koncercie Colonne'a. Generał siedział na przodzie łoża, Tatjana obok niego. Piotr w głębi. Orkiestra grała heroiczną symfonię Bethowena. Stary generał poczuwał się do obowiązku słuchania w skupieniu ze względu na osobę wojownika, Bonapartego, który czynami swemi natchnął, pono, twórcę do podjęcia i wykonania nieśmiertelnego dzieła. Tatjana była roz-targniona. Rzucała oczyma po wielkiej sali Chatelet, natłoczonej zadumanemi głowami. Ale oto po części pierwszej, — jakby po rozległych i szalonych dziejach czynu, — wśród ciszy dała się słyszeć druga, — dzieło boskie, — w którym materyalne instrumenty przemawiają nie materyalnemi głosami, lecz elementami duszy człowieka — o śmierci. Wielekroć powtarzająca się melodia kroków zmierzających ku wrotom wieczności rozwarła ich polowice i ukazała sprawę śmierci, — dzieło jej niszczycielskie. Zachwiała się melodya, jakgdyby człowiek ogarnięty przerażeniem, spadła z piedestału mocy swej i jęła tarzać się w boleści, u nieubłaganego progu. Słysząc w niej było, jak szła ręce zapuszcza we włosy, jak jęk zamiera, jak serce wzdryga się i pęka od widoku bezlitości. Zdała pochodem nadeszły kroki nowe, idące w tęsamą

drogę. Zbliżyły się i zdeptały ból jednego człowieka. Przeszły po nim.

Tatjana z wolna poczęła przysłuchiwać się tej muzyce. Głowa jej pochyliła się nieco na bok, jak u nasłuchującego zwierzątka, oczy zagasty. Uśmiech nieznamy osiadł na wargach. Jednolita bladeść powlekła czoło i lica. Nozdrza zeszywniały w trudnym oddechu. Niepostrzeżenie wyciągnęła w stronę Piotra rękę. Gdy ujął jej dłoń, ścisnęła go z całej siły i przywarła palcami do jego palców na cały czas trwania wzniesłego dramatu drugiej części bohaterskiej symfonii. Gdy ta muzyka — „do dyabła“! — ucichła, Tatjana, nie podnosząc wzroku i nie tracąc tegosamego uśmiechu, rzekła cicho do Piotra:

— Mam ci coś powiedzieć...

— Słucham.

— A kiedy przestałbyś mię kochać...

— Czy tak?

— Napewno.

— To powiedz! Zrobimy próbę.

— Niebezpieczna to byłaby próba.

— Cóż to takiego?

— Nie śmieć się!

— Nie można się śmiać po tej muzyce.

— Przeklęta jakaś muzyka! Jakby kto ścisnął za gardło.

— Taniu, czy tak? A ja marzę, żeby się jeszcze raz ozwały te chóry skrzypiec i ten po nich marsz! To jakby wszystkie wojska ziemi niosły na ramionach zwłoki bohatera...

— Dla mnie to nie tak. To było, jakby ohydny kat zdierał ze mnie suknię i krwawą garścią chwycił mię za włosy. Tu kat, a tam w tej muzyce, za żelaznymi drzwiami siedział car Iwan Groźny. Drzwi się miały lada moment otworzyć... I nagle ta cisza. Wtedy to ów nieopisany dźwięk. Te skrzypce... I znowu cisza. O, Boże!

— Ale teraz już przeszło nieprzyjemne wrażenie?

— Kiedy to jest co innego! Nic nie wiesz. Nie rozumiesz wcale, co ja mówię. Możesz wyobrazić sobie cara Iwana Groźnego, jak siedzi na złotem krześle za żelaznymi drzwiami?...

— Powiedz!

— Później... — szepnęła.

Po wyjściu z koncertu śpieszyli przez zatłoczoną ulicę Rivoli, szarpani i popychani na wsze strony. Piotr znalazł się obok Tatjany. Zapytał:

— Powiesz mi teraz?

Znowu ten osobliwy uśmiech przemienił się w bladeść i zastygł na wargach. Już podniosła oczy i, zda się, zebrała myśl, żeby powiedzieć... Nagle rzuciła ostro i z gwałtownością:

— Ależ nie! Głupstwo. Nie warto mówić. To tam było jedno takie.

— Nie powiesz?

— Nie. Nie powiem. To nic ciekawego. Było, minęło i niema.

— Kogo kochałaś?

Roześmiała się nieprzyjemnie i z góry, jakoś pogardliwie spojrzała na Piotra.

Urażony zamilkł.

Zdarzało się, że zmuszała towarzysza do opowiadania wszystkiego o przeszłości, a szczególnie do wyjawienia marzeń o kobietach i opisu stosunków z niemi. Wysłuchawszy zaś wszystkiego z pozornym spokojem, a nawet z łobuzerskim śmiechem, naraz popadała w płacz, w szlochy pełne jęków z dna duszy, długich i niepocieszonych. Zazdrościła o każdy dawny uścisk, o każdy pocałunek, oddany przez Piotra owym nieznanym „łotrzycom“. Z płaczu wyłaniała się później zabójcza pogarda, gniew, pasya, furja. Potrącała go ze wstrętem i odrzucała od siebie, biła weń insynuacyami i podejrzeniami, umyślnie zaznaczając, że jest niemiły, brutalny, ordynarny, brzydki. Mijały godziny, nim się uspokoiła i nim ucichło w niej to groźne morze duszy. Ale i on znał dobrze szpony zazdrości. Często wałęsał się w ulicach, pod jej oknami, czyhając na urojonego rywala, choć w głębi duszy wiedział, że takiego niema na świecie. Często mierzył piędź po piędzi tęskniącą zazdrość, rozpiętą na dźwiękach długich godzin oddalenia, zaiste wplecioną w koło doby, dzielącej oczy od widoku ukochanego oblicza, usta od ust i zakochane słowo od jego echa w ustach różanych. Zmiany niepojęte i tajemnice kryły się w usposobieniach jej i w natężeniu jego tęsknoty. Lubili badać w sobie owe zmiany, wpatrywać się w te, jak gdyby krajobrazy swych uczuć tajemnych. Nieraz po nocy bolesnej, pełnej strzyg zazdrości i zmor tęsknoty, kiedy żmija wewnętrzna

wysysała wszystką krew serca, przyszedłszy rano, znajdował ją stęsknioną i jak gdyby jaśnie-wiedzącą o tem, co z nim w nocy było. Kiedy indziej cisza i pogoda serca trafiała na jej ponury gniew, niby na nieubłaganą karę za godziny wewnętrznej cichości. Uczucia były tak wszechwładne, że twarze stawały się od nich uroczyste, jasne, pogodne, — lub ciemne, pożółkłe, okrutne, jak twarze widm z niewiadomej tragedji. Zawsze jednak, wśród wszelkich uczuciowych zmian, miał uroczyste nie-wrażenie, lecz ugruntowaną pewność, że jest obok niego potęga, siła z życia wytryskająca, istota zdrowa, niezwalczona, sama przez się i dla siebie. W duszy Tatjany, w jej umyśle, postępowaniu, w dziwacznych zmianach jej woli, w jej chęciach, pożądanjach, marzeniach dokonywało się jak gdyby zrealizowanie potężnego zamysłu. Wszystko w niej było dokądś dążące, samo dla siebie i świadome swego celu, który osiągnięty być musi, — wszystko było jej własne, jej znane, idące w drogę wiadomą. Piotr zdumiewał się użyczeniu losu, że on jest wybranym tej kobiety, jej, która jest siłą najbezwzględniejszą i najsubtelniejszym pięknem życia. W tem, co ona lubiła, malowała się zawsze istotna wartość i przydatność zjawiska, — to było właśnie faktem i prawdą, siłą i wdziękiem. Jeżeli spojrzała na dzieło sztuki, lub przedmiot jakiegokolwiek porządku, — oceniła go zawsze istotnie i z niewymuszoną trafnością.

Lecz nie lubiła dzieł sztuki, a właściwie nie przykładała do nich należytej wagi. W Luwrze

podobał jej się Tycyana młodzieniec w rękawicze i podobał w sposób tak wyjątkowy, że Piotr był o niego zazdrosny. Lubiła rysunki, ryte na etruskich zwierciadłach, Fragonarda i Salome Bernardina Luini'ego....

Żadne zjawisko znane, żadne dzieło sztuki, ani najstarszy przejaw pracy wieków — jej nie imponował. Wszystko, cokolwiek spotykała na drodze — instytucje, pomniki, rzeczy czczone, jako skarby, były nie to obojętne, lecz służyły do odebrania własnego jedynie wrażenia. Paryż, z jego przeszłością, z gmachami i muzeami, siedlisko nauk, postępu i sztuk, był czasem zabawką jej myśli, czasem w chwilach łaski i wzruszenia przedmiotem kontemplacji. Ona nie była dla żadnego z tych ludzkich dzieł. Jedyny i istotny zachwyt czuła dla modnych „kreacyi“. Uwielbiała żywe życie. Kiedy nad wieczorem znaleźli się we wrzaskliwym kotle bulwarów — czuła się najlepiej. Ideje, uogólnienia, spostrzeżenia Piotra nużyły ją, a nawet sprawiały szczególniejszą przykrość. Nie mogła pojąć jego stanu duszy, rozterki i targaniny wewnętrznej. Nachylała się siłą woli, patrzyła w jego świat, wyciągając słuch, ale nie mogła tej jego dziedziny uczynić własną. Czasem zadawała pytania, albo, co gorsza, głosiła opinie, które go doprowadzały do głębokiego smutku.

Wybuchwały wtedy sprzeczki i scysye. Umiała być niewzruszenie twarda, nieubłagana i nieugięta, — gryzła wargi i miotła groźne spojrzenia. Wiedział dobrze, że gdyby nawet skonał u jej

stóp, pewnych w niej usposobień nie wytępi, chociaż przez bezgraniczną miłość robiła wszystko, co było w jej mocy, i niemal uczuwała wszystko, czego chciał, co czuć kazał. Pojmował dobrze, że tego w niej niema, a co jest, przezeń jest stworzone. Nie mógł zupełnie zwalczyć jej oporu. Siłą uczucia mierzył twardość opoki, na której wyrosło wszystko, co nią było. To też pewnego dnia, kiedy nie mógł jej widzieć, poszedł sam do Notre-Dame i długie tam przepędził godziny. Obok posągu Opiekunki miasta ustawiono podówczas posąg Joanny d'Arc. Posązek był ordynarny, wcale nie artystyczny, zwykły, z białego marmuru. Piotr wpatrzył się w ten posąg, wmyślił w dzieje Joanny — i oto z jego serca wybuchnęło błaganie do bohaterki, ażeby jej dusza ocknęła się w duszy Tatjany. Nie wiedział, czego chce, co czyni, nie przypuszczał nawet, że się modli. Nie zdawał sobie sprawy, do jakich dzieł chce Tatjanę podźwignąć, zagrzać i popchnąć, — ani o co mu chodzi. Był jak niemowa, usiłujący wymówić całe zdanie, albo jak idyota, któryby chciał zbudować nieskazitelny syllogizm. Wpatrywał się gorejącymi oczyma w postać dziewicy, zakutej w pancerną stal, i błagał usilnie o przemienienie duszy Tatjany w duszę Joanny d'Arc. Nikogo nie było w olbrzymim kościele. Panował mrok, w który sączyło się fioletowe światło z kolistego witrażu. Piotr czuł, jak gdyby był wrośnięty w kamienną posadzkę, a pragnął podnieść się, podźwignąć w górę. W chwili tej nieobecną Tatjanę miał na swej piersi i obejm-

mował ją rękoma ducha. Długo tak nadaremnie płonął przed kamiennym posążkiem.

Chwila ta zginęła zresztą bez śladu w powodzi innych, wśród momentów radości, krótkich jak błyskawica, i długich mroków smutku. Widywali się w dalekiem mieszkaniu mademoiselle Mathilde. Jednego dnia, przyszedłszy na miejsce o naznaczonej godzinie, zastał pokój pusty. Czekał... Był już mrok. Świeca płonęła na stoliku, zarzuconym książkami i drobiazgami. Ruchomy blask odbijał się w lustrze kominka i szafy, niecąc wokoło jakby widomy, drgający obraz bezsilnej tęsknoty, co narywała w sercu. Huczało wielkie miasto. I ten huk zdawał się być w sercu, w duszy targanej od niepokoju. Ręce czepiały się ulubionych sprzętów, w których miłość była utajona. Każdy szczeł drzwi, odgłos na schodach wprawiał we wzmożony stan męki czekania. Minęła jedna i druga godzina. Nareszcie rozległ się łoskot otwieranych drzwi i odgłos ukochanych kroków.

Wróciła. Jak strzała puszczona z cięciwy, tęsknota uderzyła w jej piersi. Skargi, szyderstwo, podejrzliwość, nagle twarde postanowienia i jeszcze bardziej nagle upadki do nóg.... Tatjana była milcząca, nie chciała oddać pocałunku, drwiła i raz wraz cisnęła opryskliwe zdanie. Po długich prośbach na klęczkach dowiedział się, że była w sklepach. Nie wierzył. Sztylet podejrzewania wrzynał się w serce. Szczególnie uśmiechnięta, półobrócona, drwiąca wyznała wreszcie, że poszła do kościoła Saint-Germain-des-Prés. Nabywszy świecę, posta-

wiła ją przed posążkiem Matki Boskiej w bocznej nawie z modlitwą za Piotra, za jego zdrowie i za wszelkie dobro, — z prośbami pokornymi o pewne łaski miłości, iżby się stało to, czego pragnęła w tajemnicy dusza. Klęcząc przed Tatjaną, Piotr ujrzał w niejakiem widzeniu zczerniały posążek i rzędy świec, płonących przed nim. Tatjana była prawosławna, on nijaki, nie wierzący. A oto teraz ujrzeli oboje, schyliwszy ku sobie głowy i stykając się czołami, siłę kamienia, który wszystko zdawał się wiedzieć w tej niewiadomej, ciemnej jak głębocka noc, zagmatwanej sprawie miłości. Był tedy ktoś, kto mógł pomóc w męce dusznej, poradzić w obłąkaniu, popchnąć na drogę niewidoczną zgoła w tej niezgłębionej nocy miłości. Piotr podniósł oczy na posąg daleki i pragnął sam doznać wskazania, doznać tego, co prosty lud od tylu wieków nazywa „nieustającą pomocą“. Zdumiewał się zarazem nad koncepcją tego złudzenia, że mogłaby być siła, któraby miała powszechną świadomość nie tylko tego, jak jest, — małe zawile wewnętrzne szarpania, słodkie aż do śmierci omdlenia, nad którymi nie panuje rozum ni wolna wola, — męczarnie i radości ekstatyczne, okrutne, zabójcze, — lecz nadto mogła wiedzieć, jak trzeba.... Tatjana mówiła cicho:

— Słuchaj mię.... Modliłam się na kolanach, żeby Ona dała mnie niegodnej, ażebyś ty wreszcie polubił samo życie, ażebyś pokochał wolność i rozkosz bytowania dla siebie, żebyś przecie spostrzegł miękość, radość i piękność. Prosiłam się Jej, żeby

ci dała przejrzeć i widzieć świat dla nas stworzony, radosny, — żeby twoją duszę raczyła zdjąć z tych okrutnych haków, na których ją rozpinasz.

— Taniu! — wyszeptał, wspomniawszy swoją modlitwę. Tulił ją w ramiona, usiłując pochłonać w pocałunkach, wcielić w swe serce, zmieścić w sobie, pokonać duchem i zamknąć w swych piersiach.

— Prosiłam się, żeby twoja polska ponurość i twardość zelżała, żeby się uśmiech w tobie narodził, żeby na ciebie pierwszy powiew wiosny przyleciał, żeby ci słońce zaświeciło w duszy....

Innego dnia biegł po zachylających się schodach nie jak człowiek żywy, lecz raczej jak chmura niesiona od wichru i wichrowi jedynie posłuszna. Pociągnął za dzwonek.... Skoro otwarto, minął korytarz i trafił do drzwi, ukrytych w ścianie. Stojąc przed nimi, doświadczał uczucia, jakby się wciełał w głąb swego jestestwa. Ściana, oddzielająca pokój Tatjany od korytarza, była cienka, oklejona bladoniebieskim papierem. Dalej był już ślepy mur sąsiedniego gmachu. Piotr miłował ten pokój, świątynkę na ziemskim globie, gdzie przebywała bogini. Kochane były tam wszystkie sprzęty: szafa na suknie, stół, krzesła, a nadewszystko wielkie lustro nad kominkiem, które w tafli swej miało obraz precudnych kształtów i niebiańskich zdarzeń, a zatopiło te widoki w sobie, w lśniącej, uśmiechniętej tajemnicy. Nieme lustro, jak natura, nie znało wspomnienia, litości i marzeń, — jak niezbadany los, gotowe było nanowo ukazać w ca-

łym jej przepychu rozkosz, albo zapomnieć o niej, nie odtworzyć już nigdy i milczeć o jej istnieniu aż do skończenia świata...

Gdy Piotr wsunął się, a raczej wkradł do pokoju, Tatjana nie wybiegła, jak zawsze, na powitanie jego ust i ramion. Stała wśród pokoju bezradnie, blada i ocieżała. Skoro się zbliżył przełknięty, szeptem wyjawiała mu, że nie spała przez całą noc, że usnęła dopiero o siódmej rano i to na krótko. Na tysiączne pytania o przyczynę odpowiadała milczeniem, albo monosylabami, które nic nie tłumaczyły. Wreszcie na gorące prośby, które zanosił, klęcząc u jej kolan, wyznała, że o północy przełękła się i w drzeniu okropnem przetrwała noc.

— Czegóż przełękłaś się, Taniu? — dopraszał się po tysiąc razy.

— Ktoś się dobijał do mnie.

— Tutaj? O północy? Ależ przecie obok śpi generał...

— Tak, śpi. Ale cóż z tego?

— Może jakaś pomyłka?

— Nie. Ten, co się dobijał, nie pomylił się, wiedział, gdzie mnie szukać, — rzekła z tak męczeńskim uśmiechem, że Piotr zdrętwiał w sobie.

— Któż to więc był?

— Nie wiem.

— A skądże wiesz, że to ktoś taki, co się nie pomylił?

— Bo wiem.

— Więc wiesz i nie wiesz?

— Tak, wiem i nie wiem.

Schyliła się, zwinęła w sobie i siedziała na łóżku z głową ukrytą w dłoniach. Włosy jej były rozkudłane, gruba chustka okrywała ramiona. Było coś nad wyraz bolesnego w tej niezmiennej postawie. Nie mógł posadzić jej na krzesło, ocucić, dźwignąć. Wracała wciąż do swej dziwacznej pozy. Gdy podniósł jej głowę i zajrzał w oczy, zobaczył twarz bladą, bez wyrazu żadnego, a oczy martwe i zimne. Nic nie mówiła, — a jeśli wyrzekła jakie zdanie, było obłudne, albo bezmyślne. W pewnej chwili z za włosów, które jej twarz zasłaniały, rzekła w pełni rozumu, tonem, który zdradzał głęboki namysł.

— Jeśli mi dasz dziecko, to się już nie będę bała.

— A czy to nie pierwszy raz tak się boisz?

— Nie pierwszy.

— A kogo się ty boisz, kogo?

— Jednego.

— Wyznaj mi!

— Nie mogę.

— Przysięgnę ci, że ja potrafię wyrwać z ciebie tę obawę!

— Nie potrafisz.

— Ja nie potrafię?!

— Daj mi dziecko...

— Nie rozumiem cię...

Chwyił ją za rękę, objął ramionami, jak skarb swój — i prosił się:

— Powiedz, kogo się boisz!...

Milczała podawnemu. Milczała długo, okrutnie,

złowieszczo dla siebie i dla niego. Wreszcie nieproszona rzekła sama:

— Jeden tu do mnie przychodzi.

— Kto? — szeptał Piotr.

— Jeden.

— Jakże wiesz, że przychodzi?

Podniosła zniecka głowę i rzekła, wskazując na drzwi:

— Wczoraj te drzwi zaczął szarpać. Z dziesięć razy szarpał. Cała ta ściana trzęsła się, gdy tak targał... Boże! — jęknęła w boleści, rozglądając się zgasłymi oczyma i zwolna, bez sił opadając na posłanie.

— Ależ to przeciąg, wiatr ruszał te drzwi!

Milczała.

— Mówże, Taniu!

— Czego ty chcesz?

— Skąd ci to przyszło do głowy, że ktoś mógłby się do ciebie dobijać? Dla czego?

— Ja wiem dla czego i on wie, dla czego.

— Któż to taki? Na Boga, któż to? Powiedz!

— Nie powiem tego nigdy, nikomu, nikomu!

— Aní mnie?

Podniosła ramiona ociężałym ruchem, pełnym miłości, oplotła mu szyję i głowę jego przytuliła do piersi kochającej, w której gwałtownie biło wzburzone serce. Prosiła błagalnie:

— Nie żądaj tego wyznania. Nie mów o tem do mnie. Proszę o to przez naszą miłość...

— Dobrze, już nie powiem ani jednego słowa. Ale uczyn tak, gdy cię ogarnie obawa, a mnie

przy tobie nie będzie. Przytul się, jak teraz do mnie, do mojej duszy. Przyciśnij mię do swego serca, jak teraz. Ja będę z tobą nazawsze, aż do mej śmierci. Zasłonię cię! Ja jestem mężny, za ciebie potrafię umrzeć i każdego wroga zwyciężę!

— Tego wroga nie zwyciężysz... — rzekła z bolesną pewnością, kiwając ciężką głową.

— A czy nie mogłabyś powiedzieć mi przynajmniej, czego on od ciebie chce?

Zadrzała wszystka, jak młoda brzoza u samego odzienia uderzona ostrą siekierą. Zęby jej szczykały, palce były, jak sople lodu. Z oczu spadły strugi obfitych łez i znagła obeschły. W żrenicach została szklista suchość tchórzostwa. Mówiła przyciszonym głosem szczerzej prostracyi:

— Nie wiem, czego on chce. To tylko wiem, że szarpał drzwi. Tak szarpał, że zasówka wyginała się, a cała ta cienka ściana... Między futryną i drzwiami już była szpara! Gruz się sypał za tapetami, suche pacyny spadały koło łóżka...

Skurczyła się, znowu przywarła całym ciałem do Piotra z tak bezdenną boleścią i tak wstrząsającym jękiem, że przeniknęło go zimno boleści jakby mróz z zewnątrz, z jej ciała wypływający. Uczuł jej boleść w sobie i zimno jej serca z wolna przenikające do swego serca. Podniosła głowę i zapytała z cicha:

— Czy ty lubisz tych polaków?

— Skąd to pytanie? Na co ci taka odpowiedź, Taniu?

— Tak, — pytanie...

Zamilkła i, zdało się, w objęciu jego usnęła. Ale po westchnieniu znać było, że nieszczęście w niej czuwa i działa.

— A może to jest jaki umarły ten, co do ciebie przychodzi... — rzekł Piotr z bezmyślną ironią. Nie odrzekła nic. Westchnęła.

— Przynajmniej to mi wytłomacz...

Rzuciła z nakazem:

— Nie mów!

Po długiej, długiej chwili znowu podniosła głowę i zaczęła prosić się z głębi serca szeptem miłym, zwierzeniem najszczerzem, ujętem w bezmyślne słowa:

— Daj dzieciątko... Daj córeczkę czarnobrewkę, czarnowłosą... Daj dzieciątko... Będę ją po nocach trzymała przy piersi, będę ją tuliła na sercu. Serce ucichnie... Ja już słyszę jej płacz... Daj dzieciątko.

Naogół biorąc, Tatjana była uparta i skryta. Jeśli nie mogła pojąć chaosu duszy Piotra i wyrwijających się zeń słów i zdań, nosiła w sobie podejrzenia albo ból i, nie mogąc im dać rady, wymierzała na winowajcy jakby zemstę. Zaprzeczała dawno ofiarowanej łasce, cofała przyrzeczenia, które już oddawna były skarbem obojga. Dopiero w chwilach najwyższej ekstazy, łaska wracała i wynurzało się wyjaśnienie, komentarz do tajnego źródła niełaski. Odsłaniała się znowu prawda, a odblask wewnętrznego jestestwa duszy pokazywał się w promieniach radości. Podówczas stawała się znowu dobrą i nagradzała zadany ból w sposób królewski, ze wzniosłą szczodrobliwością. Szczęście stawało się

coraz bardziej ciche, bezsłowne, oniemiałe, zastygłe w jakimś kwiatku uwiędłym, w szczególnym pocałunku, w nazwie imienia, wynalezionej genialnie, w uśmiechu. Wówczas podnosili się wzajem ku sobie i stawali duchowo bliscy. Tatjana wpatrywała się w jego oczy i wyczytywała w nich myśli, jakby były za pomocą liter i słów utrwalone, spostrzegała w nich piękno i wzniosłość...

XIV.

Podczas drugiego miesiąca pobytu generała Polenowa w Paryżu przez jego salon przewijać się począł korowód francuzów. Byli to przeważnie majsterkowie interesu, dziennikarze, polujący na materyał do plotek o Rosyi. Bywali jednak i artyści, literaci, muzycy. Niemal każdy z nich zostawił u stóp Tatjany daninę spojrzeń, cichych westchnień i wykwintnie zamaskowanych wyznań. Jej to pochlebiało. Lubiła te francuskie hołdy. Ten i ów z przygodnych wielbicieli otrzymał jej powłóczyście spojrzenie, inny chwilę dłuższej rozmowy. Pewien redaktor artystycznego pisma wyjechał nagle do Szwajcaryi w obawie o losy swego serca. Pewien komedyopisarz obdarował ją swemi dziełami, zbogaconemi kwiecistą dedykacją. Pewien młody artysta zaczął malować jej portret. Chodziła sama do jego pracowni pozować. Piotr odprowadzał ją do drzwi pawilonu w ogrodzie i czekał. Serce ścisnęło się w nim i dusza zamierała na rogach ulicy, gdy się tłukł, jak ptak z wykręconemi skrzydłami, nagle złapany z wolnego powietrza miłości i z przestworów szczęścia w ciemność zdradzieckiego potrzasku. We wzroku upadłym na zie-

mię śniły się przeraźliwe widziadła. Cóżby za to dał, żeby wzrokiem tym przebić ogromne ściany i ujrzeć, czy prawdą jest, co podsuwała wyobraźnia, — i jeżeli to prawda, zadać duszy własnej ostatni i nieomylny cios. I oto nagle Tatjana wychodziła wesoła, rozbawiona, pustująca, pełna jakby nowego blasku i zapachu. Wszystko znikało, jak mrok wobec światła. Jej wonne ręce, radosne oczy odpędzały wszelki smutek. Zanosila się od śmiechu właśnie z Piotra. Piąte przez dziesiąte opowiadała, co to jej nawyznawał malarz. Raz zwracała uwagę Piotrową na redaktora, jako tego, który „rzeczywiście“ mógłby być uważany za „coś“, — to znowu tajemniczo wspominała o komedyopisarzu... W trakcie tych zdarzeń jednej nocy Piotr długo nie mógł zasnąć. Postać malarza, którego zresztą nigdy na oczy nie widział, lecz wady i zalety znał z opowiadań Tatjany na pamięć, snuła się w mrokach snu, jak doskonale wyraźne widziadło. Spostrzegł oto Tatjanę, rozmawiającą z człowiekiem nieznanym, który do niego, widza, tyłem był odwrócony. Widział miłosny wzrok Tatjany zwrócony na twarz tamtego człowieka. Patrzał tak długo na jej oczy, które były jego własnymi, jego szczęściem, jego życiem — oddane cudzemu wzrokowi... Straszliwa siła snu zdawała się przebijać wielkie mury, wyważać zamknięte drzwi, otwierać okna i ukazywać, co się za nimi działo. Z tych bolesnych jasnowidzeń, od rozmów, w sposób dyabelski podsłuchanych, unosiła go siła łaskawsza i powracała w stan niewiedzy. W męce sennej podejrzliwości i na istnym ruszcie

wyolbrzymiałych trwóg — smażył się do rana. Gdy nagle, jak kamień, usnął, przyśnił mu się inny widok, pamiętny na całe życie. Zdało się, że po długim niewidzeniu i po dokuczliwej tęsknocie miał się spotkać z Tatjaną. Kazała mu przyjść na brzeg morza, nad jakowyś brzeg, który gdzieś w życiu, czy na malowidle widział. Były tam suche, kolczaste osty na szczerym piasku, kłującą trawą słabo porośnięte wądoły. Wokoło leżały górami białe wydmy. Suche stopy alg z morza wyrzuconych wydzielały przykry zapach. Dalej ku morzu szczyrzyły się kamienie, rudym mchem porośnięte, a u samej fali złościła się prześliczna, gładka plaża, jak dziecko przez matkę, po milion razy wycalowana przez morze. Piotr szedł we śnie z pośpiechem, ażeby coprędzej ujrzeć Tatjanę. Ale oto wypadło mu minąć dom kamienny, chałupę o niskich drzwiach i rozwartem oknie. W tem oknie tłoczyli się jacyś ludzie, jakieś kobiety. Minął te drzwi i okno, śpiesząc co żywo. Lecz niespodzianie usłyszał głos: Tatjana wychyliła się z rozwartego okna i zawołała go po imieniu. Znakami kazała mu iść dalej w tymsamym kierunku, nad morze. Zeszedł między dwiema kępami twardej ziemi na wymytą plażę. Nadeszła. Twarz miała rozognioną. Śmiała się śmiechem nieznośnym, bolesnym, wyszydającym jego zazdrość. Gdy się zbliżyła, zapytał, czemu jest tak czerwona. Wtedy wyrecytowała:

— Wyobraź sobie... No ten... — (wymieniła jakieś nazwisko, które usłyszał, lecz w sennej boleści natychmiast zgubił i zapomniał).

— Kto?

— No ten... (Znowu wymieniła nazwisko).

— Cóż takiego?

— Domyśl się, Piotruś, — i przebacz, no, przebacz! Nie mogłam się obronić. Ach, jakiś ty śmieszny, jaki śmieszny!

Straszliwe senne cierpienie rzuciło go na ziemię, do jej nóg. Objął rękami jej kolana, opasał je z rykiem nie jednego człowieka, lecz jakby z rykiem całego świata. Pękającymi od zduszenia płucami począł w niebogłosey wrzeszczeć, wzywać Boga na pomoc, na pomoc! Wzywał Boga, ażeby jej kazał zaprzeczyć, ażeby jej zgardła wydarł to słowo. Krzyk jego wzmagął się, rozpętywał, jakby w nim ryczała szalona nawałnica. Tatjana śmiała się nad tym jego krzykiem swym cichym, zażenowanym, zgłupiałym chichotkiem. Gdy się wreszcie ocknął zimnym potem zlany, dziękował Bogu, że to był tylko sen...

Jakby na zaprzeczenie tym snom bywali w tymże czasie bardzo długo razem. Tak długo, że czas zdawał się znikać, sama miłość nie mieć z rozkoszy i w nicość się osuwać. Cudne, wolne już od rozkoszy znużenie, niby ręka mądrości, rzucało na piękność zasłonę. Mówili teraz szeptem bez uniesienia i bez żalu o tem, w jakiby sposób zapobiedz rozłączeniu swemu teraz, czy kiedykolwiek, czy w wieczności. Znajdowali, że ta chwila jest najstosowniejszą i najistotniejszą... Pewna myśl jakby zapomniana na ziemi kazała Piotrowi zamilknąć. Powiedział jej o tej myśli. Uczuł natychmiast prze-

biegające jej ciało gwałtowne uczucie, zimny dreszcz. Nie mógł go z łona jej wycałować, wyrwać z serca, wydobyć z myśli. To uczucie nie nazwane i nie wypowiedziane tkwiło w niej widomie, jak żądło pszczoły w żywym ciełe. Leżała bez ruchu, patrząc w ciemność otwartymi oczyma. Z ulicznych latarni wsączała się do pokoju nikała poświata i lśniła na tych czarnych, wypukłych źrenicach... Wtedy to za oknem, w głębi ciemnej ulicy rozległa się piosenka starego żebraka bez ręki. Znali tego trubadura od dawna, lubili jego basowy głos i jego tułaczą pieśń:

„Non, tu ne sauras jamais
O, toi qu' aujourd'hui j'adore,
Si je t'aime, si je te hais,
Si je t'aime, si je raille encore...“

Miłość dosięgła tej granicy, że myśl i uczucie malowało się, jak czytelne pismo w blaskach, uśmiechach i połyskach. Czytał w tych oczach wpatrzonych w ciemność myśl wewnętrzną. To też począł mówić o wewnętrznym swym świecie, o straconym ojcu, polskim powstańcu, o jego mogile w pustce pod lasem, o spróchniałym krzyżu... Widział wciąż wypukłe, słabo lśniące źrenice. Całował żarliwe wargi i policzki, pełne wiecznej słodyczy.

W pewnej chwili rzekła:

— Przestań już o tem mówić. Mam wstręt do tych twoich wszystkich historyi. Nie mogę tego przed tobą ukrywać...

Zamilkł. Leżał bez żalu, bez smutku. Patrzył

w ciemność, jakby w widomy obraz swej samotności.

W pewnej chwili podniosła się, oparła na ręce, nachyliła twarz nad nim i, zasłaniając ciemność sobą, zapytała:

— Ty jesteś w duszy polak? Takisam, jak twój ojciec?

— Tak.

Usta jej spoczęły na jego ustach, usta gorące, jak płomień. Lecz oto wnet kurcz począł łamać, targać, wyginać, trząść drzeniem te śliczne — prześliczne usta. Och, ów tyle znany lament! Płacz wewnętrzny począł targać całe ciało, przechylać je tam i sam, jak chciał, — i miotać po pościeli. Ciężka głowa, obarczona masą włosów, jak bryła kamienna zapadła się w poduszki i szloch niestrzymany począł rzucać tę bezsilną, nieszczęsną głowę, taczać ją, jak ciężar materyalny. Tatjana przekreśliła się i zapadła na twarz w pościel. W płaczu bez końca skruszyła się jej wola zawsze żelazna i rozsypała na proch. Płacz ten był tak bolesny, tak rozdzierający, tak ostatni, że sam już był granicą.

Piotr czuł, że ani jedno już z mowy człowieczej słowo nie może go przerwać, ani uciszyć. I cóż mogło uciszyć to zapamiętałe, ponure, śmiertelne łkanie? Ażeby podnieść i ukoić tę płaczącą głowę trzeba by było przekreślić i wyrzucić z pamięci dzieje ojca, krwawe, leśne konanie pod kulami, — trzeba by było Rosyi wolę najezdniczą, w śnie-

gach bezmiaru na potęgę i posłannictwo wyhodowaną, w łagodne braterstwo odmienić... Piotr zacisnął w sobie jęk, jakby udusił wyhodowanego ptaka. Przypadł ustami do burzy włosów, objął rękoma ukochane ciało i tulił je, targane od spazmów płaczu, w silne ramiona.

XV.

Pewnego dnia generał zawezwał Piotra depeszką pneumatyczną „na chwilę rozmowy“. Przeczytawszy ów list, Piotr zrozumiał, że nadeszła chwila stanowcza i że trzeba będzie zdać rachunek. Nigdy o tej minucie nie myślał, nie był w stanie myśleć, a nawet mężnie i świadomie nie chciał myśleć. Teraz oczyścił ubranie, uporządkował papiery i rzeczy, ułożył wszystko — i poszedł. Wkraczając na schody wspianiałego hotelu, marzył o Tatjanie, — to znaczy, — składał na jej ustach żaloszny pocałunek.

Generał zajmował na drugim piętrze wielki salon, cały wysłany dywanem i zastawiony wykwiłtnemi meblami. Z ulicy przez otwarte na balkon drzwi wdzierał się nieznośny hałas. Toteż generał własnoręcznie je pozamykał. Piotr spod oka obserwował jego ruchy i sennie przemierzał całą rozmowę, która nastąpić miała. Wiedza o tem, co mówić, jakie dawać odpowiedzi, układała się w krótkie, szybkie, bardzo proste zdania. Pomyślał: będę do upadłego bronił honoru Tatjany, a o sobie powiem prawdę. Generał odwrócił się od okna i rzekł, zacierając ręce:

— No, Piotr-Iwanowiczu, co sądzisz o tych wszystkich zjawiskach? Czas już zdać sobie sprawę!

— To jest, — śmiejem zapytać, — z czego?

— Z tej ich całej Francyi.

Piotr doznał zabawnego wrażenia: — coś jakby przed bitwą na szable, w chwili podniesienia broni, przeciwnik zaproponował zamiast ciosów w pałasze — uderzenie w kielichy.

— Francya... — rzekł ociężale. — Śliczny naród! Najpiękniejszy naród na kuli ziemskiej, najbardziej wyćwiczony w rzeczach rozumu, najdzielniejszy... Każda niemal kobieta piękna, wszystkie wykwintne, zgrabne, pełne wdzięku. Mężczyźni przystojni, a jakże często bajecznie piękni! A dzieci! Takich dzieci, jakie się tu widuje w ogrodzie luxemburskim, niepodobna zapomnieć. To ozdoby rodzaju ludzkiego.

— Ależ nie o tem! kobiety — w istocie... — westchnął znacząco generał. — Prawdę powiedzia-
łeś. Ale całość, całość, bracie. Ja ci wyznam: jestem rozczarowany, roz-cza-ro-wa-ny...

— Dla czego?

— Toż popatrz, co to za naród! Piękna, ale wymierająca rasa. Wymierają! Co pół roku ubywa ich ośmnaście tysięcy. Za kilkadziesiąt lat będzie ich wszystkiego dziesięć milionów na świecie.

— Mają trzydzieści milionów ludzi pod swem panowaniem w koloniach. Mają już, podobno, armię kilkudziesięciotysięczną z murzynów złożoną.

— Murzyni to nie francuzi.

— Murzyn potrafi taksamo strzelać do niemca

z karabina maszynowego, jak tunguz, albo czere-
mis. A na oficerów, wskazujących, do kogo strze-
lać, samych francuzów wystarczy.

— I te kolonie ich rządzone są po barbarzyńsku. Rzeczpospolita operuje środkami burbonów i na-
poleonów. Nie idą śladem anglików. Serca nie widzę.

— Serca... — zaśmiał się Piotr.

— Właśnie serca! Dziś, bracie, zrozumiano na-
reszcie, że francuz w Kanadzie może być najwier-
niejszym synem Anglii, jeżeli mu serce okażesz.

— Tak, być może, — mruknął Piotr. — Choć
to nie wszędzie jeszcze w zupełności zrozumiano.

— Co powiadasz?

— Nic. Ja tak sobie... Często widuję tutaj ele-
gancko wystrojonych murzynów, flirtujących z bar-
dzo pięknymi pannami z najlepszych rodzin.

— A ja właśnie o tem chciałem z tobą po-
mówić...

— O czem, panie generale?

— O tym twoim złośliwym uśmiechu.

— O uśmiechu?

— Właśnie, o uśmiechu. Patrząc ja na ciebie
spod oka, Piotrze Iwanowiczu, przypatruję ci się
oddawna. Coś w tobie jest, coś ty w sobie prze-
gryzasz, — przebacz porównanie! — jak koń węd-
zidło.

— Nic nie wart koń, który wędzidła nie gryzie,
— rzekł Piotr wykrętnie.

— Nie, nie! Chciej mię zrozumieć. Wejdz w moją
myśl i idź za nią krok w krok aż do samego końca.
Dla tego zacząłem rozmowę o Francyi. I cóż Fran-

cy? Zjadła wszystkie studenckie hasła, połknęła wszelkie socjalizmy. „Towarzysze“ zasiadają na fotelach ministrów.

— Tacy też to i „towarzysze“! Dla tego zasiadają, że najlepiej wiedzą, jak się do „towarzyszów“ zabierać, jak ich tępić własną bronią.

— Wszystko to jedno. A w narodzie — co? Konserwatyzm, rutyna, rozdrobnienie własności na jednomorgowe gospodarstwo, rolnictwo w upadku, skąpstwo sklepikarzy...

— Najbogatszy to naród na ziemi.

— Zaraz, zaraz... — perorował generał, — najbogatszy... Sto tysięcy apaszów w Paryżu, na wsiach brak nowoczesnych urzędzeń, a nadewszystko szkół; w armii nieład, brak subordynacyi, kradzieże broni i sprzedaż jej nieprzyjacielowi; w szkołach wyższych — rutyna, w szpitalach, na poczcie, w biurach przestarzałe, formalistyczne porządki; na kolejach przedpotopowe wagony, jakich już nigdzie na świecie nie ujrzysz, chyba w muzeach, — grubiaństwo służby i humorystyczny bezład... Czytam ja tu w piśmie poważnem artykuł i za boki się trzymam. Roztrząsają pytanie, czy apasza tracić na gilotynie, czy wysłać *à la Nouvelle*, czy dać prawo agentowi, napadniętemu przez apasza, żeby mu bezkarnie w łeb palił. Agent policyi, zabity przez apasza, kosztuje państwo pięćdziesiąt tysięcy franków. Skazanie apasza na deportację kosztuje ośmset franków rocznie. Skazanie go na śmierć kosztuje *summa summarum* wraz z sądem, z wydatkiem na jego królewską mość mr. Deiblera — trzy tysiące

franków. Tymczasem dwa strzały agenta do apasza z rewolweru „Nr. 11“ kosztują 20 centimów. Ponieważ zaś, jak z tego rachunku wynika, *ça coûte moins cher*, a więc nowoczesny *citoyen* nie ma wyboru. Do tego pytania, jakim sposobem najtaniej zadać można legalnie śmierć obywatelowi rzeczypospolitej, sprowadziło się w rzeczywistości prawo człowieka i obywatela w tej nowoczesnej Francji.

— Mnie się zdaje, że nie jest tak znowu źle. Toż to ta nowoczesna Francja przeprowadziła rozdział kościoła od państwa, postawiła nowoczesną, niezależną oświatę, zwolna, ale usilnie reformuje istotnie skandaliczną rutynę w rozmaitych dziedzinach życia społecznego, — jest siedliskiem nauk, wynalazków...

— Mnie się wydaje, że się tu nic nie reformuje. To kraj po staremu zatopiony w sobkostwie życia, któremu to sobkostwu anarchia dodaje mocy. Rządzą krajem karyerowicze. Każda ich grupa, chcąc się u steru utrzymać, musi schlebiać dusi-groszom. Tu ciągle jeszcze trwa zamęt wielkiej rewolucyi. Rządzące menery wciąż się gilotynują, tylko za pomocą innych, ale też i nędzniejszych, filisterskich i po adwokacku przebiegłych sposobów. Piotr-Iwanycz, patrz dobrze na tę nowoczesną Francję!

— Dla czegoż to ja właśnie, panie generale?

— A dla tego ty, a nie kto inny, że ty wędzidło gryziesz. Ja ci powiadam: ruskie wędzidło to mądry narząd!

Piotr milczał.

General dorwał się do właściwego prądu swych myśli. Oczy mu się paliły, na wygolonych policzkach zakwitły rumieńce. Chodził wielkimi krokami po dywanie salonu i, nie patrząc już na swego gościa, dowodził:

— Nowoczesna Francya toż to argument najoczywistszy, do czego prowadzi dywagacya wielkich zasad w sztuce rządzenia. Ludzie zmieniać się mogą, pokolenia znikać po pokoleniach, lecz myśl musi być stała i jedna. Narody mają swe misye. Ludzie rządzący muszą rozumieć misyę narodu pod karą straszliwej odpowiedzialności. Takim człowiekiem w Rosyi był Mikołaj pierwszy. Ten człowiek stworzył dusze ludzi rosyjskich. Miał zarówno rękę żelazną, jak miłujące serce ojca. To też to był twórca nowoczesnej Rosyi, monarcha i człowiek. Pojmowali go ludzie. Pojmował go twój dziad i dziad stryjeczny. I ty powinienes pojąć wielkość tej postaci, — Piotr-Iwanycz.

Rozłucki milczał.

— Milczysz? — zapytał generał natarczywie, stając naprzeciwko niego.

— Jestem oficerem niskiego stopnia. Niczem nie kieruję. Przeciwnie mną kierują wszyscy... — rzekł łagodnie.

— Ale możesz zająć, dokąd zechcesz. Może nadejść chwila, że przyjdzie ci kierować. Cóż wtedy? Rozumiesz, co ja mówię? Cóż to za żołnierz, co nie nosi w tornistrze marszałkowskiej buławy!

— To nie zależy odemnie, lecz od mnóstwa okoliczności.

— To zależy od ciebie! — krzyczał generał. — Tylko od ciebie!

— Jakimże to sposobem, panie generale?

— Krótko ci powiem. Jesteś na najlepszej drodze. Byłbym w tem, ażebyś zrobił karierę...

Rozłucki powstał ze swego miejsca.

— Ale, — ciągnął generał, kładąc rękę na jego ramieniu, — muszę wiedzieć, czy jesteś ruskim człowiekiem do dna duszy, czy kochasz Rosyę tak, jak twój dziad, jak ja... Muszę wiedzieć, czy jesteś człowiekiem mikołajowskiego zastalenia duszy, o którym ci mówiłem przed chwilą. Tymczasem, — niestety! — ja w tobie widzę jakąś wewnętrzną skazę.

— We mnie jest skaz bardzo wiele.

— Każdy z nas przeżywał młodość. Rozumiem. Burza w duszy i tam to wszystko... Ale, — powiadam, — patrz na Francję! Czy zgubność zasad nie doprowadziła jej do tego, że niech wejdą Niemcy...

Generał począł szeptać:

— Nie oparliby się aż w Pirenejach, aż w oceanie.

— To jeszcze kwestya...

— To dla mnie tak jest oczywiste, że nawet nie będę o tem mówił. Jestem oficerem i rozumiem rzecz. Czy wiesz, co robią ci czerwoni żołnierze w chwili najścia nieprzyjaciela? Rzucają karabiny, albo skonfederują się przeciwko swej zwierzchności na podstawie zasady, która im przypadnie do smaku.

— Rosya poczytuje się za niezwalczoną potęgę, a czy tak jest w samej rzeczy? Czy tam wad niema?

— Wady są wszędzie, bo Rosya, to ludzie.
Lecz „z nami jest Bóg“!

— Dostojewskij pisał w „Dniewniku pisatiela“...

— Co mi tam Dostojewskij! Władza, nie jakiś pisarz!

— A toż przecie jest piewca władzy, twórca mistyki państwowej rosyjskiej tego wieku! Możliwy powiedzieć, ojciec duchowy „czarnej seciny“.

— Kogoż to przezywasz „czarną seciną“?

— Cokolwiek prorokował ten wieszcz, spełniło się lub spełnia, ale wspan, naodwrot. Gdyby kto chciał utworzyć najzjadliwszą satyrę na Rosyę nowoczesną, niech odczyta publicznie dytyramb mistyczny na jej cześć, proroczą wizję jej przyszłych dziejów w „Dniewniku“ Dostojewskiego. Wielka jest w Rosyi pycha.

— Cóż to nazywasz pychą naszej ojczyzny?

— Pychą nazywam żądę krzywdy, którą ona nazywa swą misją.

— Oto jest nareszcie twoje słowo. Kogo gdzie Rosya skrzywdziła? Kogo? Mów!

Piotr milczał.

— Wiem, jaka myśl przenika cię teraz. Ale czyż Rosya nie jest ojcem i matką dla tego narodu? Czy nie uwolniła chłopów z pańskiej jego opresyi? Czy nie dzięki nam powstał w tym kraju przemysł, miasta, nowoczesna industria, kopalnictwo, koleje, żywy ich handel z naszym wschodem? Kto zresztą w Rosyi prześladuje, krzywdzi, albo nie lubi polaków? Ja sam...

Generał zniżył głos:

— Ja sam głęboko ich lubię. Świetny i piękny naród. Wszystko u nich swoje i nadobne, miękie jakoś, subtelne, niezrozumiałe. To tak. Lecz nasza państwowa racya stanu nie może się bawić w sentyment. Patrz pilnie dokoła siebie, Piotr Iwanycz. Ratuj swą duszę!

— Duszę? — uśmiechnął się Rozłucki.

— Tak, duszę! Rosya musi mieć synów wiernych. Kto jest z nią, ten musi być z nią nie połową, lecz całą duszą. Możesz stać się odszczepieńcem... jak... twój ojciec.

Piotr spojrział mu w oczy surowo i śmiało.

— Każdy człowiek ma jedno przynajmniej prawo, które nie może mu być odjęte: prawo do swej duszy.

Generał ciężko dźwignął się z krzesła. Był chmurny, przybity. Mruknął trwożnie, niemal ze wstydem:

— Piotr-Iwanycz... pamiętaj na Tatjanę...

— Tatjanę... — powtórzył Rozłucki, czując, że blednie.

— Nie rozmawiałbym ja tak z tobą, gdyby nie ona... — wycedził generał przez zęby.

XVI.

Urlop Piotra skończył się wcześniej od generalskiego. Tatjana, nie chcąc dłużej zostawać w Paryżu, wymogła na ojcu, ażeby na resztę czasu wyjechać nad morze, do Szwajcaryi i Tyrolu. Ostatnie dni zeszły szybko, przeleciały, jak na ptasich skrzydłach. Rozstawali się. Było to tak proste i tak nie do wiary.... Ostatniemi czasy przez pustotę i kobiecą żądę hołdów Tatjana pozawiazywała jakieś bliższe znajomości, — z owym malarzem, który jej portret do nieskończoności „wykańczał“, z redaktorem i jeszcze z innymi. Piotr przypadkowo przeczytał list malarza do Tatjany, list, którego tytuł brzmiał: „*Chère Amie*“..., aczkolwiek treść była obojętna i przyzwoita. Ileż cierpień sprawiły mu te dwa wyrazy! Tatjana przysięgała na wszystko, że niczem nie upoważniła do nadawania jej takiego tytułu przez obcego mężczyznę, płakała tak rzewnie i tak szczerze, aż przekonała. Musiał sam w swém mniemaniu przystać, iż jest to zwyczaj francuski nadawania miłym znajomym tak poufałego w listach tytułu. Ale wkrótce wpadł Piotrowi w ręce inny list, zapraszający na seans portretowy, a zakończony przed nazwiskiem słów-

kiem: „*Votre*“.... Znowu wybuch zazdrości i znowu strugi niewinnych łez. W kilka dni później Tatjana przysłała z miasta wzburzona i sama opowiedziała Piotrowi, że przypadkowo spotkała na ulicy owego malarza, szła z nim przez czas pewien i że wtedy „ten osioł“ zaproponował jej wspólne spożycie obiadu i to gdzie? — W Saint-Cloud. Przysięgła, że mu dała ostrą odprawę, „zbyt nawet ostrą jak na winę tego osła“. Piotr już nie wierzył. Szalał z wściekłości. Tegoż dnia nadszedł list od malarza, przepaszający za nietakt, jakiego się dopuścił, ale z zakończeniem, że pomimo tych wszystkich jego nietaktów „nie może się pogodzić z myślą, ażeby go już ani trochę nie lubiła“. Rozłucki zażądał, ażeby do owego malarza napisała list z oświadczeniem, iż ma narzeczonego, który jest jej ukochanym i jedynym, — iż z powodu nagłości wyjazdu żegna swego portrecistę, a nie mogąc go już więcej zobaczyć, dziękuje mu za swą piękną podobiznę i t. d. Tatjana z radością i bez wahania napisała ten list. Ze śmiechem obydwójce odnieśli go na pocztę i sprawa została ubita. Ale oto pewnego dnia, na wyjeździe, gdy weszli obydwójce do ulubionej kawiarni, ażeby może ostatni raz nasycić się dobrą chwilą, zbliżył się do Tatjany starszy garçon i wśród wielu ukłonów, przeproszeń i omówień oświadczył, że *monsieur de Eagle* polecił oświadczyć o swej obecności w tej cukierni....

Piotr wiedział, że takie jest nazwisko redaktora, ale nie znał go osobiście. Zdawało mu się, że omdleje z rozpacz. Chciał wyjść. Tatjana pochwycy-

ciła go niepostrzeżenie za rękę, a do garçona rzekła, że nie zna od tej chwili owego pana de Eagle.

Głuche podejrzenia nurtowały duszę Piotra. Męczył się, poniżał aż do śledzenia kroków ukochanej, aż do przeglądania jej pudełka z listami. Przeszukując owo pudełko, trafił na ostatni list malarza po oświadczeniu Tatjany, że ma ukochanego narzeczonego. Malarz pisał z zabawną wyniosłością o swej duszy łacińskiej, tak różnej od duszy słowiańskiej, — nie zgadzał się, ażeby zasłużył na wyrok zanadto surowy, jaki go spotkał, i, jako „latyn“, wysypał istny kosz słów banalnie ugrzeczniionych....

I oto wśród tych wszystkich trosk zazdrości i wśród dowodów miłosnego poświęcenia, które zazdrość niweczyła do ostatniego śladu, by za chwilę sama zniknąć bez śladu w ogniu jakiegoś nowego podejrzenia, — nadleciał nagły i niespodziany dzień wyjazdu. Wszystkie troski miłosnego dnia jak olbrzymie góry zapadły się w ziemię. Piotr znalazł się na dworcu północnym, odprowadzany przez Tatjanę i mademoiselle Mathilde. Wielka hala pełna była dymu. Ukazała się oczom, jak straszna baśń o tem, co się ma dokonać. Tatjana zanosila się od płaczu. Na nic nie pomnąc, obejmowała Piotra i przytulała się do niego, jakby w śmiertelnej przed czemś trwodze. Wskazówki wielkiego zegara posuwały się nieubłaganie, niemilosiernie.... Tatjana jeszcze raz pochwyciła rękę Piotra i, wyciskając na nich bolesne pocałunki, błagała o przebaczenie za to, co przez nią wycierpiał.

Pociąg drgnął, poruszył się — i Tatjana znikła. Rozłucki zamknął oczy. Boleść nieznośna rozdzierała jego serce. Ręką ścisnął sobie gardło, żeby zdusić w niem głośny szloch. Po chwili opanował się. Drogę z Paryża do Warszawy przebył w zimnym spokoju. Wysiłkiem woli zniweczył w sobie wspomnienia, odsunął wszystko, co mogło przemówić o Tatjanie. Dobrowolnie wkroczył do jakiegoś świata, gdzie wszystko było wyzute z własności jego duszy. Otoczył się rzeczami i wyobrażeniami martwemi. Po powrocie do mieściny zabrał się coprędzej do swych robót. Ilez trzeba było siły, żeby uczęszczać do domu generała i pracować w pustych pokojach! Wola niweczyła wszystko, co tylko mogło być słabością, lecz nie była w stanie zniweczyć miłości samej. Oto wśród rozmowy osób nieznanomych nagły się ozywał śmiech Tatjany, albo ton jej głosu zabrzmiał i zaraz przepadł. Nadaremnie było wsłuchiwać się w ciszę, ażeby jeszcze raz głos posłyszeć.... Znikał i nie można było przypomnieć sobie tej mowy jedynej, tak dalece zapadła się w otchłań. Zdawało się, że uszy ogłuchły i nigdy już nie posłyszają tamtego dźwięku. Kiedy indziej owal twarzy obcej jakiejś kobiety przypominał linię i barwę policzka. Przypominał tylko dla urągowiska, bo nic na ziemi nie mogło uprzytomnić cudności jej twarzy. W ciągu długich godzin nie można było przypomnieć sobie ani kształtu, ani barwy, ani nawet zarysu czarującego zatoczenia skroni, gdzie milion razy spoczywały usta. Zdawało się, że oczy wypatrzyły już wszystek wzrok

i nic już na ziemi zobaczyć nie mogą z tego, co było miłością serca.

W nocy, ocknąwszy się, Piotr zatapiał oczy w ciemność, bo stamtąd patrzyły przesliczne źrenice. Lecz gdy minęła krótka chwila złudzenia, nastęczała się tylko ciemność. W sercu powstawał krzyk żalu, którego wola nie mogła zagłuszyć. Nieraz zza ramion dawał się słyszeć szept, spieszczający imię, wołanie pełne czułości, które jedyne usta umiały wydać. Częstokroć wśród pospolitej w gronie kolegów rozmowy pokazywały się przed oczyma różane usteczka. Tak pewnego razu, gdy byli razem, te usta ukazały mu się nagle, nanowo, jak zjawisko dające znać o swej piękności szczególnej. Teraz te usta za coś karały, cofając się przed wzrokiem w ciemność, uciekając przed myślą i, niby skutek nieprześlągany, zostawiając po sobie nicość w wieczności.

W miarę jak przybywało dni oddalenia, wzmagala się tęsknota. Żal stawał się coraz cichszy, coraz skrytszy i coraz głębszy. Wyszły z nicości i stanęły obok Tatjany wszystkie przeciwieństwa i załamania losu obojga. Ni żyć, ni umrzeć! Piotr wiedział, że jeśli ona wróci, musi się zdecydować na prawo, albo na lewo, — iść tu, albo tam. Musi rozstać się z nią, lub rozstać ze sobą. Patrzył w swoje nieszczęście i w niezgłębioną swą miłość. Nie mógł uczynić wyboru. I oto wówczas, gdy stał na sypkim brzegu, przychodziły najbardziej czarodziejskie wspomnienia...

XVII.

W jakiś tydzień po przyjeździe, wczesnym rankiem puścił się do Cierniów. Przybywszy na folwark, konia zostawił w stajni, a sam, według wskazówek kucharki, udał się na poszukiwanie stryja, który był w polu. Zastał go przy sianokosie. Z niskich łąk nad rzeką poszli ku domowi bliższą drogą przez dolinkę między dwoma płaskowzgórzami, wciśniętą między ich strome stoki. Ukazała się oczom i rozwinęła przed nimi, jak skarb schowany za zdrośnie między ramionami i ukryty na sercu.

Dróżką kamienistą, dwukolejką, dostępną dla chłopskiego jeno wozu, twardą i stromą, obrośniętą przez paproć, dzikie jeżyny i chwiejne od wiatru skabiozy weszli w ów wąwóz. Strumień z dala zagrał im w oczach, połyskując tam i sam między trawami. Płynął głęboko w glinie, krętem korytem, które obrosło najeżone ciemne sitowie. Barwne motyle i błękitne ważki migotały tam, jak latające kwiaty nad szypułami głógów, wśród gałęzi rokitnicin i nieprzebytych zarośli młodej dębiny, brzoźek i kalin. Dróżka zamieniła się na ścieżkę, miejscami twardą i białą, uginającą się, jak tęgi rzemień, miejscami rozkisłą i zarzuconą płaskimi kamieniami.

Wkrótce dróżka stała się tajnym chodnikiem w trawach dla pojedynczego człowieka. Nieskoszona łąka bujała za wolą wiatru, stając się to wskrós pochyłe-płową od mietlicy, to zagnęła cudnie rumianą od centuryi i koniczyn, albo zbieła od miodownika. Gdzieniegdzie tęgie połączenie dostaje trawy powaliły się od fali wiatru, ni to ludy jakieś przeżyte, okwitłe i niechętnie nowych dziejów, gardzące wyniosłem życiem. A wpośród nich stał wysmukły, precudny błękitny kwiat i, jak wyniosły wieszcz, dumiał nad tym poziomym światem, a sam jeden zań stał. Czasami wszystek świat łąki zacichał. Ustawał wszelki w niej głos i ruch, zamierał ostatni powiew i tylko jedno jedyne błękitne kwiecie czuj-duch patrzyło z ziemi w niebiosa. Ale wnet wiatr, fruujący po zaroślach, wszczyniał kędyś daleko muzykę poszeptną, wzniecał podzwonną. Zanosyły się nanowo pasikoniki, — chwiała dalekie królestwa, państwa rozległe, uchylały tajnie głębokie i zachwycała wzrok odsłonięta barwa niezapominajek, albo krasa koniczyn. Chybkie jaskółki z pokrzykiem zyciuradym przesywały powietrze, w gałęziach zanosyły się ptaki, osy i pszczoły wałęsały wokół, zatopione w sekretnych pracach o niezgłębionej mądrości. Piotr jakoś w drodze ustał. Siadł na przykopie w słońcu i zapachu. Patrzył po trawach i czujnie słuchał. Łąka ta zawierała wszystkie uczucia, zdawała się znać nawskróś serce człowieka. Każde jej źdźbło wyrastało nie z ziemi, nie z gliny, lecz z duszy, a każdy kwiat w głębi szczęścia serdecznego miał korzeń.

— Trawy mi schną... — z westchnieniem rzekł Michał.

— Czemuż, stryjaszku, nie każesz kosić?

— Ba! Żeby kosić, trzeba nająć kosiarzy. A żeby chcieli kosić, trzeba mieć na sobotnią wypłatę.

— Nie masz?

— Zadłużyłem się na wszystkie strony. U ojca, u Hipolita ani się pokazać, u żydów... — mówił stryjaszek z wypiekami wstydu na policzkach.

— Toż weź, ile mam! — zawołał Piotr, otwierając pugilares i wciskając mu w rękę kilkadziesiąt rubli, które tam były.

— Ratujesz mię... — wyjęknął stryj Michał. — Widzisz, trawy schną... Ale, do dyabła! gościnnie cię przyjmuję... Łyżki stawy chłopcu nie dałem, a ledwie przyjechał, wyrywam z kieszeni ostatni pieniądz.

— No-no! Jeszcze mi oddasz... — mówił, obejmując go za szyję.

— Po żniwach. Uważasz, pierwszy dług tobie. Jak mię widzisz żywego!

— Ej, czy aby oddasz?

Stryj podniósł palec do góry na znak pewności. Wiatr ciepły nawiał zapachu ze zbóż i od schnącego siana na niskich łąkach. Wraz — wiatr ten nawiał w duszę Piotra nowego uczucia.

Serce nie mogło się w piersiach pomieścić i uczucie nie mogło się zamknąć w żadnej formie. Spłynął na serce obraz Taniusi, na usta jej imię. Jak cichy, wonny pocałunek duszy dalekiej to imię spoczęło na jego wargach. Po chwili w tajnych

łożyskach uczuwania wywołał niejasne a przebole-
sne wzruszenie niewiadomy jęk, niejasny czyjś
szep. Bezlitosne, ostre, nieumilkłe wymawianie
głuchej o coś skargi ciągnęło się przez całą duszę.
Nie wiedzieć czemu i jakim sposobem Piotr uczuł
nie wyobrażeniem, lecz ślepym afektem, że ojciec
zabity w takiej oto ziemi sam leży. Sam jeden!
Ziemia — i on. Tak chciał. Zapomniało o nim wszy-
stko plemię, zagasła o nim pamięć ludzka, pamięć
ojczysta, pamięć braterska, pamięć synowska.
Dzwoniły o nim jedynie świerszcze łąkowe, śpie-
wały ptaki w tarninach i wzdychał w ziołach wia-
ter. Nie umiałby był nikomu powiedzieć, jak to
jest, czemu to tak, ale przecie było, jak czuł.

— Stryjaszku, — zapytał, — ty znałeś mego
ojca?

— Znałem, — odpowiedział tamten niechętnie
i zimno.

— Czy ja jestem do niego podobny?

— To jest niby jak, z twarzy?

— Czy jestem do niego podobny z postawy,
z głosu, z ruchów?

— Jesteś podobny. Czasem nawet bardzo. Cza-
sem, szczególnie w śmiechu jesteś podobny tak,
że aż coś ściska.

— Kiedyś go widział ostatni raz?

— Ostatni raz, bracie, — w powstanie, — rzekł
stryj ze skrzywieniem twarzy i stękając.

— Tu mieszkałeś?

— Tutaj, — rzekł cicho. — Jużem tu mieszkał...

— Jakże to było?

— Przyszedł do mnie w nocy, z partyi. Była już jesień. Koniec. Obdarty, w łachmanach, buty sznurkami pozwiązywane, koszula na nim zgniła, gacie tosamo. Wszy z niego kapały, jak z ostatniego parobka. Przespał u mnie noc na sofie.

— Na tej zielonej sofie, co u ciebie stoi?

— Na tej. Wdział koszulę, wziął, co tam było bielizny, zjadł, wypił...

— A co potem?

— A w tydzień potem była ta bitwa. No — i te...

— W tydzień potem dziad go rozstrzelał?

— No — tak.

— Stryjaszku, a ty sam w partyi nie byłeś?

— Nie.

— Czemuż to?

— Et — czemu?

— No, wyznaj!

— Niema tu co wyznawać. Nie byłem i kwita.

— Nie wierzyłeś w to ich powstanie?

— W „to ich powstanie“ łatwo było nie wierzyć, nie wielka to była sztuka siedzieć w domu, ale ja nie dla tego...

— Więc czemu?

— Dajno pokój tym indagacyom!

— Właśnie że nie dam!

— Nie byłem, bo samem jak to całe powstanie: pół tu, pół tam, mądre myśli i robaczywe serce, jedną nogą w wolności, a drugą dobrowolnie w dybach, — typowy polak. Co ty tam zresztą z tego wszystkiego rozumiesz, „moskalu“...

— Masz rację. Nie rozumiem cię, — rzekł Piotr.

Po chwili zapytał:

— A on był człowiek wesoły, czy smutny, miły czy niemiły — jaki?

— Jakby ci to powiedzieć? Walny był chłop, seryo, ale wesoły.

— Więc jaki był, jaki?

— Widzisz... To był nie typowy polak... To był w moskiewskiej służbie wyszkolony żołdak, który pokochał Polskę na śmierć i to nie słowem, lecz po żołdacku, zębami i pazurami.

— Aha... — mruknął Piotr.

Po chwili znowu nastawał:

— A twarz jaką miał, jaką?

— Twarz miał pociągłą, jak u ciebie. Wąs piękny. Golił brodę.

— Oczy miał niebieskie — to ja pamiętam. Niby pamiętam, bo co przypomnę, to znowu zgaśnię. Smuga jakaś błękitna. Po polsku mówi się o tem bardzo prześlicznie — modra smuga... Ot teraz, jakem patrzył w te trawy, — widzisz tam, — taka się smuga z traw pokazała. To jego oczy stamtąd na mnie popatrzyły.

— No — no, romantyku! — uśmiechnął się Michał.

Piotr nie zwrócił na ten głos stryja należytej uwagi. Patrzył daleko w głąb traw, gdzie wiatr powiał znowu i, niby zasłonę świętą odchylił, — ukazując smugę niezapominajek. Twarz Piotra stawała się zwolną żelazna, twarda, sroga. Oczy cofnęły się pod brwi i patrzyły w jakiś daleki cel, — nos

się wygiął. Uśmiech złowróżący okuł wargi. Twarz się powlokła bladością.

— No cóż, — darmo... — rzekł stryj Michał. — Chodź, wojaku, na młode ziemniaki z barszczem. Co tam stara Jagna ugotowała, to zjesz, a za zbyt już skromny obiad przepraszam.

Wstali i poszli w górę. Wysuwały się naprzeciwko lśniące liście dąbków młodych, narzucające czucie o sile, albo wysmukłe i subtelne paprocie, rozniecające czucie o pięknie. Ruszyła ścieżka między zboża, na ukos, po zagonach, między żytem. Szumna się zalecała, szelestna, przedziwnie strojna wśródkłośna pohulanka ledwie wykłoszonych ździebeł, skrzypcowa pszena gra dla duszy. Lecz Piotr ją jak przez sen słyszał. Dusza jego zaniosła się w zaświat swój...

XVIII.

W kilka dni później wykonał plan. Wszystko, co przedsiębrał, ażeby go spełnić, działo się pod wpływem, a raczej pod naciskiem gwałtownego rozplamienia uczuć. Już od kilku dni przygotował był wszystko: gracę saperską o krótkiej rękojeści, składany rydel, płaszcz. Nad wieczorem wyjechał konno — sam. Zrazu cwałował traktem, później zбочył w wygony, pilnie wystudyowane na mapie, wreszcie na dróżki leśne. Wkrótce sadił w pustce najtęższym kłusem, wzburzony, w stanie głuchego zatracenia się w uczuciu. Przed zachodem słońca przyjechał na miejsce. Konia rozsiodłał i przywiązał na uździenicy w gęstych zaroślach. Przeczekał zachód, leżąc na ziemi w gruzach i chwastach spalonej karczmy. Nie było, jak okiem sięgnąć, żywego człowieka. Ostatnie echa nawoływań pastusich zacichły kędyś daleko w kierunku ludzkich siedlisk. Ćwierkał tylko samotny ptaszek, żegnając słońce. Zorza płomienna rozpostarła się na bujnych wrzosach. Nim słońce zupełnie zgasło, Piotr wyszedł ze swego miejsca, stanął na wydmie mogilnej i zaczął kopać. Zrazu odgarniał rydlem lekki piasek, jak zboże szuflą. W miarę jak się wgłębiał

w grób i ziemia stawała się twardsza, używał naprzemiany gracy i rydla. Uczucia rozpostarły się w nim, jak światło zorzy nad światem. Stał się mechaniczną siłą, głuchą i ślepą od czynu. Spoglądał w ziemię z badawczą pasją, gdy rydel zapuszczał się pod jego stopą w miękki grunt i gdy graca miała czystą i płoną glebę. Były chwile, że całą legenda wydawała mu się być kłamstwem nikczemnem, — zelżywym i naigrawającym się z jego duszy wymysłem, plotką podłych szyderców. Tak dziwne było to, tak nie do wiary, że mógł tu na własne oczy ujrzeć ojca — legendę. Ale oto ostrze rydla zaskowyczało dźwiękiem jedynym. Od tego głosu skurczyło się serce — i coś w niem pękło. Lita glinka pod piaskiem stała się smugą ciemnej i tłustej próchnicy. Piotr począł wybierać ziemię ostrożnie, czerpał ją gracą cienkimi warstwami. Szedł narzędziem wzdłuż kości. Poznał palce i gołenie nóg, miednicy, kręgosłupa. Ujrzał wrośnięte w czarną glinę żebra wyniosłe; jakby zastygły w ziemi krzyk. Kości rąk rzucone były od linii ciała w dwie strony świata. Stały w ścianach dołu, wznosząc się ponad zwłokami. Syn począł odgarniać ziemię rękoma. Rozsuwał ją naprawo i nalewo, ni to czarne zwoje i fałdy zasłony. Tkliwe jego palce wynurzyły, wyczarowały z ziemi czaszkę potrzaskaną w kawałki, szczękę rozwartą. W bezwiedzy, w szlochach przypadł do tych kości ustami. Wargi jego namacały usta, które się stały czarną ziemią. Głaskał po tysiąc razy miejsca złamań, gdzie były śmiertelne dziury od żołdackich kul. Tysiącem

pieszczotliwych nazw przewiązywał każdą ranę, łzami zmywał każdy cios. Wcielał przedśmiertelny ojcowski ból w najczulsze słowa, w najtkliwsze dźwięki, jakie tylko znał w nowo-pokochanym polskim języku.

Znalazł zardzewiałe podkówki butów, sprzączkę pasa — i wziął te rzeczy w zanadrze.

O jakiejś porze wieczora wyszedł z mogiły.

Nisko świecił nad ziemią świeżo wzeszły księżyc. Piotr zasypał dół ziemią, zagarnął piaskiem. Wsiadł na koń. Rzuciwszy cugle na grzywę, jechał z bezwładnymi rękoma. Patrzył w tarczę księżycą, stojącą w bezchmurnem niebie. Uczucia jego były radosne. Weszły w kraj poznania wysokiego i dosięgły dziedziny innego świata. Serce radowało się, że był na tej ziemi i tak umarł samotny rycerz polski Jan Rozłucki, — że rycerz ten — to ojciec. Koń, puszczony samopas, szedł ostrożnie opłotkami, szerokim wygonem, zrytym od kolein i bydlęcych tropów.

W pewnej chwili jakiś człowiek zbliżył się do jeźdźca i szedł z nim równolegle szybkimi krokami. Był to parobczak wiejski bosy, w słomianym kapełuszu i guńce, zarzuconej na ramiona. Przyjrzał się oficerskiemu strojowi Piotra — i nagle skulił się, zgarbił i znikł w jakichś rowach i kępach przydrożnych, jak mgliste widziadło.

— Uciekaj przedemną, uciekaj! — śmiał się jeździec do tego człowieka radosnym śmiechem swej duszy.

Wjechał w wieś rozległą, zabudowaną, pełną

zapachu świeżo zwiezonego siana, którego wozy, jeszcze niewtoczone do stodół, stały przed wrotami. Szczekanie psów go ścigało i tajne szepty w izbach i sadach, — dudnienie bosych nóg po zapłociu, — szelest łopianów... Puścił konia w tęgi cwał, wyjechał ze wsi i znalazł się na drogach nieznanych, przecinających strumień, który daleko lśnił w blasku księżyca. Dostał się w dolinę poprzeczną między wzgórzami. Wierzby tam stały nad wodą, rzucając cień na skoszone łąki. Młode dąbrowy wieszały się po zboczach, czarne i nieruchome w tej cichej nocy. Kędyś daleko, w nizinach zalanych światłem księżyca i białą rosą, rzeka szepotała po kamieniach. Nieobjęta cisza napępiała tę błogosławioną dolinę. Księżyc świecił, tonąc raz w raz w zawłokach przejrzystych chmurek. Jednostajne światło spływało, niby tajemna i niepojęta prawda ze swego źródła, pociągająca duszę ku sobie w jednym zawsze kierunku. Między czarnymi sosnami na wzgórzach, wśród koron skłębionych w głucho-kształtne zwały przesiewało się w parowy to obojętne, wiecznie piękne światło. Każdy jego połysk podniecał uczucie samotności, uwydatniał tęsknotę jestestwa, która nie mogła ostać się w ryzach. Rozpierzchły po obłokach dalekich prześwietny blask księżyca porywał, jakby zastygły w obojętną niepojętość, marzący tam wysoko uśmiech wiecznej radości w pustkowiu niebios. Dokądkolwiek poniosły się oczy, wszędzie świetlistość miesięczna dawała złudne życie martwym przestworom, zaczarowywała je i czyniła mniemanem

siedliskiem nieznanego i przenigdy nie dającego się objąć wesela. Późłocistemi przeguby, cicho i niepostrzeżenie oddzielały się jedne od drugich runa mgieł nocnych, przechodziły z miejsca na miejsce obłoki zwiewne, niby czaty wiekuiste, trzymające straż nad świętymi snami rodu ludzkiego, — niby wigilie zastępów, które wiedzą o bezsennych a pogńębionych westchnieniach, o skrępowanych mocach w duszy człowieka — i uśmiechają się do nich z niebiańskiej świątyni. Dzwonne, nocne świerszczyki tu i owdzie skrzypiały w mroku. Jakieś kwiaty nad wodą strumienia zajaśniały sekretne mienieniem w wilgotnej ciemności. Westchnęły wonie niewidzialnych ziół...

Koń, puszczone znowu, począł stąpać ostrożnie po kamykach, w rosach i cichym pyle drogi.

Poczuwszy w sobie moc duszy, ziemię i niebiosą ogarniającą, jeździec wyciągnął ku niebu potężne ręce, swe własne, a jakby ojcowskie kości w nich były, — rozwarł je ku pracy swej bezgranicznej. Wydarł się ze wszystkich powrozów, wydzwignął ponad siebie, ponad życie i śmierć i uśmiech siły ducha utopił w niebiańskim uśmiechu wieczności.

XIX.

Restauracya, w której zazwyczaj gromadzili się oficerowie, mieściła się na pierwszym piętrze hotelu największego w tem niewielkiem mieście, a najbardziej dbałego o cechę i opinię wielkomiejską. Restaurator niemałą zbijał fortunę. Czyste zyski płynęły do jego kieszeni nie tylko z tłuszców i frytur, lecz również z ustawionego w głębi sali ekranu, na którym panoszyły się puste butelki po drogich likierach i zamorskich winach. Podocho-ceni wojacy na znak najlepszego humoru obalali stale ekran i tłukli wielobarwne szkła obcasami, a płacili słone rachunki jakoby za rozlane wina. Sala była co się zowie po słowiańsku restauracyjna, ozdobiona oleodrukami, suchemi wiechciami farbowanych kwiatów, ogłoszeniami niemieckich zdrojowisk i t. d.

Piotr Rozłucki stołował się w tym zakładzie od przyjazdu z Paryża. Ostatniemi czasy zwolna i systematycznie unikał towarzystwa kolegów z baterji artyleryjskiej, niepostrzeżenie wysuwał się z zebrań klubowych i grzecznie wymawiał od pohulanek w gabinetach restauracyjnych. Tłomaczono to pychą, wykwitłą z zażyłego stosunku z generałem

Polenowem. Szeptano o narzeczeństwie z Tatjaną. Jedni z kolegów byli wskutek tego zimni i nadęci, a inni aż za bardzo uprzejmi i pokorni.

W restauracyi artylerzysta zajmował stale miejsce przy małym stoliczku w rogu, obok okna. Kelnerzy szanowali go, jeżeli tak można powiedzieć, podstępnie za spokój i grzeczność, — może nawet odrobinę za to, że mówił z nimi po polsku.

Pewnego dnia w lecie, gdy cały pułk piechoty wrócił do miasta z manewrów w obozach i gdy w restauracyi roіło się od szlif i szabel, — wszedłszy do sali, Rozłucki spostrzegł przy jednym ze stołów twarz znajomą. W pierwszej chwili nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie to ją widział. Gdy zebrał wspomnienia, uśmiechnął się przyjaźnie. Była to szatynka, którą był spotkał w wagonie, gdy po raz pierwszy jechał z Petersburga do Warszawy. Piotr zajął swe miejsce, odpasał szablę, jak zwykle, systematycznie zawiesił ją, jak codzień, na poręczu krzesła. Spod oka przypatrywał się swej dawnej „znajomej“. Była w towarzystwie kilku osób, pań i panów, najoczywiściej przybyłych ze wsi, bo panowie byli po brwi ogorzali, panie nieobeznane z restauracyą w ogóle, a z tą w szczególności. Były to młode kobiety dosyć ładne i wykwintne, — mężczyźni należący do zamożniejszej sfery. Zajęli osobny stół, zachowywali się cicho, a nawet rozmawiali półgłosem. W ruchach młodej panny, w jej spojrzeniach, sposobie bycia i rozmowy było, jak dawniej, coś niemal dziecięcego. Jak dawniej też była piękna. Nie była to olśniewająca i ośle-

piająca piękność Tatjana, lecz wdzięk nieustannie i coraz usilniej, w miarę obserwacji, promieniujący, uroda na poły ukryta, niekrzykliwa, lecz i nie gasnąca nigdy. Młoda panna ubrana była w najprostsze letnie suknie, w zwykły słomkowy kapelus, a przecie była w nich najzupełniej wykwintna. Ruchy jej były naturalne, lecz powstrzymane w sobie, otamowane wewnętrzną świadomością piękna. Mówiła mało, śmiała się zlekka, choć twarz jej była prześwietlona uśmiechem. Piotr przypatrywał się jej niepostrzeżenie, myśląc:

— Gdybyż to mieć taką siostrę! Gdyby to ta chciała być siostrą!

W pewnej chwili ciemnowłosa panna dostrzegła jego spojrzenie. Od niechcienia przypatrzyła mu się uważnie. Twarz jej zwolna tężała i zakrywała się stopniowo, jakby maską. Rozłucki poczuł dla niej wdzięczność za tę właśnie wzgardliwość, za ten zimny wzrok, odpychający jego, oficera. Szepnął do niej bez wydania głosu:

— Tak dobrze, tak właśnie trzeba, siostro.

Tymczasem do sali napływało coraz więcej gości obiadowych. Osoby cywilne chętniej sadowiły się po kątach, podczas gdy ogorzali w obozach wojskowi z hałasem i bezceremonialnem podciąganiem hajdawerów zasiadali przy głównym stole środkowym. Byli to oficerowie piechoty, ryfy rozmaitego kalibru i rozmiaru, przeważnie kudłate, brodate i kostropate. Naczelne wśród nich miejsce w końcu stołu zajął kapitan Sorokin, gruby opój, z twarzą, jak rondel i sterczącymi kudłami wąsów. Obok

rozsiadło się z piętnastu młodszych. Wszyscy głośno rozprawiali o rzeczach, które ich interesowały, poniewierali kelnerów rdzennymi wyrazami, zaczęli od „zwykłej“, przechodzili do żytniówki z ogóreczkiem, znowu wracali do koniaku i t. d. Ów kapitan Sorokin basowym głosem swoim trąbił na całą salę wszelkie myśli, jakie tylko wyległy mu się w głowie. Opowiadał tedy o jakimś dyalogu swym z fryzyerem, który go właśnie dopiero co golił, — i do tego opowiadania mięszał wyrazy polskie, przekręcając je, wykrzywając, wykpiwając i ośmieszając.

— Pytam go się, — gadał, — a ty „pan“ w Boga wierzysz? — Wierzę, mówi, u nas się wierzy w Boga.

— Jeżeli w Boga wierzysz, to czemu u ciebie obrazu niema? — Niema, — mówi, — panie kapitanie, żadnego potemu przykazu, ani też takiej znowu mody także niema. Każdy, — mówi, — taki obraz wiesz, jaki chce. — W rogu, jak u chrześcianina, powinien być u ciebie obraz i basta. Na ścianie wieszaj sobie choć czorta ogoniastego, czy tam gołą pannę, a w rogu obraz mi powieś! Ja do ciebie, ruski człowiek, golić się przychodzę, to ty dla mnie w swej budzie obraz powieś. Słyszałeś? — Słyszałem, — mówi, — panie kapitanie. — No ty, mówię, słuchaj uchem, bo u mnie żartów niema. Drugi raz przyjdę, zobaczę, że obrazu niema, — źle będzie! — Ja wiem, że z panem kapitanem żartów niema, — mówi, — to też słucham uważnie. — A czemuż to słuchasz tak uwa-

źnie? — Bo pan kapitan po pierwsze jest osoba znaczna, a po drugie korpulentna...

Całe towarzystwo oficerskie zaryczało od śmiechu.

— Ty, Sorokin, w rzeczy samej jesteś osoba korpulentna? — pytał ktoś z tłumu.

— Co to takiego „korpulentna“? — chciał wiedzieć wojak obrosły kłakami, w niebieskich binoklach i obwisłych majtasach.

— W progimnazjum byłeś? — przerwał mu Sorokin.

— Byłem.

— Po łacinie uczyli cię?

— Uczyli.

— Pytali cię, co znaczy takie słowo „corpus“?

— Pytali.

— No otóż masz i słowo „korpulentny“. Tłomacz sam.

— Łaciński naród!

— Nie łaciński, tylko francuski.

— Nasi północni francuzi...

— Pytam ja mojego golibrody, — ryczał znowu Sorokin, — a ty „pan“ co za jeden jesteś, — żyd, czy jaki? — Nie, — mówi, — panie kapitanie, ja nie jestem żyd, tylko chrześcjanin. — Chrześcjanin — patrzcie!... A jakież to ty jesteś chrześcjanin? — Rzymski - katolik, — powiada. — A skoro zostaniesz ze swoją „panną“ bez świadków, to po jakimu z nią rozmawiasz? — Po polsku, — mówi. — No, to któż ty jesteś, co za jeden? — Ja jestem, mówi, — warszawianin, bo z Warszawy, — mówi, — pochodzę i ojciec mój to samo był z Warszawy...

— Otóż i dogadaj się z takim!

— Z każdym z nich tak się dogadasz. Najprzód naprawo, potem nalewo, a w końcu nurka w jakieś łgarstwo.

— Francuski naród... ech! Ty do niego prosto, jasno, po słowiańsku, znaczy, z duszy, — a on do ciebie naprawo, nalewo, a w końcu nurka w jakieś swoje łacińskie łgarstwo!

— To też ich trzymać trzeba!

— Gładzić po skórze można, za włosem i wspak, ale na swobodę popuszcząć — ani — ani!

— Tybyś gładził za włosem i wspak, ot tę, co za tobą siedzi, skromną tę w kapelusiku, — obejrzyj się, Koleczkin!

— Dawno ja się, bracie, na nią oglądam....

Całe towarzystwo oficerskie obejrzało się w istocie na piękną szatynkę i to w sposób tak niewątpliwy, że nietylko ona, ale i towarzyszki zaczerwieniły się po uszy. Wojacy porozumiewali się pomiędzy sobą, nie szczydzili sobie nawzajem wrażeń czy podniet, za pomocą półsłów i pomrukiwań. Kąty sali zaległa nieprzyjemna cisza.

— No a ty, Iwanienko, którąbyś — tę czupurną, czy drugą? — odezwał się ktoś głośniejsze.

— Nie, ta druga na nic! „Okragła, głupia, jak ten głupi księżyc na tym głupim nieboskłonie“, — zacytował tamten Puszkina.

— A więc szatynkę?

— Oczywiście.

— No, dobrze. Chcesz, to ja ją zaczepię.

— Dajcie pokój, panowie, — mitygował ktoś z końca stołu.

— Co? Będę się może krępował tymi, co z niemi siedzą. Zaraz wam pokażę, jak ja to zrobię. Już ja tak nieraz w Warszawie....

Mówiący to zuch mundurowy wyjął z wazonu, stojącego na stole, różę i nieznacznie, ku serdecznej uciesze wszystkich kolegów, rzucił ją na sąsiedni stół, przed talerz pięknej szatynki. Spostrzegłszy to mężczyźni, towarzyszący ostatniej, zaniepokoiili się, zsunęli krzesła dokoła swych pań, groźnie spojrzeli w stronę aroganta, ale znać było, że są oszołomieni samą już ilością oficerów, którzy śmiechem akceptowali i utrzymywali w mocy czyn kolegi.

Ktoś się odezwał:

— Iwanienko! Strzeż się, wąsy ci oberwą ci szlachcice.

— Nie oberwą... — spokojnie rzekł ów Iwanienko. — Boją się. Popatrz na nich, jak się boją. Dawniej, jak chodzili do lasu, nie lubili „moskalów“, a teraz lubią. Pogłaskasz — w rękę całują. Teraz już do lasu za nic chodzić nie chcą. Zmądrzeli i spokornieli... Poczekaj, zaraz ja drugą różę rzucę, czerwoną....

— Tamta była biała, a teraz trzeba czerwoną....

— Walka białej i czerwonej róży. Która zwycięży?

Szatynka, jedząc spokojnie jarzynę, obojętnym i doskonale pogardliwym ruchem strzepnęła na ziemię, niby śmiecie z serwety, ową różę oficerską.

— Nie! To niegrzecznie! — wołał zalotnik Iwanienko, zwracając się wprost do nieznajomej panny.

— To po grubijańsku! — mówił inny.

— W samej rzeczy... tak nie uchodzi...

— Oficerskiej róży na ziemię rzucać nie można.

— Za taką hardość kara być powinna!

— Za taką zniewagę...

— Ot widzisz, Iwanienko, doigrałeś się... — chichotał kapitan Sorokin.

— Ot masz rezultat twej grzeczności....

— Zobaczymy... — wołał zalotnik.

Towarzystwo szatynki szeptało w pomieszczeniu najoczywiściej o sposobie wydobycia się z tej sali. Jeden z mężczyzn usilnie dzwonił w szklanke, przywołując kelnera. Ale kelnerzy przeczuwali zły wynik sprawy i nie zjawiali się na sygnały alarmujące. Schował się również gdzieś w głębi swych ostępów patron ich, zawsze połyskujący łysiną, pierścieniem, dewizką i brylantami kosztownych spinek za kosztownym szynkwasem. Wielki stół oficerów zagradzał drogę do drzwi głównych i do bocznych. Dwaj tedy cywilni mężczyźni spoglądali na reprezentantów siły zbrojnej spodełba, gotując się w sposób bezradny do oczywistej już i nieuniknionej awantury.

Piotr Rozłucki siedział przy swym stoliku, podparłszy głowę ręką i obojętnie patrząc na widowisko. Właśnie gdy nastąpiła chwila zupełnej ciszy, a młody junak Iwanienko miał rzucić nieznajomej zapowiedzianą czerwoną różę, Rozłucki, nie zmie-

niając postawy i nie usuwając ręki spod głowy, rzekł spokojnie a dobitnie na całą salę:

— Panowie, to co robicie, jest haniebnie.

— Kto mówi? — krzyknął kapitan Sorokin, nakładając binokle.

— Mówi oficer, który się wstydzi koleżeństwa z wami.

— Milczeć! — zawołał napastnik Iwanienko, zrywając się ze swego miejsca.

Rozłucki, wciąż w tejsamej siedząc pozycji z podpartą na ręce głową, cisnął w nich wszystkich, jakby wspólny policzek, wymierzony wraz wszystkim w kupie, słowo nie do przetłumaczenia:

— *Swołocz!*

Jakby wybuch pocisku, wyraz ten wyrzucił naraz wszystkich z miejsca. Rumor przewracanych krzesel, brzęk szkła, łoskot zwalonych wazonów, kłątwy, przenikliwy krzyk kobiet i świst metaliczny wywłoczonych szabel.... Rozłucki ledwie zdołał wyrwać z pochwy swoją. Runęli nań wszyscy z gołymi klingami. Pchnął nogą między siebie i nich stół z nakryciem, sam uskoczył w kąt sali i pionowym ruchem wziął pozycję. Ciął w pierwsze z brzegu szable ze wszystkiej mocy. Jeden z pałaszów, wytracony z ręki napastnika, przeleciał nad głowami i rozwalił lustro na przeciwległej ścianie. Z zaciśniętymi zębami artylerzysta rąbał się z ramienia z całą gromadą. Ciął w głowy, w karki, w ramiona, — wprost między szable i na odlew. Krew rzygnęła. W pewnej chwili krzyknął:

— Wychodź z kupy jeden po drugim!

Śmiertelnie rozjuszeni nie słuchali. Natarli nań zbitą masą, jedni przez drugich. Stojący na przedzie nacierali, inni bili zza ramion towarzyszków, chcąc rozsiekać. Rąbiąc się ze wszystkimi naraz, cisnął im jeszcze raz tęsamą zniewagę. Zarazem, fehmistrz pierwszorzędny, płałnął jednego i zwałił na ziemię, — drugiego sztychem odrzucił na wznak i rozłożył na stole, — trzeciemu przetrącił rękę. Miał oparcie w swym kącie, zabezpieczone plecy i ramiona. Mogli go dopadać bronią tylko z czoła. Tu się zastawiał, siekąc ich w krzyż i z ramienia, rąbiąc piorunem z wysoka i przebijając na sztych. Ale wnet pałasz jego, sparowany raz i drugi, zachwiał się, — opadnięty przez ciosy, potknął w ruchu, splątał, — odbity, uderzył w próżnię. Nagle Piotr ujrzał niepojęty, fioletowy blask w oczach. Huk dzwonów posłyszał w głowie, huk jakowyś podniebny.... Krew załała mu oczy, nos, usta. Począł ją chłęptać zamiast tchu. Ściany kędyś runęły, jakby wyleciały z węglów. Zwałił się na twarz, przed siebie, z rozkrzyżowanymi rękami. Spostrzegł tafle wywoskowanej posadzki, — nogi w lakierowanych butach, rozdeptujące po linoleum czerwone plamy, — krew długą strugą szybko lecącą w szpary podłogi. Pchnięty od świadomości, porwał się z ziemi, dźwignął głowę z rozpaczą. Jak przez mgłę ujrzał w rogu sali gromadkę owych osób cywilnych. Dwaj mężczyźni, rozkrzyżowawszy ręce, piersiami zwróceni do sali, zasłaniali kobiety. Ciemnowłosa panna z rękami załamanymi na piersiach, z ustami półotwartymi, w których sam krzyk

zastygł i oniemiał od widoku, patrzyła na Piotra. Leżąc na twarz we krwi własnej, brocząc nią szczodrze, uśmiechnął się do niej radośnie i usiłował powiedzieć po polsku, że ją przeprasza za to, co ją spotkało. Patrzył na jej zsiniałe wargi, na nieruchome oczy.... Mowa splątała mu się w bełkot. Jakieś posępne, czarne wieko z chropowatymi wrębami przygniotło go krajem swym, pchnęło i potraściło w niezgłębione fale mroku.

XX.

Nie umarł zrąbany szablami, nie skonał we własnej krwi. W szpitalu wojskowym, gdzie się z ran leczył, podlegał pilnemu nadzorowi. Czekala go sprawa o wywołanie walki na szable w miejscu publicznem. Nadto wszyscy oficerowie piechoty, których w osobach ich kolegów sponiewierał, pocztywali go za wroga. Natomiast artylerzyści, ludzie o wykształceniu wyższem i kulturze subtelniejszej, nadali mu charakter przedstawiciela. Był przez kolegów odwiedzany, dozorowany po nocach i zaopatrzony we wszystko. Przyjaciele znosili mu książki i rozrywali wszelkimi sposobami.

Zaraz w ciągu pierwszych dni i nocy, gdy był jeszcze napół przytomny, zapytywał nieustannie o listy. Listów nie było. Odwrócony twarzą do ściany, całemi godzinami wpatrywał się w jakąś skazę na obiciu, ażeby wreszcie powiedzieć zdanie niezrozumiałe, złożone z dziwacznych wyrazów.

Nie mógł udźwignąć głowy, szczerlnie bandażami okręconej, ciężkiej jak kowadło rozsiadłe na ramionach. Dolegały bóle fizyczne, paliły ogniem rany, tu i tam rwały, jak wrzody, cięcia od szabli i w całym ciele płonęła gorączka.

W głuchych półsnach, wśród łoskotu, bijącego w uszy, gdy ręce zdały się być ogromne i ciężaru młyńskich kamieni, dręczyły powtarzające się koszmary. Szedł wciąż w nieznanym polach z kimś, czyjej twarzy nie mógł żadną miarą od czoła zobaczyć. Tamten stowarzyszał się, — śpieszyli razem, — lecz zawsze o pół kroku posunięty naprzód, uchodził przed natarczywością słowa.

Piotr pragnął dowiedzieć się prawdy, wejrzeć w sedno, poznać, jaka była tamtego wówczas wewnętrzna siła, co za myśl osiadła jego rozum, jaką była istota woli, skąd wyszło postanowienie i splot uczucia. Prosił się i zaklinał towarzysza drogi, rzucał mu się do nóg — nadaremnie. Czarny cień szedł coprędzej, naprzód i naprzód... Tak dnie i noce w męce mijały.

W tym czasie odwiedził chorego stary weteran Rozłucki. Pragnąc, widocznie, za pomocą swego munduru podratować sytuację awanturczego krewniaka, ubrał się w generalskie lampasy i przybył do szpitala. Piotr wówczas spał. Stary pan czekał długo i cierpliwie na jego przebudzenie. Ale gdy się chory ocknął, zaszła dziwaczna i przykra scena. Piotr długo wpatrywał się w dziada swym zdrowym, niezastłoniętym okiem, naciągał na się kołdrę zdrową, nieporąbaną ręką. Nagle, co wszystkich zdziwiło, o własnej sile podniósł się na łóżku, siadł na pościeli i, przywoławszy starca ruchem ręki, kazał mu nastawić ucho pod swe usta. Tak siedząc, coś mu długo szeptał po polsku. Twarz staro generała od tego szeptu stała się blada, —

później purpurowa, granatowa, wreszcie niemal czarna. W pewnej chwili starzec niespodzianie pchnął chorego na wznak w pościel, wstał ze swego miejsca, obciągnął mundur, wyprostował szlify i, nie oglądając się, wyszedł ze szpitalnego pokoju. Trząsł się na całym ciele ze wzruszenia, gdy wdziewał płaszcz, — bełkotał jakieś wyrazy, zstępując ze schodów. Świadkowie przyszedli do przekonania, że chory w gorączce musiał coś bardzo nieprzyjemnego powiedzieć krewnemu i głęboką sprawić mu przykrość.

Dopiero po upływie paru tygodni doszedł rąk Piotra cały szereg listów Tatjana. Listy te długo wędrowały, a później, gdy chory po awanturze zabrany został do szpitala, uległy rozmaitym perypetjom. Odsyłano je z powrotem Tatjanie nad ocean atlantycki i znowu cofnięto do miejsca przeznaczenia. W ten sposób Tatjana, która z ojcem jeździła z miejsca na miejsce, od długiego czasu nie miała żadnej wiadomości.

Czytając te listy coraz bardziej smutne, pełne niecierpliwości, bojaźni, rozpaczki, dyktowane przez lęk, obrażoną dumę i głuchą boleść, — Piotr gorzko płakał. Nie wiedział, gdzie Tatjana jest, nie mógł sam do niej pisać, — i cóż miał jej donieść? Trzymał te kartki, w najsprzeczniejszych pisane nastroskach, pod poduszką, przytulał je do ust po nocach — i milczał.

Gdy zaczął z wolna przychodzić do siebie, a główne cięcie przez czoło, brew i policzek już nie ogniło się, lecz jeło podsychać, — ból głowy od

rąbanych ran w czaszkę zmniejszył się i ręka nie była już tak zdrętwiała, odwiedził go kilkakrotnie Andrzej syn Eugeniusza Roszow — („André Rochoff“, jak stało na biletach wizytowych, których od czasu awantury kilka złożono na stoliku szpitalnym). Był to młody kandydat do urzędów sądowych, niedawno przybyły z Petersburga, protegowany przez wybitne osobistości, przystojny i elegancki. — Andrzej Roszow bywał bardzo często u generała i w sposób widoczny dla wszystkich kochał się w Tatjanie. Generał lubił go bardzo. Był to człowiek jego świata, niewątpliwy człowiek czynu, prokurator na razie *in partibus infidelium*, ale czyhający na swą chwilę. Roszow był bardzo przystojnym mężczyzną. Ubierał się najwykwintniej w mieście, o wszystkim wiedział, wszystko umiał na pamięć, w każdej sprawie podał radę, jakiej potrzeba, i nic za to nie żądał. Szczęście Piotra zbyt było oczywiste, ażeby go Roszow nie spostrzegł. Wiedzieli o tem wszyscy, że piękny prawnik cierpi, jak potępieniec. On, człowiek zrównoważony, roztropny, spokojny, idący swoją drogą do celu, — na widok Tatjany i Piotra popadał w rozpacz dla wszystkich oczywistą, bladł, nie miał, upadał na duchu, nie panował nad sobą, a nawet przy świadkach płakał. Odrącenie Roszowa nie było tak bezwzględne, jak sobie wyobrażał. — Tatjana, przed przyjazdem Piotra, dosyć lubiła pięknego prawnika. Raz w Paryżu przyznała, że się jej ten „André“ dosyć podobał, a tylko przez wrodzoną przekorność swej natury nie dała tego po-

znać, — owszem czyniła wszystko, ażeby mu odebrać najłżejsze złudzenie. Gdyby jednak Piotr nie był się zjawił na horyzoncie, byłaby może nawet na dobre pokochała Roszowa. Kiedy ten wytworny prawnik po raz pierwszy przyszedł do szpitala w odwiedzin, Rozłucki zdumiał się. Nie oczekiwał Roszowa i nie liczył na jego współczucie. To też kamienne było spojrzenie chorego, gdy patrzył na czarne włosy gościa, rozczesane starannie z lewej strony głowy, i gładko, jak lśniący atlas, przylegające do czaszki, — na jego foremne czoło, równy nos, usta ocienione małym wąsem, na bladość jego cery i postawną figurę. Roszow ubrany był elegancko, jak zawsze. W rękę trzymał kwiaty, które niepostrzeżenie złożył na kołdrze. Piotr ponuro milczał i z boleścią wpatrywał się w te kwiaty. Gdy Roszow począł przemawiać swym głosem miłym, równym, budzącym zaufanie, — milczał także, składając wszystko na ciężki swój stan fizyczny. Mnóstwo zdań, wyrzeczonych przez Roszowa, zmierzało do tego, ażeby udowodnić, że cała opinia w mieście stoi po stronie Piotra, że całe towarzystwo rosyjskie potępia haniebne, właśnie „haniebne“ zachowanie się oficerów piechoty w restauracyi, że cała ta société rosyjska nie ma dość słów współczucia dla pięknej panienki, tak brutalnie napađniętej, która, na szczęście! — znalazła obrońcę i mściciela. Roszow czynił nieuchwytne i niepostrzeżone aluzye, że jest w posiadaniu wiadomości, jak nazywa się i gdzie mieszka heroina tej historyi, wspominał o niej wcięż, wracał do tego te-

matu, wychwalał piękność młodej polki, znowu po-
tępiał oficerów piechoty — nie tylko jako dżentl-
men, nie tylko jako rosyjanin w tym kraju, gdzie
powinno się nieść wysoko sztandar i t. d., ale ró-
wnież jako prawnik, jako jurysta, prawo i prawo
nadewszystko mający na oku wśród nędz tego
padolu.

Piotr wciąż obojętne zachowywał milczenie.

Gdy jurysta znowu począł wprowadzać go
w bieg swych wywodów, popychać niejako ku
pewnemu zamierzonemu celowi, — chory przerwał
mu nagle wykład prostym pytaniem:

— Pan już pisał o tem wszystkiem do Tatjany
Iwanowny?

Roszow zmieształ się.

— To jest o czem?

— O tem, że ja biłem się w obronie tej panny.

— Znając przywiązanie generała Polenowa do
pana, — mówił Roszow zwolna i z namaszcze-
niem, — nadto, znając przyjaźń pańską dla Tatjany
Iwanowny, wiedząc, że pan w tej chwili pisać nie
może, rzeczywiście pośpieszyłem uspokoić generała
i jego córkę, którzy skądinąd mogli otrzymać wia-
domość o wypadku, — że właściwie sprawa jest
drobna.

— A gdzie generał Polenow teraz przebywa?

— W Rapallo, pod Genuą.

— Wraz z córką?

— Tak.

— Dziękuję panu, — rzekł Piotr twardo.

— Poczytywałem to sobie za obowiązek, jako przyjaciel domu generała.

— Postąpił pan, jak prawdziwy przyjaciel.

— Pragnąłem również uspokoić Tatjanę Iwanownę.

— Temi szczegółami o pięknej szatynce?

— Jakto? Czy Tatjana Iwanowna pisała cokolwiek w tej sprawie do pana?

— Nie.

— A — to cieszę się bardzo.

— Z czego?

— Bo w listach zawsze mogą znaleźć się niedokładności, nieścisłości, podczas gdy przy osobistym wyjaśnieniu prawda się objawi.

— Pan to wie dokładnie i lepiej odemnie, jako prawnik.

— Czy nie pozwoliłby pan, ażebym dla uspokojenia generała i jego córki pojechał na ich spotkanie do Warszawy i wyjaśnił detale sprawy, coby ich obydwójce pozbawiło zmartwienia z racji nieuniknionych plotek.

— Ależ oczywiście! — o ile moja zgoda lub niezgoda może mieć jakikolwiek wpływ na pańskie postanowienie.

— Piotrze Iwanowiczu, — chciej pan wierzyć, że powoduję się tylko przyjaźnią dla pana, dla Tatjany Iwanowny...

— Ani na chwilę o tem nie wątpię!

Rozmowa już nie szła. Wątek jej urwał się na tym szczególe o wyjeździe Roszowa do Warszawy. Jeszcze przez chwilę gość siedział, dopytując się

o szczegóły zdrowia Piotra, ażeby wierny obraz jego stanu mógł zawieźć do Warszawy. Pogadał jeszcze bardzo przyjaźnie o tem i owem — i pożegnał chorego.

Piotr wciąż patrzył na jego interesującą twarz, na miłe i pełne wdzięku zachowanie się, na żywotną zwinność ruchów, świadczącą o wewnętrznem zdrowiu. Po wyjściu Roszowa zakrył twarz kapą i, udając, że śpi, w sekrecie przed świadkami szlochał w rozpacz.

XXI.

Pewnego dnia, mniej więcej we dwa tygodnie po bytności Roszowa, dyżurny oficer dał Piotrowi znać, że przyszły go odwiedzić damy. Chory siedział na swem pośłaniu i przez czas pewien nie dawał znaku zgody, ani odmowy. Patrzył we drzwi. Ale oto te drzwi uchylły się i, szeleszcząc jedwabiem sukien, Tatjana wsunęła się na palcach. Za nią szła Matyllda, — a za tą, nieco w głębi i zdala, stąpał Roszow. Piotr podniósł oczy, a raczej oko, na Tatjanę. Była wyjątkowo piękna w wielkim, modnym kapeluszu, w paryskiej zarzutce najnowszego typu, błękitna i woniejąca. Orle jej oczy z drapieżną gwałtownością rzuciły się na Piotra. Usta były, jakby do wydania krzyku, uchylone. Bładość zwolna pokrywała jej twarz. Piotr miał głowę ogoloną, zarost twarzy również, na policzkach plastry. Obwiązany bandażami wyglądał, jak maskara, patrząca z powijaków jednym posępnem okiem.

Tatjana usiadła na krześle, nie podawszy mu nawet ręki. Bezsilnie opadła na to miejsce i bezsilnie patrzyła, nie mogąc oderwać oczu. Bukiet kwiatów, który trzymała w ręce, upadł na ziemię,

co dało Roszowowi możność umieszczenia go niepostrzeżenie na kołdrze chorego. Nagle Tatjana wybuchnęła niepowstrzymanym, wprost szalonym śmiechem. Usiłowała ten nieprzyzwoity śmiech powstrzymać, z całej siły gryząc wargi, usiłowała nawet zakryć twarz rękami, lecz znowu bezsilnie parsknęła na cały głos. Za jej przykładem poszła Matylda. Roszow pragnął nie śmiać się, wywracał białka oczu, pocierał czoło. Lecz i on nie mógł nakazać sobie powagi.

— Coś pan ze siebie zrobił! — krzyknęła Tatjana wśród chichotu. — Matylda, patrz, to jest Piotr Iwanycz.

— Rzeczywiście, biedny monsieur Pierre.

— Cóż pan mówiłeś, — rzuciła się Tatjana na Roszowa, — że to są nieznaczące zadraśnięcia. Przecież on jest porąbany, posiekany na kawałki.

— Byłem i jestem przekonany, — mówił Roszow, — że nie będzie żadnego śladu. Takie zadraśnięcia od ostrych szabel goją się prześlicznie. Za parę tygodni będziemy mogli dostrzec na twarzy Piotra Iwanowicza tylko lekkie blizny, które go w naszych oczach ozdobią i upiększą.

— Ależ to nieprawda! — zawołała.

Nagły odgłos płaczu przebił się przez jej śmiech.

— Upewniam panią... — mówił Roszow.

— Pokaż pan drugie oko! — krzyknęła na Piotra. — Pewno wybite!

— Nie jest wybite, ale dotąd niepewne... — rzekł chory spokojnie.

— Szablą wybite, czy wykłute? Jak to jest?

— Mam cięcie ostrzem szabli od połowy czoła przez brew, kość policzkową, cały policzek aż do dolnej szczęki. Nadrażbane są kości. Czy oko będzie całe, tego nie wiem. W najlepszym razie — krzywe. Kiedyż pani powróciła?

— Wczoraj powróciłam... — rzekła, patrząc na niego nieubłagany wzrokiem. Usiadła na krześle głębiej i poczęła żuć niecierpliwie wargami, co u niej oznaczało, jak o tem doskonale wiedział, wzrastającą pasyę. Do oczu jej nabiegały łzy, ale je przemocą powstrzymywała. Zdjęła rękawiczki i bezwiednie upuściła je na ziemię. Widać było, jak precudne białe ręce drżą i same lecą, ażeby się na szyję Piotra zarzucić. On poznał, że kolana jej ściskają się z pragnienia, ażeby runąć przy łóżku. Usta kurczył coraz szybciej wewnętrzny, w śmiechu zaciśnięty jęk.

Serce Piotra poczuło obecność serca Tani. O, jakże nieopisana ocknęła się w niem miłość!

Tatjana wybuchnęła:

— A cóż ta „panna“, dla której wdałeś się pan w ten rycerski bój, odwiedzała już pana?

— Nie, — odrzekł Piotr.

— Niewdzięczna!

— Nie znam jej wcale.

— Och, mnie to nie interesuje, czy się państwo znacie, czy nie.

— Nie znam jej. Powiedziałem prawdę.

— Za to ja ją znam. Monsieur Roszow opowiedział mi, która to jest. Widziałam ją tutaj kiedyś na balu w resursie, gdzie było towarzystwo

polskie i rosyjskie. Ubrane to było pospolicie, po tutejszemu.

— Ale z wdziękiem, temu pani nie zaprzeczy, — wmięszął się do rozmowy Roszow.

— Och, ta osoba pełna jest nie tylko wdzięku, lecz i mnóstwa innych przymiotów duszy... — cedziła Tatjana z jadowitą ironią.

— Nikt jej przecie bliżej nie zna, więc po cóż tyle o niej mówimy? — westchnął Piotr.

— Czy nie sądzi pan, że ja zniżam się aż do zazdrości o tę piękną nieznajomą? Proszę mnie nie poniżać takimi przypuszczeniami... — miotała się w pasyi.

— Pani zna tę osobę? — interesował się Roszow.

— Na owym balu zaznajomiono nas. Tańczyliśmy. W jednej figurze poprosiłam ją o wachlarz, gdyż swój gdzieś zarzuciłam w poprzednim walcu. Spojrzała na mnie conajmniej, jak Marya Leszczyńska, i po pewnej chwili podała mi ten wachlarz w taki sposób, że go wcale nie dotknęłam.

Mademoiselle Mathilde przezornie i mądrze nadzwyczaj ożywioną rozmową poczęła zabawiać jurystę Roszowa. Dla zwierzenia mu jakiejś nad wyraz interesującej myśli odprowadziła go na drugi koniec sali, a następnie, zaciekawiona niespodziewanie urządzeniem wewnętrznem szpitala, wyciągnęła pięknego kandydata do sąsiedniego korytarza.

Tatjana rozejrzała się po sali. Zdawała się czekać na ruch Piotra, na skinienie jego ręki, ażeby

ją okryć pocałunkami. Ale obiedwie ręce chorego, ciężkie i nieruchome, leżały na kołdrze. Spojrzenie oka nie podnosiło się z tego miejsca, na które padło. Łzy płynęły z oczu jak krew, brocząca z rany. Bolesny uśmiech otoczył wargi. Tatjana zadrżała na widok tego uśmiechu. Znała go. Całe jej ciało drgnęło od nagłej rozpacz. Gniew począł ją znowu szarpać. W jednej chwili gotowa była rzucić się na Piotra, zedrzeć mu z twarzy bandaż, a zamiast tego czynu poczęła go bezsilnie błagać oczami, ażeby raczył pierwszy wyciągnąć rękę. Gdy się ta ręka nie wyciągała, zniżyła się sama i śliczną zakochaną dłoń położyła na zimnych jego palcach. Palce te drgnęły. Uśmiech twarzy, widzialnej spod bandażów, stał się jeszcze bardziej bolesny.

Ścisnęła mu rękę i potrząsnęła ją z całej siły.

— Ty! Cieniu! — zawołała nań szeptem a z dziką furią.

Podniósł powoli głowę ciężką, jak kowadło, i rzekł z nieopisaną męczarnią:

— Roszow z tobą.

— A tyś się bił za tę!

— Roszow z tobą.

— Piotruś... — wyszeptała śmiertelnie blada, drżąc na całym ciele. Najczulsze to słowo wypłynęło z jej serca, najwierniejsze spojrzenie z oczu.

— Roszow... — rzekł bez miłosierdzia, kiwając głową.

— Cóż ty ze mną robisz? Coś ty tu nawypra-

wiał! Po coś to zaczął? Czemuś się w to wmięszal? Zabiłeś mnie i siebie.

— Tylko siebie.

— Papa nie chce cię widzieć.

— Dziwię się, że ty chciałaś mnie widzieć...

Tatjana wybuchnęła głośnym, bezsilnym płaczem zranionego dziecka. Wbiegła Matyllda, za nią Roszow zaniepokojony, rzucający się tu i tam, pełen głębokiego współczucia. Tatjana, nie kiwnąwszy głową w stronę Piotra, wyszła. Za nią jej towarzysza i towarzysza.

XXII.

W jaki tydzień później oficer dyżurny zawiadomił chorych, że odbywa się lustracya szpitala i że sam generał-komendant za chwilę wejdzie do sali. W istocie generał Polenow - Czernowratskij wkroczył. Był wyprostowany, srogi i tak sztywny, jakby połknął własną szpadę, którą ku przerażeniu śmiertelnych niósł przy boku. Miał na sobie mundur uroczysty, połyskiwał orderami, lampasami i szarfą. Surowy mars nie schodził z jego czoła, odkąd przestąpił próg pokoju. Piotr doznał wrażenia, że generał nie chce go widzieć, nie przywitał się i nie przywita, — lecz pogodził się z tym losem. Siedział na swem łóżku obwiązany bandażami i czekał na rozwój wypadków. Generał rzucał okrutnem okiem po kątach, zaglądał tu i tam, jak przystało na lustratora, lecz po chwili zwrócił się wprost do Piotra ze swą gniewną i złowieszczą twarzą. Dał znak swej świcie, żeby go opuściła. Gdy lekarze, dozorcynie, felczerzy, oficerowie dyżurni i inni usunęli się z pokoju, generał siadł na krześle i dwakroć groźnie spoglądał na Piotra, — może dla ukrycia braku słowa, od któregoby zacząć. Rzekł wreszcie z należną bezwzględnością i majestatem :

— Czy pan wiesz, że jesteś podsądnym ?

— Wiem, panie generale.

— Czy pan wiesz, że za tak ohydną sprawę, jaką tu wszcząłeś i skroiłeś, może cię czekać degradacja ?

— Wiem, panie generale.

— Czy... tego... Czy takiego postępku mogła się po panu spodziewać pańska władza niższa i wyższa, ja, jako zwierzchnik bezpośredni, pańscy koledzy, całe społeczeństwo rosyjskie w tym kraju, wreszcie cała armia, sztandar... wreszcie... Co ?

— Nie rozumiem, o co chodzi, panie generale.

— Jakto? Nie rozumiesz pan? Radzę, żebyś raczej milczał, kiedy do pana łaskawie przemawia pański naczelnik. Jak? A to co takiego znowu? Milcz pan! Łaskawość moja rozzuchwaliła pana... Ale i wyczerpała się! Sądzisz może, że zatuszuję tę sprawę i dlatego umyśliłeś sobie rozbijać się tutaj, broić, czynić, co ci się spodoba. Liczysz może na bezkarność, — otóż wiedzże pan...

Piotr uśmiechnął się ironicznie.

— Śmiejesz się pan, kiedy generał mówi!

— Nie śmieję się, panie generale.

— Śmiejesz się! Do kroćset!...

— Jestem chory, panie generale.

— Jesteś chory, ale jesteś także podsądny!

— Sąd orzecze o mojej winie.

— Sąd!...

Generał stracił doskonały wątek dotychczasowy i nie wiedział na prawdę, jakimby argumentem zmiażdżyć krnąbrnego pyszałka. W istocie rzeczy

powołanie się na sąd przecinało rozmowę. Generał czuł, że uniósł się niepotrzebnie i, co gorsza, niewłaściwie. Długo sapał, poprawiał szpadę i rzucał się na krzesło. Wreszcie, pieniać się wewnątrz, dorzucił:

— A więc dobrze — sąd! Sąd wojenny, kiedy tak i basta. Nauczają rozumu.

— Czekam ze spokojem na wyrok.

— „Ze spokojem“. Bohater!

— Bohater czy nie bohater, lecz w każdym razie porządny i dobrze wychowany człowiek.

— Głowę przerabali, z baterii wyrzucają, zdegradowują. „Bohater“!

— Pan generał, gdyby był tam wówczas na moim miejscu i na moim niskim stanowisku, nie mając innego wyjścia, z pewnością postąpiłby był taksamo, jak ja.

— Co znowu? Co takiego? Co pan mówisz?

— Jakto? Czy mogę przypuścić coś innego? Czy pan generał pozwoliłby na to, ażeby w jego obecności w miejscu publicznym zgraja półpijanych oficerów grubijańsko zaczepiała cichych, przyzwoitych, cywilnych ludzi?

— Piękne panny...

— Tak jest, piękne panny, obiadujące w towarzystwie spokojnych ludzi...

— W dodatku polki...

— W dodatku polki... — mówił Piotr dobitnie.

— Właśnie ten szczegół jest ciekawy!

— Właśnie ten szczegół. Więc wolno jest ofi-

cerskiej gromadzie postępować tak, jak tamta, dla tego, że to byli polacy i polki?

— Pan się zapominasz, mówiąc do mnie!

— Nie, panie generale. Ja zapytuję o jego pogląd na tę sprawę.

— „Pogląd“! Pan wiesz, jaki jest mój pogląd... Pan wiesz, że ja polaków... tego... Jak pan śmiesz przypisywać mi coś podobnego! Pan dobrze wiesz! Ale pan wówczas ośmieliłeś się rzucić w twarz kolegom oficerom zniewagę nie do zniesienia. Pan wypowiedziałeś wyraz...

— Tensam wyraz powiem na sądzie. Tego wyrazu nie cofnę na sądzie i nigdy i nigdzie! Czy wykonali jakikolwiek akt ekspijacyi za swój postępek względem tych kobiet i mężczyzn? Żadnego! Każdy oficer powinien był postąpić tak, jak ja. Rzucili się na mnie całą gromadą, — porąbali mię. To też ja tego słowa nie cofnę nigdy!

Generał był niezdecydowany, co powiedzieć. Patrzył srogo, musztrował wąsy i poprawiał niesforną szpadę.

— Piotr Iwanycz, — rzekł z innego tonu, — uspokój się pan. Nie o to chodzi. Rozumiem... Obowiązek honoru — i tam dalej... Chodzi teraz o to, żeby sprawę zatuszować. Pojmujesz, Piotr Iwanycz?

— Nie. Tego nie pojmuję. Wyzdrowieję, — będzie sąd. Umrę z ran, — nie będzie sądu. Oto wszystko.

— Przestań, proszę cię, przestań! Tak się złożyło, że twoja opinia poprawia się. Nawet ofice-

rowie piechoty dzielą się teraz na dwie partye. Jedna partya jest za tobą, — nieliczna, — druga jest przeciwko tobie, — bardzo liczna. O cóż chodzi? O to, żeby ta liczna zmałała, a ta nieliczna wzrosła w siłę. Musisz zrobić jakieś ustępstwo, przeprosić, cofnąć słowo. Wtedy można będzie sprawę postawić na poziomie zatargu honorowego. Rozumiesz, co mówię? Zatargu honorowego...

— Nigdy tamtego słowa nie cofnę, panie generale. Każdemu stanę po kolei na placu. Niech cały ten pułk piechoty!

— No-no, no-no! Bohater!

Piotr schylił głowę i długo milczał. Wreszcie podniósł oczy i rzekł krótko:

— Pan generał rzuca mi raz po raz to słowo „bohater“, jako przezwisko. Otóż, niech będzie, jestem bohaterem.

— Bajronowskim, czy jakim innym?

— Jakimś innym... — rzekł Piotr, patrząc mu głęboko w oczy.

Generał wykonał zdecydowany ruch władczą dłońią, jakby miał zamiar wtrącić Piotra na jakieś dno mamertyńskie, lecz się powstrzymał. Widać było, że jeszcze coś ma do powiedzenia. Przeszedł się po pokoju i rzekł z namysłem:

— Jakże te rany?

— Goją się.

— A lekarz mi mówił, że nie tak znowu szybko wstaniesz. Nie tak szybko!

— Skoro trzeba będzie leżeć, cóż robić...

— Właśnie. A czy... tego...

— Słucham, panie generale.

— A czy... tego... nie wolałbyś, Piotr Iwanycz, leżeć u mnie w domu? — pytał generał surowo i niby między innymi lokucyami, choć Piotr domyślił się, że po to został przez Tatjanę przysłany.

— Dziękuję...

— Czegóż masz dziękować... Wiesz chyba, bracie, że... tego...

— Nie wątpię. Wiem dobrze, jak pan generał łaskaw jest na mnie, lecz muszę leżeć tutaj. Gdybym skorzystał z łaskawego zaproszenia, oficerowie całego pułku piechoty mieliby prawo rzucać mi w oczy słusznem urąganiem, że jestem faworyzowany.

— Co mi tam oficerowie pułku piechoty!

— Gdyby przyszło do sądu, podanoby w wątpliwość wyrok. Mogliby ludzie słusznie twierdzić, że wyrok jest złagodzony na moją stronę dzięki poparciu pana generała.

— Cóż to ma jedno do drugiego?

— Proszę mię zostawić tutaj, — prosił Piotr ze szczerością.

— Wiesz dobrze... — rzucał się generał, — jaką przykrość, jaką straszną przykrość wyrządziłeś Tatjanie. Dziecko szłocha po całych dniach, po całych nocach... Mówiła mi mademoiselle Mathilde, że nie je i nie pije, że się tylko ślania po sofach i płacze. Wymioty jakieś żółciowe... — ciągnął zupełnie bezradnie.

— Tak, zawiniłem, — rzekł Piotr twardo.

— Nie może nawet odwiedzać cię tutaj, bo do

czegoż to podobne? Tam pielęgnowałyby cię z mademoiselle Mathilde i szybko wróciłbyś do zdrowia.

Generał rozkleił się zupełnie. Surowa marsowość wypełzła z niego i zaczęła się chyba tylko w lampasach zeszytniałych kolan, w wysokości kołnierza i w srogiej szpadzie. Siedział zgarbiony, w postawie niemal petenta, naiwnie uśmiechnięty i bodaj na równi z córką zakochany w Piotrze.

— Toż całe miasto poczęłoby pleść tysiączne anegdoty, gdybym się stąd przeniósł do domu pana generała...

— Właśnie, właśnie... Wszyscy dziś mówią, że jesteś zakochany w tej polce, że dla tego biłeś się za nią. Pomyśl!... Tatjana!... A ot, dałeś się porąbać za tamtą. Gdybyś się teraz przeniósł do mnie, Tania byłaby uszczęśliwiona, bo byłby to dowód, że tamto — było sprawą li tylko honorową, bez żadnej głębszej przymieszki. Szczerze z tobą mówię... Sam wiesz, jak Tania, — sam wiesz, co w Paryżu... Tania — jakaż to złota dziewczyna... Piotr Iwanycz...

W głosie starego oficera brzmiała głęboka, pokorna, niska prośba. Piotr uczuł, że w tej minucie waży się coś w nim, jak na szali. Porwał się w sobie samym i wzmógł na duszy. Rzekł:

— Tania mię zrozumie! Muszę tu zostać.

— Musisz... — westchnął generał.

— Muszę!

Zarazem podniósł na starca oczy pełne wewnętrznego blasku i pieszczotliwie pogładził ręką jego rękę.

XXIII.

Po upływie trzech dni zmienił plan i postanowił przenieść się do domu generała Polenowa. Mocowanie się wewnętrzne do tego go przywiodło. Poczul, stopniowo wgłębiając się w swój stan wewnętrzny, że jeśli odmówi sobie tego, co mu zaproponował generał, nie da sobie rady z zazdrością i tęsknotą i będzie przez nie pokonany. Postanowił zbadać wszystko, co jest i co go czeka, poznać głębię swoją i zewrzeć się z nią. Wiedział sam wobec siebie, że popełnia jakgdyby cofnięcie się przed prawem swej duszy, że się zniża i odstępuje od ołtarza, ale tak musiał, ażeby duszę w ogniu rozpalić i zgiąć w kształt, jaki obierze. Napisał list do generała niejako z prośbą o zabranie go do domu. Tegoż dnia, wieczorem został przewieziony w zamkniętej karecie. Otrzymał pokój na drugim piętrze, jeden z owych, których małe okna wychodziły na ogród. Pokój ten był w drugim skrzydle domu, zdaleka od pokoju Tatjany, tak Piotrowi znanego.

Leżąc na łóżku, miał przed oczyma korony wielkich drzew, okalających sad, dalekie lasy i dalekie wzgórza. Ponieważ rany się goiły, mógł wsta-

wać i całymi godzinami patrzeć w przestwór. Była to druga połowa sierpnia. Owoc ogrodu dojrzewał. Gdy upalne promienie padały w kręte uliczki, czerwieniły się ogromne jabłka, kiedyindziej ukryte, i wynurzały spod liści ciężkie grona żółtych, zwi-sających gruszek. Z górnego okna ogród ten wy-głądał, jak niedostępna, zaciszna świątynia, a ta-jemnica dojrzewania w niej owoców z dnia na dzień stawała się coraz głębiej odczuwanem prze-życiem duchowem. Upał letni istniał, zdawało się, dla tego sadu jedynie. Stwarzał i wydobywał zeń nieuchwytny zapach owoców, rozprowadzał ich barwę między jednolitemi liśćmi. Księżyc zakradał się po nocach w te tajne, wąskie uliczki. W jed-nych zostawiał cień, najczarniejszy, na jaki stać głęboką noc, a w innych rozpościerał czarodziej-skie marzenie swego blasku, jakby uwidocznianą tajemnicę nocnego miłosnego snu. Chłód wtedy i mrok, tający się pod ciężarnymi gałęziami, spajał się z milczeniem. Trwały świątynne, bezszelestne godziny, podczas których tajemnica dokonywała się w mroku. Sufit pokoiku był niski, meble naj-zupełniej skromne, okienko małe. To też Piotrowi śniło się wciąż, że jest w więzieniu. Siedział przy oknie długo nieraz w noc i śnił na jawie, że jest w więzieniu nie tylko materyalnem u ludzi, u wy-padków, u losu, ale w więzieniu u samego siebie. Patrzył w ogród, jakby w oblicze milczącej wy-roczeni i chciał w niem wyczytać odpowiedź, czy kiedy wybije godzina wolności. Czuł, że w jego piersiach leży, czeka i wolno, równo, zdrowo bije

serce nieustraszone, przed niczem nieulekłe, lecz wciąż jeszcze nieme i posłuszne rozkazowi milczenia.

Nawijało się wciąż wspomnienie ze szkolnej wojennej ławy o królu Anglii Ryszardzie, zwanym *Coeur de Lion*. Niezwalczony rycerz Lwie Serce siedzi oto zamknięty w ponurym zamczysku Durnstein, siłą przemocy ujarzmiony. Olbrzymie przyszłe dzieje angielskiego plemienia, niezmierne, myślą niezgruntowane czyny potomków na obszarach ziemskiego łądu i na morzach świata śpią w jego sercu, w jego woli, która go popycha do prac szalonych i wysiłków lwich. Ale rycerz jest sam. Opuścili go wszyscy i zdradziło go wszystko. Czeka daleko królestwo jego potęgi, rumak bojowy za górami i za morzami, i złoty tron. Nie rozpacz przecie jest w sercu, nie boleść, nie niecierpliwość. To serce umie czekać. Ono w przedziwny sposób wie, że idzie zza gór, zza siedmiu rzek wierny przyjaciel, że krąży pod murami przybysz ze stron dalekich, wierny trubadur Blondel de Nesle. Nadejdzie dzień, gdy Blondel zaśpiewa wspólny ich utwór, prowansalską romancę. A kiedy pierwszą strofę tamten zaśpiewa, rycerz ujarzmiony odpowie mu strofą drugą. Tak się poznają.

Piotr wiedział, że nie ma na ziemi swego Blondela de Nesle. Niewola jego była sroższą, niż w zamczysku Durnstein, — królestwo stokroć bardziej dalekie, — samotność po tysiąc razy zupełniejsza. Królestwo jedynie w duszy istniało, — nieo-

beszłe, olbrzymie, stokroć piękniejsze, niż dziedzictwo Plantagenetów.

Patrząc tak co dnia w cichy ogród i cierpliwie mierząc swój czas dojrzewaniem owoców, zmianą barw na rumianych jabłkach i żółtych gruszkach, Piotr śnił swój tajny sen. Cierpliwość niewyczerpana, cierpliwość owocu, który się nie śpieszy w dojrzewaniu, cierpliwość siła lwia — osiadła w jego sercu.

XXIV.

Przeniesienie się do domu generała po awanturze z oficerami i w takim stanie zdrowia było ze strony Piotra aktem męstwa. Domyślał się, jak zraniona musi być Tatjana. Gdy przychodziła odwiedzić go, zawsze w towarzystwie generała, albo mademoiselle Mathilde, witała go i żegnała w milczeniu, albo cichym, złośliwym uśmiechem. Wpatrywała się weń ciągle z uporem i natrętną pilnością... Znała jego uwielbienie dla swej cielesnej piękności, posunięte aż do szału, to też umiała je teraz wystawiać na próbę. Przyszędłszy z ojcem, lub Matyldą, umiała tak zawsze usiąść, aby się, niby przypadkowo, odsłoniła jej prześliczna noga w lakierowanym pantofelku i przejrzystej pończosze. Umiała niepostrzeżenie musnąć wargami rękę chorego, — tak uczesać włosy, jak to lubił, albo wymówić nie głosem, lecz ruchem ust dźwięki, które ich zawsze doprowadzały do szału i miłosnego obłądu. Piotr mocował się z tem wszystkim. Prowadził dyalektyczne dyskusye ze swą zaczajoną namiętnością, usiłował ugłaskać ją, pokonać, obalić, zdusić. Wmyślał się tedy w piękność Tatjany i w jej duszę, — doprowadzał wyobrażenie do najwyższej granicy,

okazywał sobie samemu siłę swej miłości, badał i mierzył władzę jej nad sobą, a później, naprzeciwko tej piękności i rozbudzonym przez nią uczuciom wyprowadzał objawy pustki wewnętrznej w myślach Tatjany, zepsucia, wyhodowanego w niej przez otoczenie, obcości i wrogości jej względem swego ducha. Rozpoczął zacieklą walkę. Zamykał oczy, gdyż nie miał odwagi wprost patrzeć na większość środków tej walki. Jeżeli nie pomagała broń jawna, dobywał broni zdradzieckiej, okrutnej, której nie chciał widzieć i nazywać... Szukał w sobie nie tylko duszy lwa, lecz natury tygrysa: mówił do siebie, że przecie zgwałcił już duszę i ciało tej dziewczyny, posiadał ją, nasycił się i powinien mieć dosyć. Nie dawały jednak pewności zwycięstwa te wszystkie sposoby. Niweczyły najlepszy oręż ślady cichych łez Tatjany. Gdy odchodziła z jego pokoju wyprostowana, zimna, niema, bez ostatniego spojrzenia, jakby stosująca się do jego usiłowań, a na schodach, zstępująca ze zwieszoną głową, łkała głucho bez pocieszenia i nadziei, — jak o tem wiedział wybornie, gdyż znał ją zbyt dobrze, — upadał na łóżko z przekleństwem, rzucając wyzwiska i obelgi lwiemu sercu swemu.

Zaczął nanowo zbierać szczegóły, jak średnio-wieczny prokurator, gromadzący dowody przeciw czarownicy, piętrzyć w myśli objawy moralnego zepsucia Tatjany. Patrzył, jak wyrosło ze zbytku. Genezę zbytku wyprowadzał z rabunku dóbr, wypracowanych w pocie czoła przez nieszczęśliwe ludy. Chciwie i nieubłagane rozmyślał, jak łzy

i pot stwarzają, zastawiają i noszą srebrne półmiski, jak szyją, piorą i podają do wdziania miękie jedwabie i łagodne atłasy. Obliczał w myśli wszystkie tyranie, podłości, zbrodnie, zdrady, pochlebstwa i służalstwa, z których wyrasta piękna wojskowa ranga, salon, ogród, śliczne meble, pudełka biżuterii i flakony wonnych perfum...

Prowadziła z nim niemniej zaciekle wojnę Tatjana. Pewnego dnia zostawiła obok łóżka w sposób niepostrzeżony, niewinny i naiwny paczkę listów, pisanych do niej ostatnimi czasy przez rozmaitych wielbicieli. Jedni z nich byli Piotrowi znani, inni nie. Pewne wyrażenia w tych listach były doszczętnie pozamazywane ręką Tatjany, w najoczywistszym celu pchnięcia go w rozpacz. Prócz tego stale i niezmiennie przebywała w towarzystwie Roszowa. Piękny prawnik był teraz nieodstępny jej satelitą. W domu generała bawił ciągle. Zdawało się, że w nim na stałe zamieszkał. Ciągle coś przywoził, przynosił, odwoził do sklepów, załatwiał najrozmaitsze sprawy dla wszystkich, a szczególnie dla pań. Głos jego słyhać było w salonie, w ogrodzie, w kancelaryi, a nawet w drugim skrzydle, gdzie mieszkała Tatjana z Matyldą i gdzie dawniej tylko jeden mężczyzna, i to tajemnie, bywał. Do pokoju Piotra Roszow nie przychodził. Czasem tylko z głębi ogrodu, dostrzegłszy chorego w oknie, kłaniał mu się z wyrazem niekłamanej życzliwości, jak miłemu gościowi, w dodatku choremu, którego ze wszech miar należy obdarzać grzecznością. Dźwięk głosu Roszowa za-

wsze był wesoły, drgał śmiechem — i echo śmiechu mu odpowiadało. Stołeczne anegdoty, petersburska wymowa, nadzwyczajna elegancya, wiele wiadomości z najrozmaitszych dziedzin wiedzy ludzkiej, niemała bystrość i pamięć — wszystko to oczarowywało słuchaczy i widzów.

Coraz więcej osób bywało teraz w progach gościnnego generalskiego domu, w cieniach ogrodu, a szczególnie pod dachem altany, oplecionej dziwką winem. Piotr słyszał to wszystko ze swego wysokiego okienka...

Pewnego dnia, patrząc w ogród, zauważył w jednej z krętych uliczek błysk niebieskiej sukni Tatjany. Błysk ten przesunął się w masie zieleni, jak gdyby wsiąkł w nią i doszczętnie zginął. Ale oczy Piotra były tak mocno wlepione w gęstwinię i tak już do niej przywykły, że dostrzegły za tą na pozór nieprzeniknioną zasłoną drugi kolor, biały kolor flanelowego kostyumu Roszowa. Ciężka głowa upadła na ręce. Myśli ustały — i ciemna noc spadła na duszę. Wśród swego cierpienia Piotr usłyszał nieoczekiwanie odgłos kroków Tatjany i szelest jej sukni tuż za swymi drzwiami. Szelest był cichy, cichszy a piękniejszy, niż śpiew sosen za oknem, niż sypki poszum liści lipowych. Tatjana uchyliła drzwi bez uprzedniego stukania i wsunęła się do pokoju. Bolesnie były uśmiechnięte jej usta, a oczy bezsilnie stęsknione. Piotr nie tylko ujrzał, lecz uczuł znowu jej piękność. Oczy jej były niedość, że kochające, lecz upadłe pod przymusem miłości, namiętne, żądne, czyhające na drogę spoj-

rzenie. Miała na sobie lekki kostyum błękitny, który byli razem wybierali w Paryżu. Szatka ta ledwie zasłaniała jej ciało. Głowę okręciła włosami tak, jak to najbardziej lubił. Usiadła naprzeciwko, lecz za chwilę podniosła się i, patrząc mu z wyzwaniem niewymownem w oczy, cichaczem podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

— Gdzież jest pan Roszow? — zapytał natychmiast z okrucieństwem i mniemaną obojętnością.

Pytanie to zatrzymało ją przy drzwiach i jakgdyby sparaliżowało jej ręce.

— Ciągłe się dopytujesz o tego Roszowa?

— Ciągłe jest z tobą, więc gdy go przy tobie nie widzę, dziwi mię to. Dla tego się pytam...

— Nie, ty nie dla tego się pytasz, lecz chciałbyś mi go podsunąć.

— Ja ci chcę go podsunąć, Roszowa?

— Ty!

— Nic na świecie nie rozumiesz, nic cię nie obchodzi, oprócz pieniędzy, zabawy i używania, więc i tego nie rozumiesz, coś powiedziała.

— Powiem ci prawdę, choć tak nic nie rozumiem. Tybyś może był nieszczęśliwy, gdybyś mię z tamtym zobaczył, ale teraz chciałbyś, żeby tak było. Tybyś tego chciał i nie chciał. To jest nie to: chciałbyś, żebym ja to wbrew tobie, naprzekór tobie zrobiła, żebym to ja uczyniła cię nieszczęśliwym, żebym ja wszystko podarła i zerwała, a ty żebyś mógł mną męczeńsko pogardzić.

— Bardzoś przewidująca!

— O, ja teraz jestem bardzo, strasznie przewi-

dująca. A zaprzecz, że to, co powiedziałam, nie jest prawdą.

— Powiem ci prawdę, ale i ty mi ją powiedz.

— No!

— Całował cię już ten Roszow?

— Nie, jeszcze mię nie całował, ale mi wciąż mówi o swej miłości, leży u moich nóg, jak pies, i błaga mię o jeden uśmiech...

— Całował cię już ten Roszow?

— Raz mię pocałował w rękę przy papie i Matyldzie. Więc, mówże mi, co mam robić.

— A zrób, co chcesz! Mnie czynisz powiernikiem jego amorów. Także pomysł!

— Słuchaj!

— Nie chcę słuchać!

— Piotruś... zlituj się nademną. Jeśli tak będzie dłużej, zabijesz mię, zabijesz mi duszę!

— Ja nie chcę zabić dla ciebie swojej duszy. Rozumiesz, co mówię? Prosiłem się Boga o przemienienie w tobie, tam w tem Notre-Dame. Modliłem się do Joanny d'Arc, żeby się przyczyniła za tobą. Ale nic się w tobie nie stało. Dawałem ci książki, prowadziłem rozmowy. Po nocach się tutaj mocowałem... Cóż ty jesteś? Wystrojona panna, piękna generałówna. Byliśmy wciąż obcy. Ja szedłem na moją stromą górę, a ty w dolinę. Nie masz duszy.

— Piotruś, co się z tobą stało? Co się stało? Co teraz mówisz do mnie? Takie słodkie, pachnące, czarodziejskie słowa do mnie mówiłeś. Głaskałeś moje włosy, całowałaś w usta, w usta, pamiętasz

Wojta
500m

nasze pocałunki, — Piotruś, pamiętasz?... Byłeś mój i ja byłam twoja. Wszystko ci poświęciłam, co tylko powab stanowiło we mnie. A czego jeszcze chcesz? Ja wszystko zrobię, co tylko rozkażesz! Wszystko oddam, czego tylko zażadasz! Gotowa jestem być służącą w twoim domu, niańczyć twoje dziecko... Niech mi tylko wolno będzie być obok ciebie, w drugim pokoju, czy w kuchni... Niech tylko słyszę, że ty tam jesteś, żeś przyszedł, mój kochany pan, mój kochaneczek, moje złote słoneczko... Piotruś, nie mogę zrozumieć...

— Nie zrozumiesz...

— Będę się starała zrozumieć. Dołożę sił! Ja nie jestem zdolna, ale potrafię być uparta. Jestem inna, — to prawda, nie umiem nic a nic, ale się zmuszę. Jeżeli to trzeba uczyć się czego, będę się uczyć. Jeśli trzeba...

Piotr zwiesił głowę i milczał.

— Dla czego milczysz, Piotruś, — dla czego? — wyszeptała zrozpaczona, ślaniając się obok niego na kolanach po ziemi.

— Milczę, — bo cóż ci mam powiedzieć? Jestem bezsilny głupiec.

— Nie! Jesteś mądry i wzniosły i szlachetny. Jesteś dostoyny rycerz, którego nikt nie rozumie i nikt zrozumieć nie chce. Jesteś mój nauczyciel i ja jedna pragnę cię zrozumieć. Tylko mi powiedz, czego chcesz. Powiedz!

Pochwyliła jego rękę i przycisnęła do ust rozpalonych.

— Kiedy ja nie wiem, co mam powiedzieć... —

szeptał. — Jeżeli się teraz nachylę i zacznę całować twoje prześliczne usta, to zabiję swoją duszę na wieki i podepcę święty proch mojego ojca.

— Twojego ojca?... — spytała z przerażeniem.

— Mogłabyś być tylko moją kochanką. Duszy mojej nie mogę ci oddać.

Nachylił się niżej i powiedział jej prosto w oczy:

— Nie mogę ci nawet pokazać mojej duszy.

— Dla czego? — spytała, obejmując go skurczonemi palcami, jak szponami.

— Dla tego, że tak. Tyś się urodziła, jako córka rosyjskiego generała i tyle wiesz, ileś w tym generalskim świecie mogła zobaczyć. A ja się urodziłem między polskimi grobami.

— To są tylko piękne słowa, któremi się wciąż mordujesz i przebijasz.

— Ty nie jesteś niczemu winna, bo jesteś dziecko. Ale w tobie, w dziecku, stręszcza się świat, który cię wydał. Narody się mordowały, zbrodnie pokrywały się zbrodniami, konali ludzie w kajdanach, a ich śmierć na nic się nie zdała, — pomyśl! — marli po rowach dalekiej drogi, a nic im dotąd nie dało zadosyćczynienia. Marli po to, żebyś ty mogła być tak wesołą, jak jesteś, jak niedawno z tym Roszowem w ogrodzie. Ja nigdy nie roześmieję się tak do ciebie, jak ty do Roszowa, a on do ciebie. Ja nie! Ty jesteś dziecko zbytku, a ja nie mam pieniędzy.

— Możesz je mieć, jeśli tylko zechcesz.

— A właśnie, — to jest twoja jedyna odpowiedź

na to, com przed chwilą powiedział. Otóż słuchaj, mogę, ale nie chcę. Nigdy nie zechcę!

— To ja będę z tobą bez pieniędzy, — rzekła z prawdomównością najczystszej miłości. — Gdybyś nawet wcale nie awansował, będę z tobą we dwu pokoikach szczęśliwa. Kupimy sobie ze wszystkiego tylko jedno: ładną lampę.... Gdybyś był najprostszym oficerem przez całe życie!

— A kiedy ja może wcale nie będę oficerem...

— Tylko czem?

— Niczem.

— Nie rozumiem cię, ale i tak pójdę z tobą.

— Nie byłabyś ze mną szczęśliwa. Umarłabyś bez zbytku, jak ryba bez wody. Ty i pieniądze — to jedno. Bez pieniędzy....

— Chciej mię wypróbować! Każ mi złożyć dowód.

— Nie trzeba, bo ja to już wiem.

— A nasza dziewczynka?

Szarpnął się z miejsca, zacisnął pięście i jęknął:

— O, Boże!

— Cóż ja pocznę teraz?

— Roszow... — wymknęło mu się jadowite słowo.

Popatrzyła na niego zszarzałemi oczyma. Była blada i osłabiona. Usiadła zdala. Długo nie mogła ruszyć się z miejsca, aż wreszcie przysunęła krzesło do stolika. Machinalnie, bez wiedzy o tem, co czyni, odsunęła szufladę. Leżały tam książki polskie, które Piotr ukrywał przed ciekawemi oczyma. Były to poezye, dzieła filozoficzne i techniczne.

Tatjana przerzucała je od niechcenia. Trafiała na tom poezyi jednego z młodych pisarzy, oprawny w grubą czarną skórę w taki sposób, że między kartkami były puste stronicie białego papieru i na nich poprzyklejane różne utwory, zdania, myśli, które Piotra szczególnie zajmowały. Tatjana wciąż machinalnie przerzucała kartki i czytała z mozołem to tu, to tam. W jednym miejscu naklejony był na czystej karcie wiersz Mickiewicza:

„Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
 Burzliwą duszę kryję przed ich okiem.
 I obojętna duma, jak mgły szata,
 Wewnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
 I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
 Wylewam burzę, we łzy roztopioną“.

Rzucała oczyma po stronicach, a ręce jej drżeć poczęły. Jęk wyrywał się z piersi. Krew to występowała na jej policzki, to z nich nagle ginęła. W pewnym momencie oczy jej padły na twarz Piotra i nieubłagane długo na niej leżały. Uśmiechnęła się z okrucieństwem. Po chwili cisnęła książkę na stół i patrzyła na nią straszniemi oczyma, podparwszy głowę rękami. Śliczne jej palce, zapuszczone we włosy, przebierały ich pasma. Nagle szalony gniew wybuchnął w jej oczach. Czarne źrenice stały się popielate. Porwała książeczkę, pełną poezyi, i poczęła ją drzeć, targać, wyrywać karty, pluć między nie, pluć po trzy, cztery i po pięć razy w to samo miejsce, w te wiersze. Cisnęła tom na ziemię i deptała go po dziesięćkroć nogami, a później precz odrzuciła od siebie końcem lakierowanego pantofla, aż upadł

u stóp Piotrowych. Uczyniwszy to, domyśliła się, że znieważyła jego serce. Poznała to po spojrzeniu. Ale to budziło w niej, widać, żądzę ran, jak w wilczy. Patrzyła mu w oczy drwiąco, mściwie, zabójczo. Gdy wciąż milczał, poczęła miotać słowa:

— Głupcze! Bezsilny, bezmyślny, śmieszny głupcze! Gdybyś miał choć trochę rozumu, zostałbyś wkrótce dowódcą tej baterii, miałbyś otwartą drogę do wysokiej rangi. Zaszedłbyś, gdziebyś chciał. I zrobiłbyś wówczas, cobyś chciał.... Ty, głupcze!

Piotr ujrzał żywym spojrzeniem, że to prawda, i że przepaść się u jego nóg otwarła, u nóg, gdzie ta niewielka leżała książeczka. Uśmiechnął się do tej małej książeczki. Na widok tego uśmiechu Tą-tjanę ogarnął szal. Podniosła się ze swego miejsca śmiertelnie blada i zmierzała ku drzwiom. Po drodze rzuciła mu słowo:

— To, o czem marzyłeś, dziś się spełni. Pójdę do Roszowa. Jeszcze dziś....

— Taniu! — wyjęknał, trzęsąc się z zimna.

— Jeszcze dziś, żebyś mógł odkupić twoją polską duszyczkę, umyć ręce w mojej krwi i odejść w swoją stronę, niosąc w czystych rękach proroka tę twoją polską banialukę....

— Taniu! — skamlał, padając przed nią na kolana.

Stanąła w pół drogi, między nim i drzwiami, odwróciła się do niego. Patrzyła przed siebie, na małą, potarganą polską książkę. Czoło jej przeorała prostopadła brózdka. Brwi skrzywiły się, usta

zacięły. Po długim milczeniu podniosła oczy głębokie, suche, mądre.

— Powiem ci jedną historję, — zaczęła innym zupełnie tonem, — powiem ci teraz to, co to chciałam na koncercie Colonne'a, — pamiętasz? — o tym, co to do mnie w nocy przychodził w Paryżu... Pamiętasz?

— Pamiętam, — skinął.

— Zrozumiesz, coś ty teraz ze mną zrobił.

Milczał. Szybko wróciła, wzięła krzeselko i przysunęła je do jego krzesła. Usiadła naprzeciwko i, podparwszy głowę na rękę, patrzyła na niego uporczywie. Poczęła mówić po długim namyśle ze spokojem:

— Był tutaj pewien pan, — polak, — pewien pan. Nie powiem nazwiska, bo i po co? To rzecz obojętna. Polak — to wystarczy. Pewien „icz“, albo „ski“. Ten pan był wysokim urzędnikiem w sądzie, powiedzmy, był członkiem sądu okręgowego. Zarazem — była to wielka świnią. Nie! nie świnią. Była to raczej odrażająca, niktzemna, jadowita żmija. Żył ze wszystkimi polskimi domami tutaj w mieście i w okolicy, — bywał wszędzie na polowaniach i zabawach, — urządził wszelkiego rodzaju pikniki, wycieczki, teatry amatorskie, koncerty i odczyty różnych polskich wielkoludów na cele filantropijne, — uczestniczył w rozmaitych instytucjach i to zarówno religijnych, jak świeckich. Byle tylko było polskie, byle polskie! Papa zawsze mówi o polakach, że nigdy u nich nikt nic nie robi, tylko jeden jakiś biega w kole zaperzony

i wszystkim trzęsie. Właśnie ten pan tak trzął wszystkim w mieście, biegał, starał się, wszędzie był, wszystko załatwiał, przez wszystkich kochany i noszony na rękach. Polacy tutejsi uważali go za męża opatrznościowego, bo to z jednej strony stosunki w sferach rządzących, a z drugiej skryte głęboko serce polskie. Kiedy przyszły owe czasy niespokojne, zanim tu przyjechałeś, papa został mianowany na naczelnika wojennego całej gubernii. Wtedy u nas w domu wszystko się koncentrowało. Do papy przychodził na narady gubernator i wice-gubernator, radcowie wszelkich urzędów, prokurator i wyżsi wojskowi, słowem, wszyscy. Na tych naradach zawsze bywał bardzo tajemnie ów pan, polak opatrznościowy. Narady odbywały się w gabinecie papy, który znasz. Stamtąd są cienkie drzwi do małego pasażu, co to, jak wiesz, prowadzi do pokoju dawniej nieboszczki mamy. Ja tam siadywałam i — wierz mi! — pomimo woli słyszałam wszystko, co mówiono, co mówił ten pan. To mię nadewszystko interesowało. Gdybym teraz wzięła tę polską skarbniczkę romantyzmu i przy mierzyła ją do słów tamtego pana! Cha-cha! Cóżby to był za portret!... Ten pan był tak przebiegły, że jeszcze dziś wszystko się we mnie wywraca z podziwu, gdy sobie przypomnę, co on mówił. Polak! — szepnęła z zaciekłym chichotem.

— Według ciebie, oni wszyscy tacy?

— Nie. Ten mówił o wszystkich. Wtedy ich poznała. Opowiadał kto, gdzie, co, jak, co myślą, jakie żywią zamiary, jakie marzenia, jakie piastują

cele, jakie stosunki, pokrewieństwa, skąd gdzie są pieniądze, i na co, i ile, co ktokolwiek gdzieś powiedział, na kogo należy zwrócić uwagę, jak i ile czasu popuścić umyślnie, w której chwili niepostrzeżenie chwycić w pól drogi...

— Cóż mnie to obchodzi?

— Czekaj, czekaj, to cię zainteresuje. To cię nawet nauczy mądrości, jaką należy mierzyć tujsze życie. Po sesjach zazwyczaj wszyscy zostawali na kolacyi, gdzie mówiło się, oczywiście, tylko o sztukach pięknych, pogodzie, kwiatach... Przy zamkniętych okiennicach siadywaliśmy do późna w noc, czasem do rana. Ja grałam. Ów pan, obosieczny dobrodziej, choć już miał pewnie z pięćdziesiąt lat, począł do mnie przewracać oczy, mówić mi sekretnie półsłówka, później całe słowa. Przejęłam się jego metodą i popuszczałam mu umyślnie nadziei. Bileciki, nieznacznie wsuwane w rękę, kwiaty, małe bukiety fijołków... Tak było długo. Zaczął mię prosić o różne chwileczki, minutki sam na sam, a wreszcie o całkowite spotkanie...

— Może mi oszczędzisz dalszego ciągu tego romansu.

— Nie! Zaraz skończę. To cię nie zmęczy. Nie godziłam się na żadne minutki sam na sam, ale przystałam na długotrwałą schadzkę. Kazałam mu ustnie, żeby w oznaczonym dniu i oznaczonej godzinie przyszedł...

— A przecie kłamałaś mi dawniej, że ja byłem

pierwszym twoim kochankiem, że ja pierwszy pocałowałem cię w usta, że oprócz mnie nikt...

— No, — widzisz, — teraz mówię ci szczerą prawdę... — rzuciła z uśmiechem.

— Nie chcę tego słyszeć!

— Kazałam, żeby przyszedł na jedną z okolicznych gór. Na szczyt tej góry... Była na tym szczycie, jak na wszystkich tutejszych górach, przed niezliczonymi laty, w średniowieczu, kiedyś tam, za legendarnych polskich królów kopalnia ołowiu, miedzi, czy żelaza. Teraz te miejsca obrasta las głuchy, a na szczytach zostały tylko niezgłębione doły, tajne przepaście, zdradzieckie bezdna, obrośnięte starym i ze wszech stron zachodzącym bo-rem. W dawnych sztolniach pną się krzaki jałowcu, jeżyny i głogi. Rudy, albo siny żwir sypie się w czarną czeluść. Włożyłam czarną amazonkę i buciki z długimi cholewami. Stopy obwiązałam grubymi szmaty — od zimna, bo była jesień. Pojechałam sama. Pojechałam daleko, w inną stronę, polem, lasem, na przełaj. Jadąc, marzyłam radośnie... Nieznanymi drożynami dostałam się na tamtą górę. Konia uwiązałam w gęstych krzakach na połowie wysokości góry. Poszłam na szczyt. Ten pan, mój kochaneczek, już tam niecierpliwie czekał. Niecierpliwie czekał... Czy jesteś ciekawy?

— To dla tego tak nie lubisz polaków? — uderzył ją słowem i pogardliwym spojrzeniem. — I cóż, oddałaś mu się?

— O, jakżeś niecierpliwy! Najprzód przecie romans... Był blady ze szczęścia. Nie mógł głosu

wydobyć, szeptał cicho, choć w lesie nie było nikogo. Tak było cicho! Jesień. Żółta, złota jesień. Jarzębiny wśród sosen, młode klony ze złotemi łapami. Słońce świeciło. Ani jednego ptaka, ani jednego głosu... Kazałam mu, żeby obszedł cały szczyt i niżej aż do połowy góry i żeby wypatrzył, czy kogo niema.

— Tejsamej metody wzywania na schadzkę trzymałaś się zawsze, prawda?

— A tak... Uczynił to posłusznie. Obszedł całe miejsce, wypatrzył, wysłuchał, niemal wywąchał i wywnioskował, że niema tam nikogo. A on przecie umiał podpatrywać i podsłuchiwać. Już tam napewno nie było nikogo, jeśli on rzecz zbadał i taką wyprowadził konkluzję. Nikogo! Gdy wrócił blady ze szczęścia, zbliżył się do mnie, wziął mię za rękę i zaczął szeptać, — ach! — szeptać piękne literackie słowa, toczone okresy... Przewracał oczy, przymykał powieki z rozkoszy. I we mnie obudził się nanowo radosny śmiech. W istocie byłam szczęśliwa. Patrzyłam mu w oczy i to śmiało, oko w oko. Przekomarzałam się, nie dałam pocałować się nawet w rękę, żeby go jaknajbardziej rozkochać w sobie. Taka to już moja metoda... To też rozkochałam go do zupełnego szału. W pewnej chwili, gdy się już w swych uczuciach zupełnie roztopił i zbyt był natarczywy, kazałam mu odwrócić się, gdyż musiałam coś poprawić pod amazonką, — może pończoszkę, a może co innego. Miał tak odwrócony tyłem do mnie czekać, dopóki nie dam umówionego znaku. Musiał dać słowo,

że się nie odwróci. Dał słowo i rzeczywiście, jak przystało na subtelного kochanka, cierpliwie czekał. Mogłam spokojnie przyszykować ów znak, nieomylnie wziąć na cel tył łysiny, a raczej fałdę czerwonałą grubości palca, pokrytą przyszyzonymi włosami, między kołnierzykiem i brzegiem angielskiej czapeczki. Tę fałdę wzięłam za podstawę. Później podniosłam cel o jakie trzy milimetry. Co za precudną miał śmierć — nieprawdaż? Umarł, nie wydawszy jęku, z uśmiechem szczęścia na ustach, z bijącym od rozkoszy sercem, czekając na pocałunek takich ust, jak moje...

Piotr patrzył w jej twarz z zapartym nagle oddechem, ze zduszonem gardłem. Tchórzostwo odjęło mu mowę i zdolność ruchu. Po wyrazie twarzy Tatjany poznał, że słyszał opis prawdy. Nierychło wykrztusił:

— Cóżes ty zrobiła!

— Gdy po strzale zwały się na twarz i nie ruszał zupełnie, nasłuchiwałam, czy kto nie idzie, czy nie słyhać jakiego głosu. Ze szczytu góry widziałam po przez drzewa daleko w lesie. Rozglądałam się. Obeszłam oczami wszystkie niemal drzewa. Była cisza tasama, co przedtem, pustka zupełna. Poczekałam jeszcze. Krew mu oblepiła szyję, kołnierzyk i, jak bujne źródło, wciąż napływała pod ową modną angielską czapeczkę. Wzięłam stygnącego za nogi i pchałam przed siebie na brzeg starego szybu, który był tuż obok. Tak głową na dół zepchnęłam... Poleciał sam, gdzieś w przepaść. Zawalił się własnym ciężarem w bezdenną jamę

starej sztolni, razem z kamieniami, kępami traw i bryłami, które oberwał. Wchłonęła go ta przedwiekowa polska stara robota. Siedząc w kucki nad brzegiem, słuchałam, czekałam. Gdy mi już nic nie przeszkadzało, powyrywałam starannie kępy borówek i żórawin, które był okrwawił, i rzuciłam za nim. Kwiaty na grób mego kochanka... Wytarłam ręce o mech drzewny. Zeszłam na dół do konia. Wskoczyłam na siodło i wyjechałam lasami na pewną drogę. Wymyłam jeszcze w rzece ręce. Odwiązałam z nóg szmaty, skręciłam je w węzeł i z kamieniem w środku cisnęłam w rzekę. Ślady moich nóg były nie do odcyfrowania.

— Nikt się nie dowiedział?

— Nikt.

— I nikt nie wie?

— Nikt, oprócz mnie i ciebie.

— Czyż nie szukali?

— Och, szukali — i bardzo. Ale on dobrze przecie umiał zatrzeć ślady naszej schadzki, zmylił cel, dokąd idzie. Śpiesząc na ową schadzkę, oświadczył podobno w domu, że wyjeżdża koleją na polowanie. Koleją też wyjechał jedną stację za miasto, w inną stronę. On umiał zacierać ślady. Ja również. Nasza miłość została tajemnicą. Nienawidzę... tych polaków... Cóż teraz o mnie powiesz?

— Nic.

— Możesz mię wydać i uwolnić się odemnie, polaku...

— Zamilcz!

— Jak ci się zdaje, — dobrze zrobiłam, czy

źle? Jak ci się zdaje? Czy życie tego męża było świętością, którą szanować należało w jej czynach i uczuciach, czy to może było życie płaza, które należało skrócić, ażeby się nie płodziła na ziemi zaraza podłości. Co do mnie... Widzisz, Piotruś... Co do mnie... Dopóki był nazewnątrz, darzyłam go tylko wewnętrzną pogardą, — ale gdy się zbliżył do mnie, gdy po mnie wyciągnął rękę, chciał złożyć swój pocałunek na moich ustach, — zabiłam płaza. Powiedzże mi, ty jedyny...

— Ja nie wiem. Nie jestem prawnikiem. Niech ci na to odpowie Roszow.

— Roszow!

Piotr gorzko-gorzko zapłakał.

— Zraniłam ci duszę... — wycedziła z przejmującą ironią.

Suknie jej były tak przejrzyste, że widać było niemal całe ciało. Podniosła się, nachyliła z niskim ukłonem, szybko odemknęła drzwi i z podniesioną głową odeszła.

XXV.

Piotr niedługo przebywał w domu generała. Pobyt tam stał się dla niego nie do zniesienia. Rany przyschły, przecięta brew zrosła się dzięki umiejętnej opiece pułkowego lekarza, z policzka zdjęto bandażę i został na nim tylko plaster stały, pod którym goiła się pozesywana szrama. Skoro pacjent miał możność wychodzić z mieszkania, zaraz wrócił do swej dawniejszej „kwatery“ nad „Kozdrojownią“. Początkowo, wydalając się na ulicę, nosił przy sobie nabity rewolwer, a szablę kazał naostrzyć, ponieważ cała oficerya piesza, z zemsty za porąbanych kolegów, miała go na oku. Gdy był jeszcze słaby, rzadko się ukazywał na mieście. Za to odbywał coraz dalsze zamiejskie wycieczki. Obiady z restauracyi przynoszono do domu. Za pośrednictwem miejscowej księgarni polecił sprowadzić kilkadziesiąt kilo książek naukowych z zakresu swej specjalności i z zakresu nowej, przybranej, która go coraz silniej pociągać zaczęła, to jest z lotnictwa. Sprawę tę począł studyować gruntownie, zarówno teoretycznie, jak historycznie, poczynając od Leonarda da Vinci. Przysiadywał fałdów nad poszczególnymi badaniami techniki lot-

niczej. Krok za krokiem, mozolnie przerabiał tablice doświadczeń i badań Langley'a i Maxima z aerodynamiki, o oporze powietrza, o prądach i uderzeniu wiatru, o kierunkach i wewnętrznym jego składzie, o wszelkich fenomenach ptasiego lotu, o wszelkiego rodzaju skrzydłach aerodynamicznych, o całej statyce i dynamice nowożytnego lotnictwa. Mieszkanie wypełniło się szkieletami albatrosów, kormoranów, nietoperzy, kondorów, orłów i bocianów. Praca nad temi kwestyami poczęła dawać duszy wytchnienie. Uczył się od nowa, jak abecadła albo angielskich słówek, poznając zwolna prawa, rządzące niezmierną dziedziną ludzkiego czynu przyszłości, nieogarniętą, jak niebios, w których się mają dokonywać jego dzieje. Uciszała cierpienie niezgruntowana w swej piękności rozkosz matematycznego poznania, prostota prawd jasnych i przejrzystych, jak powietrze, których nie spostrzegają nieszczęśliwi ludzie, jak pijacy leżąc przy drogach życia i martwemi oczyma nie widząc zupełnie nieba.

Niektóre kwestye z zakresu tej techniki lotniczej były trudne i nie do zdobycia, gdyż zahaczały o dziedzinę matematyki, ledwie dotkniętą na ławie szkoły artyleryjskiej, — albo już zapomnianą. Musiał tedy brać się z powrotem do zarzuconych podręczników i ślęczyć nad wyższym rachunkiem. Te problemy dawały możliwość egzystowania na ziemi obok najżywotniejszego z problemów, który o samem życiu stanowił.

Piotr wymógł na sobie, wydręczył ze swej du-

szy postanowienie przymusowego niewidywania Tatjany. Tak postanowił i tak się stało. Nie pozwolił sobie na współczucie, które go dręczyło po opowieści o czynie na leśnej górze. Wiedział dobrze, iż ono istnieje w nim, jakoby owa zacieniona sztolnia, — wiedział, że istnieje w nim niezgrunтовana, podstępna i zdradziecka namiętność. Nie mógł się z Tatjaną pogodzić, nie mógł jej darować Roszowa.... Miał wewnątrz siebie głębsze i stokroć boleśniejsze rany, niż na policzku. Probował tedy wypowiedzieć scytyjską wojnę namiętności samej. Nie pozwalał sobie na wspomnienie, na bezkarne marzenie, na sen o Tani. Kochał ją w głębinie swej, poza wolą i wiedzą. Ażeby wytepić fizyczną pamięć uroku, nie jadł prawie zupełnie mięsa, pił tylko mleko, często pościł, a wszelką reminiscencyę usiłował wyszarpać z ciała forsownemi trudami, ćwiczeniem na mustrach, gimnastyką, i dalekiemi, pieszemi spacerami. Często w nocy, osaczony od widzeń, wstawał z objęć tęsknoty, wyprowadzał konia i jechał w świat. Biała pawłoka szosy wapiennej uchodziła przed oczyma w noc, wsiąkała w nią i ginęła w niewidnej, ociemniałej pustce, gdy jechał mrocznie zamyślony. Wbrew woli, nie wiedząc o tem, śnił przecie wciąż o jednym. Roztapiający się w ciemności szlak drogi był jako zagadnienie ziemskiego bytu, niejasne już o krok, a niezgłębione o dwa....

Tajemnica uczynku Tatjany jak kruk siedziała na głowie, — zagmatwana jej dusza stowarzyszała się z jeźdźcem i długie z nim toczyła rozmowy.

Postać jej wieszła się u jego szyi, białe ręce opasywały ramiona, ciemne oczy zatapiały się w oczy, a usta przemawiały:

— Więceś mnie już zapomniał...

Dźwigał się wtedy na swem siodle, jak tyran, potężnym aktem woli przeobrażał ją, Tatjanę, śliczną swoją kochankę, w wyobrażenie, w symbol, — niweczył ją w swej pamięci i usuwał ze swego pola. Jechał sam, wlepiając oczy w śniadą smugę swej drogi.

Nie wiedział też nic o Tatjanie w ciągu czterech tygodni, gdyż do domu generała nie chodził, a wszelkie wiadomości stamtąd pochodzące wprost unicestwiał, zanim do jego wrażenia dostęp znaleźć mogły. Cieszył się kryształową czystością atmosfery swej woli, której, jak sądził, nic zmącić nie mogło. Ale — jakże się łudził! Zdarzały się w tem jego państwie chwile, wybuchające jakby za wolą, przyczynieniem się i rozporządzeniem szatana. Pewnego dnia, gdy odbywał jeden ze swoich miłych spacerów szosą przez lasy i wzgórza i był od miasta o jakie dziesięć wiorst, usłyszał nagle za sobą poryk automobilu. Wkrótce nadleciał zza załamania się białej drogi wspaniały, lśniący wehikuł i w tumanie kurzu, z pogwizdem swoim go mijał. Piotr podniósł oczy i za szybą — ujrzał Tatjanę. Obok niej siedział Roszow i mademoiselle Mathilde. Tatjana nie miała na głowie kapelusza. Włosy jej otoczone były woalem niebieskawego koloru, który byli swego czasu razem kupowali w Galerie Lafayette. Błada jej twarz zwróciła się

w stronę Piotra. Usłyszał przejmujący i bolesny okrzyk. Ale automobil, jakby w wichrze, z żalonym swoim jękiem poleciał po białej wstędze szosy. Został po nim swąd benzyny i kręte słupy długo nie opadającej kurzawy. Gdzieś daleko, w przestrzeni słyhać było pobekiwanie pojazdu, niby śmiech odrażający dyabła, który osiadł ziemię, przebił serce świętej prawdy, a teraz niesie swój tryumf zielonemi polami. Piotr zatoczył się na swej równej drodze, w dobrze i mądrze wypracowanych powierzchniach swej woli. To dalekie pobekiwanie samochodu spętało go i obaliło na ziemię. Jak pijany, siadł trzeźwy matematyk na pryzmie kamieni, objął głowę rękoma i chwycił płucami powietrze, a sercem życie. Patrzył w ciemnicę uczucia, która się nagle rozwarła. Błada twarz Tatjany i jej oczy, jej oczy.... Wywinął się znikąd i przypomniał dawny, paryski sen. Brzeg morza, jakaś bretońska, murowana chałupa, Tatjana w oknie, gdzie pełno mężczyzn.... Krótki jej okrzyk! Ileż boleści, jaki strach, jaki żal, jaka otchłań cierpienia uderzyła przez ten okrzyk senny, wewnętrzny! Gdzieś w piersiach nastąpiło na skutek tego okrzyku coś, jak pęknięcie krwionośnej żyły. I oto — niespodzianie, nie wiedzieć jak i kiedy Piotr stoczył się z kamiennej pryzmy w rów. Nie mógł ruszyć się z miejsca, udźwignąć, podnieść. Macał wokoło siebie rękami, — natrafił dłonią na okruch głazu, rozbitego młotem kamieniarza, i w obłędzie swym ścisnął go oburącz. Z oczu jego, — och, nie z oczu, lecz z rany przebitego serca, poczęły lać się samotne

ły. W minucie poczucia męskiego wstydu nieszczęśliwy przekręcił się na twarz, łkał i wył w ziemię, zapychając sobie nią usta, żeby nie krzyczeć. Krzyk do Boga z dawnego snu zstąpił na jawę, — krzyk bez echa. Ów sen spadł na głowę, jak kamień. Roszow trzyma w swych dłoniach ręce Tatjany. Obcy mężczyzna trzyma jej ręce! Oczy jej zatopione są w cudzych oczach, — usta jej spoczną na cudzych ustach! Szaleństwo płomieniem zapaliło się w kościach głowy. Myśli pękły i rozprysły się. Nic już nie widział i nie słyszał. Lecz oto ów dyabelski poryk automobilu ozwał się. Echo, czy złudzenie? Głos przeklęty stawał się coraz bardziej bliskim i natarczywym. Piotr powitał go przekleństwem — i zrozumiał, że on się zbliża. Po chwili słyszał już daleki świst, lecący w jego stronę. Usiadł na ziemi. Przekonawszy się, że pojazd pędzi ku niemu, wstał z miejsca i poszedł brzegiem drogi. Wnet tuman kurzu... Automobil nadleciał, minął przechodnia. Staął. Piotr nie odwracał głowy. Szedł dalej. Lecz zawołano go po imieniu. Przystanął. Tatjana wysiadła i szła. Zobaczył ją na własne oczy, tę przedziwną, swój sen ukochany. Była blada, wysmukła, w lekkich sukniach. Była tak strwożona, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Zdało mu się, że to nie ona, tylko widzenie rozpaczy, — że się za chwilę rozprysnie i ułoży w nicości, jak pył gościńca.

Tatjana do niego podeszła. Była między nimi przydrożna pryzma kamieni. Ta pryzma legła na szlaku ich spotkania. Tatjana potknęła się o ka-

mienie i bezwładnie na nich uklękała. Patrzyła się w jego twarz, w jego oczy.

Stał przed nią i przypatrywał się również, dziwiąc się temu zdarzeniu, jakby z własnej jego duszy wydartemu, z ciężkiej jego niedoli...

— Zobaczyłam cię, jakieś tu szedł... — rzekła po cichu.

— A tak, szedłem tą drogą.

— Sam tak idziesz?

— Sam.

— Masz mundur powalany.

— A tak, powalałem mundur.

— Jesteś taki bardzo blady... Zmęczyłeś się...

— Nie jestem zmęczony.

— Piotrusiu, Piotrusiu, moje dzieciątko...

— Taniu...

— Roszowa już tam niema w automobilu... — rzekła z pokorą, żebrzącą u jego nóg, ze wstydem bez granic.

— A gdzież jest?

— Kazałam mu wysiąść pod miastem.

— Dla czego?

— Bo pewnie z nim nie chciałbyś wsiąść.

Wściekły, niemal zwierzęcy rzut męczarni i płomienisty wybuch dumy porwał się z jego piersi nanowo i zamarł na ustach. Piotr żuł w zębach wyraz okrutny, straszliwy. Spojrzał na nią — i przeczytała w jego oczach ten wyraz.

Jęcząc, wstała z klęczek. Chwiała się tu i tam. Bezsilnie zawróciła, pchnięta jego spojrzeniem, i odeszła na nogach jakby spętanych, które się

pod nią zginały. Za chwilę pojazd znowu zaryczał, zawył i w tumanie kurzu pomknął.

Teraz oficer szedł znowu brzegiem gościńca, taksamo jak szedł niedawno temu. Stawiał równo stopy na kędzierzawych trawach, grubo przydętych wapiennym pyłem. Zeschłe główiny białych koni-czynek i szorstkie źdźbła uginały się pod jego nogami, niby zwoje subtelnych sprężyn. Ciepły wiatr taksamo leciał ze ściernisk, wciskał się pod rozpięty mundur i opasywał żebra spazmem, którego ohydy słowo nie zdoła wydać. W przymkniętych oczach, na biały gościniec szosy upadłych, zostały blade policzki Tatjany i jej czarne oczy tak struchlałe i tak zabite... Objawiła się we wzroku błękitnawa smuga pod dolnemi powiekami. Nawinęło się proste pytanie:

— Czemużem z nią nie wsiadł i nie pojechał? Przecie Roszowa tam nie było w istocie. Była tylko dobra przyjaciółka mademoiselle Mathilde — i ona...

Uczuł jej ramię oparte o swoje ramię, rozkoszny nacisk, który był już częścią jego zmysłowej jaźni, — miękki zwój włosów na swym policzku... Tyle już dni, tyle już nocy tych włosów ustami nie muskał! Jakże? Wróciła się! Zadrzało jej wierne serce — i tak niezgłębiony krzyk miłości był w jej gołęmbim wzroku! Taka w jej twarzy pokora i taki szczerzy wstyd! Jawnogrzeszniczy Chrystus przebaczył, a on? Postąpił z nią w tej stanowczej chwili nie tylko, jak kat, lecz jak gruby, brutalny cham! Po tym postępku — już nigdy, już przynigdy! Duma już jej nie da zapomnieć. Szofer patrzył i ta

mademoiselle Mathilde. Piotr uczył, że runęło nań teraz nieszczęście zgoła nowe, dwakroć gorsze, niż było dawne. Szał rozpaczy znowu zjeżył włosy. Pot oblał ciało. Wyteżyły się muskuły. Lecz jak cięciwa łuku naciągnęła się wszystka wola. Dźwignął swe nieszczęście i poszedł ku miastu.

Odtąd zły na niego przyszedł czas. Wypracowane tak mądrze i tak doskonale budowisko woli, nagle, jak domek z kart, runęło. Ukazały się podspody, nice woli, grzędawisko i topiel, gdzie ani przebrnąć, ani przepłynąć, ani nawet utonąć nie sposób. Jak dwa wściekłe zwierzęta rzuciły się na siebie dwa elementy duszy: podłość i duma. Wżarły się w siebie dzikimi szczękami i borykały bez jednej chwili wytchnienia. Ustał zupełnie apetyt, sen i zdolność do jakiegokolwiek uczynku. Odraza do książek, map i rysunków napełniła dawne funkcje ducha. Nienawiść do ludzi i ich życia, do ptaków i ich śpiewu, do drzew i ich poszeptów, do nieba i jego pogody zwiększała się z dnia na dzień, aż urosła do potęgi, równej sile życia i ogromowi świata.

Piotr nie mógł usnąć w nocy, również następnej i trzeciej z rzędu. Czuł, jakby miał wbitą w bok drzazgę żelazną, coś niby grot lancy, i musiał na tem leżeć w łóżku. To też wstawał i bosy, w nocnej bieliźnie chodził po stancyi. Zwalczał się sam w sobie. Poszukiwał, — ach, jakże straszliwie! — poszukiwał siły, któraby mu mogła zastąpić miłość Tatjany. Przemierzał wysiłkiem ducha wszystko, co mogłoby mu dać siłę życia bez Ta-

tjany, — co mogłoby w nim wytworzyć zdolność zapomnienia o niej, — i nie mógł znaleźć. Przebierał i rewidował po kolei — wielkie czyny, zapasy z przeciwnościami, prace, nędze, poświęcenie się, głuche męczarnie i najsakrajniejszą rozpustę, — i widział, że to wszystko jest na nic. Jedna jakoś nikła reminiscencya wszystko rozdzierała na strzępy. Wspomnienia pewnych słów, miejsc, dźwięków i połysków nabrały siły straszliwej. U wezwłowa pościeli, w ciągu krótkich minut sennego zamroczenia zdawał się zasiadać czuwający konsyliarz ducha, bezsenny szatan, — i kiedy głęboki sen miał zejść i uciszyć cierpienie, — wymawiał krótką a nieśmiertelną formułę nieszczęścia: słowo... Ukazywała się zmoczona od deszczu aleja w Charenton, — zaciszny pokój w Paryżu, — ciemna noc w dalekiej, pustej ulicy...

Czasami nieszczęśliwy wyszarpywał się na wierzch z topieli, wychodził na miejsce suche i zdobywał pewność, że nareszcie siłą rozumu, mocą niezłomną logiki pokonał strzygę uczuć. Kładł się spać — i drzemał. Przebywał na poły na jawie, na poły we śnie. Niby to spał, wiedząc dobrze o tem, co się dzieje w myślach. I oto sylogizm o konieczności trwania, ostatnie narzędzie woli, wydobyte ku obronie przed zaturą z błogosławionego kraju logiki, — zagnała i niespodziewanie pryskało, jak sprężyna w zegarku. Siła męczarni wyrzucała z łoża. Znowu powolny krok po izbie. Nocna ciemność i nocna cisza były znośniejsze, lecz szarzał brzask... Piały koguty i lekki powiew poruszał liście drze-

winy w podwórku. Dawał się słyszeć odgłos życia i kroków ludzi. Wstawał do pracy ubogi stolarz w dziedzińcu. Coś mierzył, przystawiał, przyklejał. Wkrótce budziła się gruba jego żona w zdeptanych chodakach. Jakąż nienawiść Piotr powziął do tego stadła! Rzucał na ich niewinne głowy ciężkie przekleństwo!

Mocne i stałe cierpienie poczęło wysysać wszelką rację i wszystką siłę bytowania. Piotr obejmował rękoma niejaki kształt w próżni, coś jakgdyby ów kolec spróchniały krzyża, wiszący na drzewie. Wałęsając się po izbie wśród wstającego dnia po białej nocy, powielekroć, bez wydania głosu wołał z głębi serca:

— Ojcze! Ojcze!

Za dnia nie jadł. Trochę mleka zwilżał zeschnięte wargi. Chodził po mieście, z nienawiścią myśląc, że znowu będzie noc. A gdy przychodziła okrutniejsza niż wszystko, co o jej grozie mogłoby podać ludzkie słowo, — długa, ciemna, milcząca, — począł zagłębiać się w jedyne wyjście z tego lochu męczarni. Zapragnął spoczynku śmierci tak szczerze i tak naturalnie, — wmyślał się w to, czem ona jest, tak logicznie i bez jakiegokolwiek wzruszenia, że nareszcie pociecha do jego izby zawitała. Odłączony od siebie samego, obcy sobie, istność nieznośną życia i jego wesela, — jakgdyby po stopniach bardzo stromych wszedł zwolna na jakiś pomost. Stamtąd zobaczył piękno spokoju. Z uśmiechem rozmyślał, że miłości do Tatjany pokonać nie można, a każde jej mniemane pokonanie jest obłudą

męczarni, — że spodlec, to znaczy wrócić się do Tatjany, nie można, bo trzeba-by było przestać być sobą, — więc musi być inne jakieś wyjście. To wyjście dawało możność pokonania podłości i obleczenia się w dumę. W tym płaszczu dumy czuł się, jak monarcha, wstępujący na tron. Na czole miał ciężką nadmiernie, ołowianą koronę, na kolanach miecz ślepy i bezlitosny. Przymykał oczy i wyniośle czuł, że króluje nad światem wewnętrznym, choć krwawe łzy wciąż płyną mu po policzkach.

Następnego dnia wałęsał się po mieście bez rewolweru i szabli. Wstępował do klubu i cukierni, gdzie było pełno oficerów piechoty, najbardziej wrogo dlań usposobionych. Siadał wśród nich i wzgardliwie zaglądał im w oczy, mijał ich z odrazą, lub przeciskał się przez ich grona. Ale ci ludzie usuwali mu się z drogi, albo milkli na jego widok i patrzyli nań z podełba. Wracał do domu obojętny i bardziej jeszcze znużony nicością ich męstwa.

Na czwartą noc, zaraz z wieczora rzuciwszy się na łóżko bez nadziei spoczynku, zasnął krótkim, lecz twardym snem. Przyśniło mu się, że, nie przestając chodzić po swej izbie, zstąpił ze schodów, wymknął się z domu i udał do Tatjany. Stoi oto u drzwi i pociąga za niezapomnianą, brązową rączkę starożytną od dzwonka w kształcie strzeżenia. Dzwoni raz, drugi i trzeci. Za drzwiami słychać tupot nóg: — biegają tam, gdyż wiedzą dobrze, że to on dzwoni. Lecz nie otwiera nikt...

Nareszcie ktoś drzwi uchylił. To ta — Mathilde. Wszedł do wąskiego korytarzyka, gdzie pewnego razu, o zmroku pocałował Tatjanę, co jej, jak później wyznała, sprawiło najgłębszą, najsubtelniejszą rozkosz w życiu. Ciemna przed jego oczyma wisi zasłona, jakiej tam nie było w rzeczywistości. Za zasłoną sala duża, jak w hotelu na paryskich bulwarach. Trzej młodzi ludzie przeszli przez tę salę. Twarze ich ukazały się nad wyraz żywo, choć ich nigdy nie widział na oczy. Potem trzej inni — starsi wiekiem panowie. Ci rozmawiali z Tatjaną. Jeden z nich proponował, żeby pojechała na Litwę. Wreszcie — o, głęboka, niewysłowiona, senna rozkoszy! — ujrzał Tatjanę. Siedziała na łóżku nieubrana, w liliowym szlafroku, który niegdyś tak lubili... Czesła swe długie, czarne włosy. Piotr zadrżał od wewnętrznego spazmu serca. Czekał. Zobaczył twarz Tatjany, — usta, brwi, policzki, włosy... Sen zatarł i zniweczył wiadomość o niedoli, o rozłączeniu, o strasznej męce i ukazał bliskość szczęścia dawnego. Lecz oto ktoś nadszedł, jakaś kobieta znajoma, czy nieznaną, — i rzekła, że Tatjana już go widzieć nie chce. W istocie podniosły się przeciwko niemu jej oczy obce, cudze, w których nie było już nawet nienawiści, tylko zimny i jałowy popiół wzgardy.

W owej chwili Piotr ocknął się. Był zlany potem, serce mu biło nadzwyczajnym tętnem. Wstał natychmiast z łóżka, narzucił na ramiona letnią szynel, wdział długie buty na bose nogi, — i cicho wyszedł z mieszkania. Jak w niedawnym śnie szedł

po pustych, ciemnych, małomiejskich ulicach. Omi-
 jał główne, brnął po błocie zaułkami. Wyszedł na
 łąkę, przylegającą do ogrodu generała. Przeszedł
 przez kilka rowów, przebrnął przez żywopłot i jakieś
 głębokie doły, aż wreszcie znalazł się pod ogro-
 dzeniem, skąd widać było obadwa skrzydła pała-
 cyku od wewnątrz. Nieruchomy, zimny blask księ-
 zyca padał na szyby pokoju, gdzie była Tatjana.
 Okno było zamknięte. Ten blask, tak niegdyś
 piękny, a teraz płony, niezmienny i okrutny, jakby
 wapnem rozpuszczonem zabielał okno. Boleść nie-
 zgłębiona zmogła ciało i duszę Piotra. Przewie-
 szony przez kamienne ogrodzenie dawnego raju
 swej duszy, pokonany, przebity, bezwładny i upadły
 jęczał przed Bogiem.

Tak przeminęła ta najgorsza z nocy...

Borykaniem się ze sobą, męczarnią mocniejszą,
 niż siły fizyczne człowieka, zdobył przecie w ciągu
 następnych dni jedną władzę, — wyżał, wycisnął
 i wydusił z cierpień jedną potęgę: szlachetną, za-
 iste świętą dumę. Nie widywał Tatjany i — dzięki
 dumie, — mógł jej nie widywać. Mógł spać, na-
 brawszy w ciągu dnia wiedzy tajemniczej, że ona
 go już zdradziła. Mógł pracować tylko dzięki har-
 towaniu w ogniach duszy i zastalaniu wciąż w so-
 bie cienkiego sztyletu pogardy. Doskonale wiedział,
 że gdyby teraz popadł znowu we wspomnienia,
 w miękką mądrość litości, — utraci sen, a z nim
 władzę nad furyami swej duszy. Pokonywał te
 fure z takim trudem, wdeptywał je w miazgę
 swego bytu tak powoli! Wiedział, że i duma, tyle

szlachetna i tak cnotliwa, — jest to fikcja, lekarstwo symptomatyczne, mechaniczny nacisk na czujnego ducha. Wiedział, że jedno spojrzenie tamtych oczu...

W kilka tygodni później, przyszedłszy o naczyną godzinie na pole ćwiczeń baterji, Piotr zastał jednego tylko oficera, Jeżkowa, chłopca bardzo zdolnego, wesołego, z lepszym wychowaniem, ale birbanta i hulakę, który swe zdolności oddawna trwonił po knajpach, a wiedzę techniczną topił w próżniactwie. Jeżkow okazywał Piotrowi wiele życzliwości w czasie choroby i był dlań zawsze dobrym kolegą. Po awanturze zdradzał jakgdyby zazdrość z powodu otrzymanych przez Piotra ran. Uskarżał się nieraz, że też to on wtedy był gdzieś — i to notabene, — licho wie gdzie, — że go też to nie było w pobliżu, gdy się owa bitka przydarzyła, — że też to on nie przeczuł, że się taka rzecz dzieje. Onby im był wówczas zadał bobu! Już onby im pokazał, jak to się sekunduje koledze - artylerzyście, a jeszcze Rozłuckiemu, „Piotrusiowi“, — a nadewszystko w takiej sprawie! Ale ta rzecz, — dodawał, — jeszcze wypłynie i jeszcze Piotruś zobaczy, jak to Jeżkow sekunduje...

Dzień był zimny, więc otulali się w szynele i, ćmiąc papierosy, gwarzyli na wietrze. Jeżkow rzekł, poziewając :

— Piotr Iwanycz, — przepraszam, że cię o to zapytam, bo dziś, jak się okazuje, już można. Jakże to? Tatjana Iwanowna idzie za mąż za tego tam Roszowa?

— Skąd to wiesz? — spytał Rozłucki.

— Wczoraj wieczorem byłem u generała. Było mnóstwo osób, całe miasto, wielka feta. No i przy wszystkich już Roszow występował, jako szczęśliwy narzeczony.

— Skoro tak, — to sam widzisz...

— Przepraszam cię bardzo... Wybacz, że dotykam tej sprawy. Czy zostałeś przez nią zdradzony?

— Nie.

— Bo jeżelibyś potrzebował mojej pomocy... — rzekł Jeźkow, gryząc munsztuk papierosa i przy-mrużając mądre i pocziwe oczy, — zawsze możesz liczyć na mnie. Gdy wczoraj zobaczyłem i posłyszałem o narzeczeństwie, wierz mi, miałem zamiar natychmiast doprowadzić do jakiejś awantury z tym pudlem uczonym, Roszowem. Ale nie wiedziałem, co o tem sądzić, jakie jest twoje zapatrywanie na tę sprawę. Wybacz, że to poruszyłem...

— Ach, nie! Jestem ci wdzięczny za tę wiadomość.

— Doprawdy? Piotr Iwanycz!

— Co, bracie?

— Jeżeli cię zdradziła, a chcesz tamtemu pokazać, że naszym bratem pomiatać nie wolno, to słuchaj! — licz na mnie...

— Dziękuję ci, — ale ja nie jestem zdradzony. Daję ci na to me słowo!

— Nie jesteś zdradzony?

— Nie.

— Ejże!

— Jeszcze raz daję ci na to me słowo.

— Dziwaku! — mruknął Jeżkow. — Taka dziewczyna, takie stosunki, taka karyera. I on nie jest wcale zdradzony, daje na to słowo. No, więc milczę.

Piotr uśmiechnął się i odszedł do swej roboty. Mówił do żołnierzy, — później wsiadł na koń, wydawał rozkazy... Widział pola, lasy, wzgórze, w dali miasto. Lecz widoki te stawały się coraz bardziej zmaćcone, jakby obrazy snu. Unikał Jeżkowa i rozmowy z nim w niejasnej obawie, ażeby nie przyszła chęć wyrwania niespodzianie rewolweru i wypalenia mu między oczy.

W końcu następnego miesiąca, grudnia, lokaj generała, człowiek stary, wierny swemu panu, jak pies, dawny wysłużony żołnierz i niemal członek rodziny generalskiej przyniósł i wręczył Piotrowi list od mademoiselle Mathilde. Francuska pisała krótko i niezupełnie ortograficznie z prośbą, ażeby Piotr przyszedł nazajutrz na ów plac obok ogrodu i magazynów wojskowych, gdzie po raz pierwszy Tatjana naznaczyła mu spotkanie. Po przeczytaniu tego listu Piotr wpadł w zamyślenie. Przewidywał, że tam przyjdzie nie tylko Matylda, lecz i Tatjana. Cała jego męczarnia była nie czem innym tylko wykrętnym snem o spotkaniu z Tatjaną, wzdychaniem do jej widoku. Teraz jednak, gdy ona się nareszcie poniżyła i miała przyjść, ocknął się dawny gniew... Piotr wiedział, że owo narzeczeństwo z Roszowem może być li wybiegiem, a jeśli nawet było faktem istotnym, to w każdej chwili mogłoby

być zerwane... Ale sama obecność Roszowa obok niej — już dawno wszystko zdecydowała.

W czasie namysłu Piotra stary lokaj stał przy drzwiach w swym czarnym surducie, z mnóstwem orderów pod jego klapą. Gdy Piotr podniósł głowę, żeby dać odpowiedź, ten stary sługa, wbrew zasadzie subordynacyi i oczekiwania, — przemówił:

— Piotr Iwanycz...

— A co to powiesz? — przerwał mu Piotr wyniosłe.

— Piotr Iwanycz, — nisko ja się tobie kłaniam i proszę o przebaczenie, że śmiem mówić...

— No, dobrze, dobrze. O co ci idzie?

— Piotr Iwanycz, — ja czołem biję przed tobą...

— Powiedziałem, żebyś wyłożył, czego chcesz.

— Przebacz ty już Tatjanie Iwanownie, odpuść!

— A to co ma znaczyć! Tobie co do tego!

— Przebacz ty jej przez miłość Chrystusa Zbawiciela. Przebacz i mnie, staremu człowiekowi!

— Na ten raz przebaczam. Ale nie waż się wtrącać w taką sprawę. Zrozumiałeś?

— Tak jest, w istocie. To do mnie nie należy. Ja dużo wiem, Piotr Iwanycz, ja i twój gniew rozumiem, choć ja i lokaj. Zlituj ty się nad Tatjaną Iwanowną przez miłość Chrystusa Zbawiciela. Sam wiesz, dla czego.

— A dla czegoż to mam się nad nią zlitować?

— szarpnął się Piotr.

— Widziałem, jakieś do niej chodził na wiosnę, kiedy to plany w kancelaryi jego generalskiej mości pisałeś. A teraz ona z tamtym. Zważ!

— No, więc cóż? Skoro chce być z tamtym, to ja przecie z nią być nie mogę. Czy tego jeszcze zrozumieć nie możesz, choć tyle lat przeżyłeś?

— Piotr Iwanycz! Na rękę ja ją wyhodowałem. Mówić i chodzić przy mnie zaczęła. Znam ja ją! Nie dobrze ta sprawa stoi...

— Powiedz mademoiselle Mathilde, że przyjdę... — rzekł Rozłucki, przerywając wynurzenia starego sługi.

— Słucham... — mruknął lokaj i wyszedł z niskim ukłonem.

O naznaczonej godzinie ubrał się starannie i poszedł na plac za ogrodem miejskim. Zbliżając się do tego miejsca, spostrzegł Matyldę — samą. Doznał zawodu. Powinien był ucieszyć się, że Tatjana niema, — a oto tak bardzo się nie ucieszył! Głuch, twardo zakolała serce. Niepostrzeżone afekty zawirowały, jak odór ohydy życia bez Tatjana, — pomimo, że logicznie rozumował i cieszył się na pozór z takiego obrotu sprawy. Francuska była podniecona, blada, niespokojna. Na zapytanie, czy przychodzi od Tatjana, odpowiedziała niejasno. Bredziła coś o dawniejszym stosunku...

— Słyszałem, że Tatjana Iwanowna zdążyła już zaręczyć się z monsieur Roszowem... — przerwał.

— Tak... — mruknęła wymijająco, — Tania się zaręczyła. A cóż pan na to?

— Składam życzenia na razie za pośrednictwem pani. Później, później sam je złożę osobiście. Jeżeli dotąd tego nie uczyniłem, to tylko z tego powodu, że nie byłem z dobrego źródła powiadomiony, a nie

chciałem korzystać z pogłosek. Teraz, skoro pani to potwierdza...

Francuska przypatrzyła mu się bystro i po tej obserwacji jeszcze bardziej sposepniała.

Milczeli obydwójce, idąc w stronę ogrodu. Piotr zauważył z wewnętrznym, grubijańskim śmiechem, że towarzyszka Tatjana nie traci po kobiecemu sposobności wyprobowania na nim mocy swych wdzięków. Wiedział jednak, że nie to było jedynym powodem tego *rendez-vous*. Spytał:

— Kiedyż można spodziewać się ślubu?

— Czy ja wiem... Logicznie rzeczy biorąc, powinienby być wkrótce...

— Ach, tak?

— No, oczywiście...

— Tak im pilno?

— Pilno, gdyż...

— Gdyż co?

— Gdyż Tania jest...

— Cóż takiego?

— Tania jest, — domyśla się pan...

— Nie domyślam się niczego...

— Ach, Boże! Ona jest, — no...

— Cóż?

— Ona jest, — ach, jakiż z pana człowiek!...

— Co takiego?

— Ona jest, — no, — przecie, — w ciąży.

Piotr uczył w głowie huk, jak wówczas od cięcia w nią wielu szabel. Czarna chmura zasłoniła mu oczy.

— „Córeczka, nasza córeczka“... — zabrzmiał

kędyś chichot szatana. Krótki, sztuczny śmiech na wargach białych, jak wapno.

— Winszuję panu Roszowowi powodzenia... — rzekł, korzystając z obecności tego śmiechu na ustach.

Francuska odrzuciła na bok wszelkie osobiste zamysły i sposoby i zwróciła się z szeptanem wynurzeniem:

— Tania jest w rozpaczach!

— Tania? W rozpaczach? Zawsze przecie pragnęła mieć dziecko... — wypluł w śmiechu wyrazy wszeteczne, bezwstydyne i wściekłe, jakby sobie samemu plwociny w oczy.

— Ale z panem...

— Inaczej się złożyło. Niestety! Niedawno to, lecz siedm miesięcy... Siedm miesięcy upłynęło od paryskich czasów, kiedy mogłem widywać Tatjanę Iwanownę. Pan Roszow mię ubiegł. Pani to zresztą wie najlepiej, — ciskał jej w ucho chichoczące, głupie wytryski ślepej rozpaczach.

— Wiem, wiem... — cedziła przez zęby.

— Więc co?

— Panie! Szanuj ją! Ona cię do szaleństwa, do obłąkania kocha.

— Nawet mając mieć dziecko z Roszowem?...

— Chciała w ten sposób zemścić się na panu za to, coś z nią zrobił.

— Krwawa zemsta z przestarzałej operetki.

— Co teraz począć?

— Przedewszystkiem nie wtajemniczać obcych, jak ja, w sekrety szczęśliwych narzeczonych. Mogę

przecie być plotkarzem, który wieść rozniesie po cukierniach miasta. Po drugie szyć co tchu wyprawę, zamówić popa, karety, družbów i druchny, — no i kołyskę.

— Ona po całych nocach nie śpi, chodzi po pokoju, wałęsa się po domu, schodzi do ogrodu, wraca, znów gdzieś ucieka, coś pisze, pisze na dużych arkuszach listy do pana, czy do kogoś innego — nie wiem, — coś pali w kominku, przychodzi do mnie i mówi dziwne, niestworzone rzeczy. Na głos rozmawia z panem, modli się, leżąc godzinami na podłodze w tym wąskim korytarzyku, który do jej pokoju prowadzi. Najczęściej zaś stoi przy oknie i płacze w przestrzeń jednym głosem tak dziwnie i tak strasznie, jakby wyła. Biedna Tania! Zaplątała się w sieciach, które na pana chciała zastawić, gdy ją pan zdradził tak bezlitośnie, tak na zimno...

— Zdradził! Ja ją zdradziłem?! Przecie ja nie żenię się z nikim, ani się w nikim nie kocham.

— To też ona poleciła mi, żeby panu to wszystko powiedzieć i żeby pana tylko o to jedno zapytać, co ona ma zrobić? Tylko to jedno pytanie, co ona ma teraz zrobić? Tak kazała. Tylko już to jedno jedyne pytanie, co ona ma zrobić? Jak pan rozkaże, tak się stanie.

— Cóż ja mogę powiedzieć... — zaczął Piotr w poprzednim, męskim tonie, lecz nagle zaciął się. Myśli zapadły się i zawaliły weń, jak gruzy domu głupio zbudowanego. Bezużytecznymi wydały się wygodne, cyniczne słowa. Nędzną pokazała się sztu-

czna wyniosłość między łzami. Szedł tąsamą drogą w parku, którą był szedł po raz pierwszy z prześliczną dziewczicą Tanią, gdy go na szczęśliwą schadzkę wezwała. Tesame bezlistne stały drzewa, taksamo leżał cienką warstwą śnieg, taksamo huczał wiatr w nagich konarach, tensam stał posąg greckiej bogini, zniszczony i zamazany czegoś symbol... (Gdzież jest Tania?)

Porwała się w nim rozpacz, jak obłąkany ze swego kaftana. Oto tasama kamienna ławka, zasypiana wiotkim śniegiem...

Żal, straszliwy w swej mocy, w swej niepojętej wiedzy o wszystkim, rozdarł serce. Jakże tajnie, a jak logicznie złożyły się te wszystkie sprawy!

Zdało się, że ktoś bezdennie a podstępnie mądry zważył wszystko na niewidzialnej a subtelnej szali, — wszystko, — nie zapominając o niczem, o najłżejszem westchnieniu wiatru, o najlichszej prószynie śniegu, o najbardziej małej gałązce. Piotr chciał powiedzieć miłosne i litościwe słowo, posłać je Tani, ale oto nagle, jak złowieszczy błysk miecza zamigotała w jego duszy straszliwa prawda, że ona była w objęciach Roszowa, że z tantym poczęła dziecko, że zdradziła miłość zaprzysiężoną. Rzekł twardo, surowo i zimno:

— Niech jej pani powie, że ja we wszystkim, com zrobił, jestem w porządku. Tak musialem. Nie chciała iść ze mną... Zdradziła naszą świętą miłość.

Francuska głośno, z wybuchem zapłakała. Ale wnet uspokoiła się. Wytarła chustką oczy. Przez jakiś czas szła spokojnie aleją. Nagle podniosła na

Piotra oczy płonące od dzikiego gniewu, złe i aż podłe od złości. Poczęła mówić jednym tchem:

— Komu pańska miłość tak się wżarła w życie i krew, ten się nie może zadowolnić podobnem słowem. Barbarzyńca! Dziś dopiero rozumiem potęgę jej wielkiej miłości. Przeklęte jest życie kobiety biernej! Was trzeba w pewnych wypadkach trzymać na łańcuchu, doprawdy jak psów! Spuszczeni z łańcucha jesteście gorsi od psów. Was trzeba kopać i znęcać się za tyle sił zniszczonych przez nienasyconą waszą żądzę i brutalstwo! Kat!

Posępnie i obojętnie wysłuchał tej tyrady. Ukłonił się pogardliwie, odwrócił i poszedł.

XXVI.

Nazajutrz rano tenże stary służący generała przyszedł do mieszkania Piotra z kartką od Tatjany. Rozłucki leżał jeszcze w łóżku. Zaspanemi oczyma przeczytał krótkie pismo:

„I ja także będę w porządku. I ja nie mogę inaczej. Bądź zdrow, Piotruś. Dziękuję za wszystko. Twoja Tania“.

Piotr wzdrygnął się, przeczytawszy to posłanie. Te słowa miały w sobie siłę i ciężar. Zapytał służącego:

— Kiedy panienka oddała ci to pismo?

— Wczoraj, późno wieczorem. Obudziła mię i kazała odnieść rano. Tak nakazała z surowością: „rano, skoro świt“. No, świt teraz późno, godzina ósma blisko. To i przychodzę o świcie, według zlecenia.

— Dobrze... możesz iść.

Starzec ukłonił się, ale ode drzwi zwrócił się twarzą do Piotra i rzekł surowo, z wewnętrznym rykiem:

— Panie... dobrze zważaj, żeby nieszczęścia nie było!

— Idź precz, ty, nauczycielu!

Służący poszedł. Piotr ubrał się co tchu i rzucił do domu generała. Co chwila smagało go przeżalenie, jakby rzemień kańczuga, rznący nagie plecy. Nogi uginały się pod nim, gdy wchodził do przedsionka, gdy zdjął szynel i pierwszego z brzegu ordynansa rozpytywał o pannę Tatjanę. Ale w domu wszystko szło spokojnie, według ustalonego trybu. Generał jeszcze spał, więc służba chodziła na palcach, zastawiając w jadalni przybory do rannego śniadania. Piotra tam znano, jak domownika, więc nikt na jego wczesne przybycie szczególniejszej nie zwrócił uwagi, lecz on sam czuł się dziwnie głupio, płacząc się pośród famulusów domu. Miał już zamiar wyjść pod pozorem, że jest zawczasie, gdy posłany lokajczuk, żeby rannego gościa zameldował Tatjanie, wrócił z oświadczeniem, że „ich w pokoju niema“.

— Jakto niema? Widziałeś? — zapytał Piotr, czując znowu cios knuta, szarpiącego plecy.

— Zupełnie niema. Tak jest. Dokądś raczyli wyjść.

— Ależ dokąd?

— Tego nie śmiem wiedzieć...

— Czy kto nie widział, którądy wyszła pannotka?

Sprawdzono, że nikt nie widział, ale nikogo to nadzwyczajnie nie interesowało. Tymczasem Piotr, korzystając ze swych dawnych pół-praw w tym domu, wszedł do salonu środkowego, pragnąc zobaczyć, czy tam niema Tatjany. Gdy się znalazł w tej wielkiej sali, odrazu spostrzegł, że drzwi na

ogród są pół-uchylone, niedomknięte i to oddawna, bo klin śniegu, nawianego w nocy, leżał na posadzce. Otworzył te drzwi i spostrzegł zadęte ślady stóp Tatjana na stopniach i na ścieżce, wyciśnięte w miękim, wciąż padającym śniegu. Te ślady, niby gwałtowne wołanie, zapędziły go do altany. Stanąwszy w jej drzwiach, zachwiał się i wrzasnął przeraźliwie. Na ławce leżała Tatjana w kałuży krwi, która już dawno skrzepła. Drżąc na całym ciele, spostrzegł, że skierowała otwór lufy rewolweru w brzuch. Zrozumiał z nieomylną oczywistością, iż postanowiła zabić siebie i dziecko Roszowa. Zrozumiał, że ten uczynek oznaczało słowo: „będę w porządku“ — i drugie słowo: „twoja Tania“. Usiadł skostniały na przeciwległej ławie i patrzył na uśmiech Tatjana, — na białe jej zęby, które pokryła już puszysta warstewka śniegu, — na srebrzyste pończochy odsłoniętych i rozrzuconych nóg, na których długie smugi czarnej krwi zastygły. Piotr omdlał.

Ktoś nadszedł....

XXVII.

Pogrzeb Tatjany stał się powszechną manifestacją. Kto z rosyjan żył w mieście, wziął w niej udział. Nieoficyalnie, bez broni, a jednakże w szeregach i formie paradnej wystąpiła bateria artylerii, poprzedzona przez oficerów wszystkich stopni. Szło również w ordynku kilka rot piechoty i wszyscy, jak jeden mąż, oficerowie pułkowi. Z mieszkańców miasta, „tuziemców“, kroczył również w tyle niemały motłoch, popchnięty przez ciekawość. Na czele pochodu maszerował drugorzędny popik z krzyżem w rękę, bez oficjalnego śpiewu, bez chorągwi i asysty. Śpiew pogrzebowy zastępowała wielka orkiestra pułku piechoty, grająca niemal bez przerwy. Za trumną szedł generał Polenow-Czernowratskij, Roszow, mademoiselle Mathilde i kilka osób z dalszej rodziny generała, przybyłych z daleka.

Śledztwo sądowe i lekarskie ustaliło pewnik, że córka generała Polenowa odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru, wziętego ze zbrojowni ojca, który jednak oddawna posiadała u siebie. Wystrzał ten przeszył w łonie jej płód, niedawno poczęty. Badanie ustaliło, że ten zamach samo-

bójczy miał miejsce po północy. Nadto — stwierdzono, że ostatnie i jedyne pismo zmarłej służący generała, na jej zlecenie, odniósł do oficera Rozłuckiego, — że tenże Rozłucki pierwszy przyszedł o rannej godzinie i pierwszy odnalazł w głębi altany zimne zwłoki samobójczyni. Cały świat rosyjski wiedział, że córka generała była zaręczona z kandydatem Roszowem. Cóż znaczył ów list ostatni? Co w nim było? Na pytania władz oficer Rozłucki nie dał żadnej odpowiedzi, podania treści odmówił, a samo pismo zniszczył.

Któż tedy był winowajcą śmierci młodej narzeczonej? Kto był jej kochankiem? Czemu się zabiła? Niedawna awantura Rozłuckiego z oficerami piechoty znowu się wszystkim rzuciła do oczu. Tysiąc plotek, jak gzygzaki piorunów w gradowej chmurze, latało we wzburzonym tłumie. Oficerowie piechoty mieli twarze więcej, niż surowe, bardziej, niż groźne. Oczy ich szukały sprawcy, którego ofiara leżała na marach. Biała suknia, długim zwojem spływająca z trumny, podniecała oczy i rozjuszała dusze. Straszliwy żałobny Bethowena marsz, podsłuchany w zaułkach przepaści piekieł, uderzał w wyobraźnię ludzkiego tłumu i wzywał o pomstę. Niepojęty w okrucieństwie swem głos, wyrzucony z trąb, fletów, bębnow, porywał się z ziemi i, schwytany przez zimowy wichur, padał w martwe pola, kędyś między śnieg zagonów.

Czarny orszak posuwał się zwolna, szeroką drogą, przez puste i mroczne pola ku odległemu cmentarzowi. Muzyka była głosem tych wszystkich

ludzi, ich skargą przed wiekuistym życiem na przekłątą śmierć, — szalonym protestem bezsilnego ich gniewu przeciw zniweczeniu piękności, pełnej niewymownego uroku. Dla jednego tylko człowieka ten nieśmiertelny hymn o śmierci inne miał wytłomaczenie: był głosem, opowiadającym niebiosom i ziemi tryumf miłości, zwycięstwo jej nad samą śmiercią....

Piotr Rozłucki szedł w szeregu oficerów baterii.... Za sobą miał dwa plutony żołnierzy artyleryjskich, olbrzymich i tęgich chłopów. Ostrogi ich dzwoniły równo, — wraz, — gdy szli wolnym, do taktu marszem, uderzając podkutymi obcasami wysokich butów o twardą grudę. Stożkowatych czapek drgały, jak jedna, w marszu, — a twarze ich były, jak jedna. Sunęli, jak pole, porznięte w równe, jednakie zagony. Surowe ich spojrzenia leżały na głowie oficera Rozłuckiego. Głucha klechda o tragicznej śmierci młodziutkiej i prześlicznej generałówny padła między tych olbrzymów, zegnanych z czterech końców niezmiernej Rosyi, i obudziła w ich żołdackim zespole — bezgraniczną nienawiść przeciwko sprawcy.

— Oto ten! — wskazywały ich kamienne oczy.

Piotr szedł krokiem żołnierskim, czując na sobie spojrzenia artyleryjskich plutonów i ze spokojem niosąc ich nienawiść. W skostniałych jego oczach istniał piorun odwetu, głęboko-głęboko schowany. Ale ten piorun był mu na nic. Spojrzeniami tłumu, który był wokoło, przed nim i z boku, obojętnie pogardzał. Do jego duszy,

przebitej od nieszczęścia, docierała ślepa mściwość żołnierska, jakby nienawiść natury, gleby, pól, lasów. Wiedział, co kryje się w spojrzaniach żołdakich, i tym spojrzaniem przeciwstawiał z odrazą — władzę szlify. Gdy muzyka ze straszliwą swoją potęgą uderzała w pustkowia, spostrzegał dawny dzień i przypominał tensam dźwięk. Nareszcie zrozumiał, co znaczyło słowo Taniusi, że w tej muzyce Iwan, Groźny Car na złotym tronie za żelaznymi drzwiami zasiada. Zanosila się muzyka na niedosięgly szczebel władzy. Przez wargi snuł się wyraz imienia Taniusi. Ona wtedy słyszała, ona wtedy wiedziała, jak czerwony kat wlecze ją za włosy na szafot wysoki. Któż jest kat? Jaka jest jego twarz?

Ścisnął w kieszeni szynela głownię rewolweru i równo, spokojnie, bez drżenia mięśnia szedł dalej krokiem żołnierskim, miarowym, rytmicznym marszem. Co znaczyło to ściskanie głowni rewolweru, nie wiedział sam. Głucha konieczność kierowała jego rękę i kurczowo zaciskała w niej broń. Poza życiem, w dziwnym śnie — z tego aktu wynurzała się świadoma decyzja. Kiedyniekiedy poprzez szeregi rozsunięte cywilnych i wojskowych dostojników spostrzegł głowę generała Polenowa i wówczas znowu chłostał mu plecy knut okrytego dreszczu. Widok tego starego człowieka dawał znać, jaka się to sprawa dokonała, i po stokroć nanowo powiadał, co się to teraz spełnia.

Nareszcie przez wąską bramę cmentarną pochód wcisnął się na ugór śmiertelny i skierował w jego

kąt najodleglejszy, gdzie pod murem, w odosobnieniu wykopany był grób. Tam żółta, przydęta od świeżego śniegu leżała glina.

Zwolna, zwolna ludzie zataczali półkole, zsuwali się coraz szczelniej, stając zbliżając, ramię przy ramieniu. Rosło ich mrowie i zsiadało się, ni to materya jednolita i jednego porządku. Zmarznięta kupa gliny była z prawej strony, — materya innego porządku. Od niej prostopadle do cmentarnego muru stanął mur żołnierzy. Przed nimi szereg oficerów. Z drugiej strony grobu, w głębi cmentarza zaległa masa piechoty w szarych szynelach. Piotr wyszedł naprzód i stał naprost mogiły, przy żółtym kopcu gliny. Po drugiej stronie zsunął się nieprzejrzany tłum ludzki. Na przedzie, tuż obok trumny znalazł się generał. Oczy starca zapadły się jakoby we dwa groby, broda była nieogolona, na łysej czaszce wiatr rozwiewał rzadkie włosy. Kolana jego tłukły się raz wraz jedno o drugie, ażeby utrzymać przed oczyma świata w żołnierskiej postawie ciało zdruzgotane od ciosu i jak łachman bezsilne. W milczeniu, ze zwieszoną głową stał nad trumną dijak stary, ściskając w rękę srebrny krzyż. Głowa jego z trudem dźwigać się zdawała kłobuk aksamitny. Pochylił się i żegnał trumnę trzykroć. Pochylił się i żegnał tłum. Nagle stary generał począł dawać ręką jakieś znaki, jakieś znaki niecierpliwe i gwałtowne. Pojęli go ludzie i zwolna, swarząc się o coś i coś bełkocąc, otwarli wieko ciężkiej, metalowej trumny. Piotr ujrzał oblicze Taniusi, kochanki swej. Usteczka,

włosy, niewypowiedzianej piękności owal twarzy. Pojął nanowo wszystkim ogromem męczarni, że to ona tu leży i że już nie żyje. We krwi była staplana biała, atlasowa jej suknia. Czarne plamy wystąpiły na łonie. Ręce bezwładnie rzucone załóżnie się wzdłuż ciała wyciągnęły. Jedno pasemko wonnych włosów wybiegło za trumnę...

Straszliwy wykrzyk rozdarł piersi generała. Starzec upadł na trumnę z rozkrzyżowanymi rękoma i przywarł ustami do ust zmarłej. Tłum zachłysnął się od jęku, a później oniemiały w martwej ciekawości patrzył. Dźwignięto nieszczęśliwego ojca i postawiono nogami na ziemi. Wtedy ten stary człowiek podniósł swe straszne, kredowe, ślepe z bóleści oczy i począł w tłuszczy szukać. Szukał, szukał. Znalazł. Na Piotrze Rozłuckim oparł swój wzrok, jak ostrze ciężkiego, katowskiego topora, zanim topór podniesie. Za wzrokiem generała poszedł oczyma wszystek ogrom nieruchomych ludzi. Polenow poprawił się, wyprostował. Powiódł oczami po chłopach - artylerzystach, potem wzdłuż szeregu oficerów. Nastąpiła cisza. Czekali na coś grabarze, okrutni w swej obojętności. Piotr patrzył w oblicze Taniusi...

Ale nakryto zwłoki wiekiem. Twarz znikła. Wtedy spostrzegł oczy tych wszystkich ludzi, w siebie wlepione. Niepostrzeżenie wsunął rękę w kieszeń szyneli, odwiódł zamek broni i czekał. W tym momencie postanowił — raz — dwa, — że jeśli odezwie się jeden przeciwko niemu głos, jeśli ośmieli się wskazać nań czyjkolwiek gest, — wyjmie broń, skieruje ją w usta i pociągnie za cyngiel. Pójdzie

do Taniusi i do tej ciemności, dokąd ona poszła. Przeprosi ją tam, pojedna się z nią i znowu połączy w miłości wiecznej... Tak przeczekał już prawdziwie po drugiej stronie życia tę chwilę. Spotkał przyćmionym, lodowatym wzrokiem oczy generała, oczy Roszowa i kolejno oczy wszystkie. Czekał. Tymczasem na sznurach spuszczone ciężką trumnę w ziemię. Łopatami zepchnięto pierwsze bryły gliny. Zahuczały bryły o wieko metalowe. Poczęli się schylać ludzie i wrzucać po garści ziemi. W boleści schylił się za innymi Piotr, ażeby garść ziemi rzucić na Tanię. Widział, jak to jego pochylenie bezdenną nienawiścią powitał wrogi mu tłum. Straszliwa była siła w bezgłośnem rozjuszeniu ludzkim, które się jedynie we wzroku objawiało. Lecz oto, gdy rękę, która przed chwilą ścisnęła narzędzie śmierci, zanurzył w zimną glinę, doznał nadziemskiego uczucia, uczucia głębokiej pociechy i wielkiej łaski. Zdało mu się, że uścisnęła mocno jego dłoń zimna glina. Uczuł nieomylnie, że to ojciec z ziemią złączony, — ziemią doń przyszedł i z ziemi tej oddał mu pomocny uścisk ducha.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

F
3979
1